

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 40 (1592)

ROK XXVI

1 PAŹDZIERNIKA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

- Tragedia na szosie pod Kaliszem — str. 12
- Dewastacja cmentarzy polskich we Lwowie — str. 5
- Sex a miłość i temperament — str. 7
- Rozmowa z aktorem Bogusławem Lindą — str. 12

Nie mogła żyć bez miłości

Urok pani Marty

CEZARY LEŻENSKI

Apteka była dobrze zaopatrzona. Nie też dziwnego, że ruch w niej panował od rana do wieczora.

Skład apteczny pomieszczony w solidnym, murowanym domu stojącym przy ulicy Kijowskiej miał cały Zytomierz. Podobnie jego właściciela, aptekarza Thomasa, którego córka Marta, dziewczyna urodziwa i pełna kobiecej dumy, niejednemu gimnazjaliście zawróciła w głowie. A kiedy wychodziła po lekcjach z prywatnego gimnazjum — pani Owsianikowej i szła ulicą Mołchanowską w swym brązowym mundurku, oglądało się za nią wielu mężczyzn.

Zytomierz był jak na owe czasy dużym, gubernialnym miastem Wołynia, ale podobnie wiesz jak ta o urodzie panny Marty Thomasówny szybko się rozchodzili, szczególnie wśród Polaków, których tutaj mieszkało około czterdziestu procent. W pobliskich wioskach, zwłaszcza na drodze do Zwiachla, osiadała szlachta zagrodowa. Nie też dziwnego, że Zytomierz był uważany za najbardziej polskie miasto na Kresach.

Ala nie tylko. Znamo go także ogrodem książek, emerytów i uczącej się młodzieży. Kuria biskupa i seminarium duchowne ogniskowały wokół siebie ruch katolicki całej Ukrainy. Istniał tu też teatr rosyjski i filharmonia, ale nie było antygonizmów i waśni religijnych czy narodowych, a językiem polskim, choć nieoficjalnie, można się było rozmówić ze wszystkimi. Spokość w mieście przene wszystkim cenili sobie rentierzy, właściciele domów, emerytowani urzędnicy i nauczyciele. Finansując więc rozmaite szkoły i przedszkola, gdzie nieoficjalnie uczono języka polskiego i historii, starali się, by na nich nie ciążyła żadna odpowiedzialność.

Krańcowo inna była młodzież polska, przeważnie przyjezdna, choć nie brakowało i miejscowej. Od najmłodszych lat uczestniczyła w działaniach niepodległościowych. Wszelkimi sposobami walczyła z przemocą carską i organizowała się, podtrzymując ducha narodu. Najstarszą organizacją młodzieży była Korpora-



Edward Rydz-Smigły w młodości

Fot. Archiwum

cja założona jeszcze, jak wiesz, przez samego Kraszewskiego oraz „Bratniak”.

Korporacja prowadziła kilka samokształceniowych oraz własną bibliotekę liczącą około trzy i pół tysiąca tomów. „Bratniak” miał na celu głównie niesienie pomocy niezamożnym, dotował także inne akcje kulturalne.

Młodzież polska należała do organizacji prawie bez wyjątku. Ponieważ wszystkie stowarzyszenia polskie były konspiracyjne, przynależność do nich groziła w razie wykrycia surowymi karami ze strony władz szkolnych. Samo podejście, że uczeń jest członkiem organizacji, wystarczało do usunięcia ze szkoły. Jeśli natomiast udowodniono komuś przynależność, oznaczało to otrzymanie „wilczego biletu”, czyli zakazu wstępu do wszystkich szkół na terenie imperium rosyjskiego.

W tej atmosferze dorastała Marta. Czasami jeździła jak wszyscy kolejką wąskotorową do Berdyczowa oraz szerokotorową do Korostenia i Kijowa. Odbierała też jak cała zytomińska młodzież spacer nad rzeką Teterów.

Może tutaj właśnie uczennica panna Thomasówna poznała swego pierwszego chłopca. Zaleski był synem właścicieli ziemskich, uczniem I Męskiego Gimnazjum przy ulicy Berdyczowskiej. Młodzi przypadli sobie do gustu. Jak to bywa w tym wieku, z sympatii rozwinęła się miłość. Przetrwała wszystkie klasy

gimnazjalne i maturę. Zdawała się być wielką, dojrzałą, jak każde uczucie u swego początku. Zaleskiemu umierają rodzice. W spadku dostaje majątek ziemski. Mając w kieszeni świadectwo dojrzałości, czuje się w pełni dorosły, odpowiedzialny za siebie i za Martę. Biorąc wystawny i huczny ślub. Pan Thomas nie sprzeciwia się. Córka robi dobrą partię.

Spokojne bytowanie w majątku z początku bawi Martę. Młode miesiące kraszą wyścigiem nudy wiejskiej egzystencji. Ale burza miłości, niedoświadczona, zielona, przemiła powoli. Może ugruntuje się w uczucie trwałe, stateczne. I pewno tak by się stało, gdyby nie inne, tragiczniejsze wydarzenia dziejowe. Skwarnym latem 1914 młodych małżonków poraża wieść paraliżująca: wojna!

Zaleski zostaje zmobilizowany. Ma w rosyjskim mundurze iść na front. Odchodzi żegnany łzami przez Martę. Bardziej są one podyktowane przerażeniem przed nieznanym niż wyrazem miłości. Ta dogasa nieuchronnie.

Dla Marty rozpoczynają się długie, samotne noce, dni wypełnione troskami. Obraz meża zaciera się, rozmazuje. Jakby w ogóle nie istniał. A wojna trwa. Wprawdzie nie słychać dalekiego pogłosu armat, nie widać pulków idących na front, nie ciągną ranni ku lazaretom, ale niepo-ój wiś w powietrzu.

Z tej ziemi

Czy stać nas na odwagę Lenina?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

19 września 1988 roku po raz pierwszy w bloku państw socjalistycznych stał się fakt bez precedensu: premier rządu PRL złożył przed Sejmem PRL dy-misję. Nie wymawiał się chorobą, przejął do innej pracy, emeryturą czy innymi wymyślonymi okolicznościami. Powiedział wprost.

„Kierując się nadrzędnym interesem państwa i intencją ułatwienia Sejmowi podjęcia właściwych w obecnej sytuacji decyzji — zgłaszam Wysokiej Izbie ustąpienie Rady Ministrów.”

Słowa te wypowiedział Zbigniew Messner i to będzie mu zapisane w historii politycznej PRL. Rząd Zbigniewa Messnera znalazł się pod naciskiem społecznej krytyki, stracił zaufanie społeczeństwa, przez sejmową komisję został surowo, krytycznie, ale sprawiedliwie oceniony. Nie było innego wyjścia. Taka decyzja budzi szacunek i uznanie.

Sejm PRL nie powołał nowego rządu już wcześniej przygotowanego. Poleciał ekipie Zbigniewa Messnera dalej pełnić swoje funkcje, aż w wyniku

różnych rozmów i pertraktacji przygotuje się nową ekipę. Nie ulega wątpliwości, że wpływ na przygotowanie nowej ekipy będą miały obrady „Okrągłego stołu”. Nie ma się co śpieszyć. Chodzi bowiem nie tylko o zmianę ekipy, aby w ministerialnych fotelach zasiadli inni ludzie. Chodzi o coś więcej. Znaleźliśmy się bowiem w takim momencie, kiedy

rzadzący nie potrafia inaczej rządzić, a rządzeni nie chcą być tak daleko rządzeni.

Trzeba zatem dokonać zmian głębszych niż tylko kadrowe przetasowanie.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na dwa zjawiska dość istotne. Pierwsze — to nadmierne przywiązanie do słów. Umiemy ładnie mówić, ładnie pisać, składać piękne deklaracje. Jest to pozostałość dawnych przyzwyczajęń. Nie-

Nie ma widoków na kawę dla handlowców.

Targi w kolejce

ANDRZEJ GEBAROWSKI

Jeśli kto myślał, że na targach jest salon, wystawa, błysk i Europa — pomylił się. Nie pomógł nawet jubileusz. W trzydziestym roku od debiutu, w pięćdziesiątej edycji, Targi Krajowe w Poznaniu okazały się jedynie „robocze”.

— Nie będzie specjalnych uroczystości — zastrzegł się od razu, w pierwszym dniu targów, dyrektor MTP, Stanisław Laskowski — To nie jest czas na świętowanie jubileuszu.

— Sytuacja rynkowa jest bardzo trudna — oznajmił tegoż dnia minister rynku wewnętrznego, Jerzy Józwiak — i słusznie stanowi przedmiot społecznej krytyki.

Dziennikarzom wręczono na targach ankietę „Atutu” — nowego pisma konsumentów. Jedno z pytań brzmiało: kto komu stawia tu kawę — handlowcy producentom, czy na odwrót? Wystarczył pierwszy spacer po pawilonach, żeby przekonać się, iż na targach nikt nikomu kawy nie stawia. Gdyby robili to producenci — opylalibyśmy w towary. Gdyby stawiali handlowcy — byłoby lepiej niż jest. Na razie jest jednak tak, że handlowcy stoją w kolejce przed boksami, w których zaszyli się wysłannicy firm z „klucza”. Czy widział kto, żeby stojący w kolejce petenci byli na tyle bezczelni, aby zaproponować kawę?

Niektórzy producenci w ogóle obeszlą się bez petentów. Nie potrzebowali ich wcale: pralki wirnikowe i wirówki do bieleń, z myskowskiego „Światowita”, ani lodówki, zamrażarki i pralki automatyczne z wrocławskiego „Polaru” — ponieważ obie firmy przyjechały na targi wcale nie na handel, lecz po prostu pokazać się — że mianowicie istnieją, i coś tam sobie produkują, co i tak — bez względu na jakość — znajdzie wdzięcznych nabywców.

Pierwszego dnia targów przed stoiskiem „Światowita” dyżurował spocony, smutny troszeczkę pan, starając się grzecznie odprawić wszystkich ciekawskich handlowców. Nie dość że polaszczli się oni na wirówki, o których profesor Jacek Kozioł z Federacji Konsumentów powiedział, iż są ciężką, toporną kopią leciutkich wirówek z NRD, to jeszcze nagabywali ostro, w jaki sposób można je zamówić tak po prostu, na miejscu.

Wywiązywał się wówczas taki oto smutny dialog:

— Chciałbym zamówić niedużą partię...

— Niestety, nie u nas.

— A gdzie?

— Może w WPHW. U nas wszystko, niestety, poszło pod rozdzielnik.

— Będą tam jeszcze mieli?

— Wątpię, nawet na rozdzielnik nie starcza nam produkcji.

— A jeśli pójdę, tak ekstra, wprost do dyrektora?

— Niestety, naprawdę nie mamy... To jest tylko ekspozycja.

W pawilonie „Polaru” gościł m.h. wspomniany już profesor Jacek Kozioł. Wyszli stamtąd zbulwersowani, dzieląc się potem wrażeniami na konferencji prasowej:

— Prezentowane lodówki, bez automatycznego rozmrażania — to przestarzałe, zdegradowane technicznie urządzenia sprzed lat. Jedną była nawet mylnie opisana. Mówię o tym przedstawicielowi „Polaru”, a on — okazuje się — nie wie, jaka jest właściwa symbolika. Pytam się, na czym polega oszczędność energii przy stosowaniu energooszczędnego programu w pralce automatycznej — też nie wie...

Najtańsza pralka automatyczna z „Polaru” kosztuje obecnie 105 tys. zł. Wysokość cen sprawiła, iż Federacja

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelno: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Gracyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korzysta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadowski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Korcznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasiewicz Karol J.
Stryski, Maciej Swierkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zlo-
kalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzę-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora

Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę za zleceniem wysy-
łki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasowy
Wydawnictwo, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139 11. Prenumerata
za zleceniem wysyłki za granicę
począta zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia I każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego

Zam. S-10.

Przegląd prasy

W poprzednim półroczu mi-
nimum socjalne na jedną oso-
bę w pracowniczych gospodar-
stwach domowych wynosiło:
jednoosobowych — 23763 zł,
dwuosobowych — 20315 zł,
czteruosobowych — 19565 zł.
W gospodarstwach emerytal-
nych i rencistów samotna osoba po-
winną otrzymać minimum
20197 zł, a żyjąca w rodzinie
dwuosobowej — 18855 zł. Tak
wyliczyli fachowcy z Zakładu
Analityczno-Badawczego Cen-
trum Studiów Zw. Zawod.
Fragmenty ich raportu, można
przeczytać w tygodniku
„ZWIĄZKOWIEC” (nr 38).

W ostatnich miesiącach
szybko rosła popyt i ceny. Z
informacji GUS opublikowanej
w dzienniku „RZECZPOSPOLITA”
(nr 217) wynika, że w
podstawowych działach gospo-
darki uspołecznionej (przemysł,
budownictwo, transport, łącz-
ność i handel) przeciętne wy-
nagrodzenie w sierpniu br. by-
ło wyższe o 80,8 proc. niż w
sierpniu ubiegłego roku. Nie-
bezpiecznie rozwijają się no-
we popyty i podaży. Zasyby
pieniężne ludności wzrastają,
a zapasy towarów w handlu ma-
leją. Grozi to bardzo poważ-
nymi konsekwencjami.

Alle w pierwszym półroczu
br. płace nominalne wzrosły
tylko o 17 proc., a ceny deta-
liczne aż o 45 proc. W rezulta-
cie płace realne spadły w ciągu
tego półroczu o prawie 20
proc. (najbardziej w przemyśle
wydobywczym, bo aż o 48 proc.).
Udowodnia to w „POLITYCE”
(nr 39) prof. dr hab. Wiesław
Krencik i przewiduje w IV
kwartale szybki wzrost płac,
oraz pogorszenie równowagi
rynkowej...

IMAGE KIEROWNIKÓW

Teresa Borkowska-Kalwas
pisze w dwumiesięczniku
„HUMANIZACJA PRACY” (nr
3), że Polacy nie lubią dużego
różnicowania zarobków. Naj-
więcej zwolenników egalitaryz-
mu jest wśród robotników wy-
kwalifikowanych. Natomiast
poglądy antyegalitarne naj-
częściej wyrażają kierownicy
produkcji.

Robotnicy przyznają, że ka-
dra kierownicza ma prawo do
wyższych zarobków. Nie godzą
się jednak na zbyt duże róż-
nice, ponieważ negatywnie oc-
eniają efekty pracy swych
przełożonych.

„W wielu badaniach doty-
czących środowiska pracy
przedmiotem szczególnie kry-
tycznej oceny respondentów
jest organizacja pracy, za któ-
rą odpowiedzialna jest wszak
kadra kierownicza. Nie dziu-
ngo, że obserwując balagan i
marnotrawstwo, których skutki
dotyczących nas, ludzie
krytycznie odnoszą się do pra-
cy kierownictwa, a ich wyso-
kie dochody uważają za nie-
sprawiedliwe.”

Zastrzeżenia wobec wysokich
dochodów kadry kierowniczej
wiążą się z przekonaniem o jej
zbyt dużym wpływie na wyso-
kość swoich płac, a szczególnie
nagród i premii. Podział na-
gród i premii, a także innych
dóbr rozprawdzanych przez
zakłady pracy (zwłaszcza nie-
szczęśliwie) należy do najbardziej
konfliktogennych, na co wska-
zuje wyniki badań.”

W systemie wartości naszego
społeczeństwa stanowisko kie-
rownicze zajmuje raczej niską
pozycję. Władza nie jest war-
tością samą w sobie, czymś, do
czego się aspiruje. Na ocenę
moralną całej kadry wpływają
przypadki nadużywania sta-
nowisk i prowadzenia nieucz-
ciwych machinacji. Prestiż kie-
rowników zależy też od pra-
ktyki awansowania, która bu-
dzi wiele zastrzeżeń.

Większość badanych Pola-
ków sądzi, że najłatwiej osią-
gają wysokie pozycje społeczne
ludzie wyróżniający się zdol-
nościami i silnymi zasadami
moralnymi (74 proc.). Ponad
półowa respondentów uważa
jednak, że kariera wymaga u-
ległości wobec zwierzchników
oraz zmieniania poglądów w
zależności od otoczenia.

W dziale zagranicznym dwu-
miesięcznika IPIS PAN George
E. Gutschlak i Joseph P. Can-
gemi, opisują style kierowania,
których należy unikać, gdyż
nie gwarantują sukcesu. Są to:
Dyktator, Pies Ogródniaka (nie
pozwala awansować podwład-
nym), Chomik (ukrywa in-
formacje), Lizus, Rzeźnik (po-
niża i wykańcza), Pracusi (sam
wszystko robi), Maruda (za
bardzo się przejmując), Podze-
gacz, Malkontent, Slabeusz (nie
może podjąć decyzji), Zazdroś-
nik, Karłowicz.

AWANGARDA STRAJKUJĄCYCH

Niedawno drukowaliśmy re-
portaż Dariusza Dorożyńskiego
o strajku w kopalni „Andalu-
zja”. O nieco innych aspek-
tach tego strajku mówi w
„PRZEGŁADZIE KATOLIC-
KIM” (nr 38) bezpośredni uc-
czestnik, górnik Eugeniusz Pol-
mański.

Strajk wybuchł 17 sierpnia,
ponieważ wystąpienia organi-
zacji OPZZ i Komitetu Zato-
wieckiego „Solidarności” nie
dały żadnego efektu. Na po-
czątku strajkowało około 600
osób, a później większość pra-
cowników dołowych (do 2500
osób). Do rozbicia strajku
przyczyniła się sprawa zagro-
żenia pożarowego oraz szkalo-
wanie w telewizji i nacisk ro-
dzin.

„Przed bramą odbywały się
wtedy niesamowite sceny: mat-
ki płakały, żony płakały, jedna
kobieta przyszła z dzieckiem,
wezwała swojego męża, dała
mu dziecko na rękę i uciekała,
żeby zmusić go do wyjścia.
Kopalnia zresztą nie była oto-
czona przez milicję. Łość straj-
kujących topniała nam z dnia
na dzień, ludzie uciekali (...).
Sumienia ludzi się łamały.
Niekiedy z kolegów nie mieli
odwagi, żeby wyjść, więc wy-
myślali rozmaite preteksty —
jednego dnia na „Andalu-
zję” urodziło się na
przykład pięćdziesięcioro
dzieci. Postępowaliśmy cał-
kowicie demokratycznie —
wypuszczaliśmy każdego. Na-
wet we wtorek, ostat-
niego dnia strajku, otworzyli-
śmy bramę na piętnaście mi-
nut — kto chciał, to wycho-
dził. Opuszcilo nas wtedy około
stu osób. Ludzie chowali twa-
rze i wychodzili. To był po-
czątek końca. (...)

Strajk się zakończył o godzi-
nie 17 we wtorek, 23 sierpnia,
po sześciu dniach. Było nas
już bardzo mało, ze sto pię-
dziesiąt osób, obstawiliśmy tyl-
ko bramę główną. Ludzie, któ-
rzy chcieli pracować, napierali
na nas, wyrwali bramę z za-
wołusów. Wycofaliśmy się wte-
dy do cechowni. Tam ksiądz
Siemski odprawił Mszę świę-
tą, po której zaczęliśmy radzić,
co dalej. Komitet zapropono-
wał ludziom dwa warianty za-
chowania: albo przejść — tak
jak jesteśmy — do kościoła,
tam zakończyć strajk i powo-
łać Komitet Organizacyjny
NSZZ „Solidarności”, tak jak
to było w maju w Nowej Hu-
cie; albo zabarykadować się
jeszcze w cechowni. Ale wte-
dy to byłoby już takie siedze-
nie dla siedzenia, reszta ko-
palni normalnie by pracowała.
Odbiło się głosowanie. 101 o-
sób zdecydowało, żeby przejść
do kościoła, a 35 było za oku-
pacją. Zebrałmy więc rzeczy
i w orszaku przeszliśmy do
kościoła w Kamieniu. Ludzie
płakali, nawet młodzi.

Mnie się wydaje, że ten
strajk, mimo że się w ten spo-
sób zakończył, dał nam jakieś
sto pięćdziesiąt osób do dzia-
łania, takich... czystych, spraw-
dzonych. My wiemy, że tu już
nie ma plebsu, ci ludzie to
dopływ świeżej krwi. Sprawdzi-
li się w trudnym momencie i
wiadomo, że na nich można li-
czyć. I to jest jedyna na dzień
dzisiejszy pociecha z tego straj-
ku. Bo jakie postulaty będą
spełnione, tego nie wiemy.
Wiemy tylko to, że z tymi ludź-
mi możemy coś zrobić. Od razu
wciążamy do Bractwa Trzeź-
wości. Bo jak chcesz być wo-
zem dla innych, to nie możesz
chodzić pijany.

W ruchu Maksymiliana Kol-
bego działamy już od 1983 roku.
Władza wie, że nam nie można
nie zarzucić. My jesteśmy czys-
ci, my nie mamy bumelek, nie
chodzimy po zwolnienie, gdy
popijemy. Ludzi, których pozys-
kujemy, od razu ustawiamy po-
dobnie. (...)

Teraz, od września, rozpoczy-
namy cykl szkoleń dla naszych
działaczy. Pierwszym prelegen-
tem miał być docent Strzelecki.
Niestety, nigdy już do nas nie
przyszedł... Zastąpił go profesor
Czartoryski. Ci dwaj uczeni z
Warszawy mieli z nami od daw-
na kontakty. Przyjeżdżali na
wszystkie Barbórki bezalkoho-
lowe, które od sześciu lat ura-
dzamy w Piekarach. Przyjeź-
dzało też do nas mnóstwo
aktorów, między innymi Anna
Nehrebecka, Andrzej Szczep-
kowski, Józef Dursz i wielu
innych.”

WIDMO PLURALIZMU

Podczas sierpniowego straj-
ku w porcie szczecińskim próbę
mediacji podjął Władysław Si-
ła-Nowicki. Ale zakończyła się
niepowodzeniem. W rozmowie z
Piotrem Andrzejewskim i Krzy-
sztofem Gołatą — opublikowa-
ną w tygodniku „WPROST”
(nr 39) — mecenas wyjaśnia, że
przeszkodziło mu oświadczenie
prokuratora wyjątkowego gro-
żącego strajkującym odpowiedzial-
nością karną. Pomogła dopiero
interwencja u ministra spraw
wewnętrznych Czesława Ki-
szczaka. Zawarto dwuletnią umowę,
że po zakończeniu straj-
ku i podpisaniu porozumień
nikt z organizatorów i uczestni-
ków nie zostanie pociągnięty
do odpowiedzialności karnej.

Czesław Kiszcak stał się
głównym negocjatorem w roz-
mowach z przedstawicielami
opozycji. Dlaczego właśnie on,
szef sił bezpieczeństwa? Mec.
Siła-Nowicki odpowiada nastę-
pująco:

„Minister Kiszcak sam siebie
lubi czasem nazywać policjan-
tem. Jeśli jednak ktoś jest dru-
gą osobą w państwie, to prze-
staje być ważny, jakia zajmuje
stanowisko... Nie zapominajmy
też, że generał Kiszcak nie jest
progeniturą milicyjną, lecz wojs-
kowej — jako generał WP
i były szef kontrwywiadu. Ma
opinię bardzo liberalnego i ot-
wartego ministra spraw we-
wnętrzych, nie mówię już o
tym, że jest członkiem Biura
Politycznego. Jeśli taki czło-
wiek chce rozmawiać, nie moż-
na tego odrzucać.”

Władysław Siła-Nowicki
uważa, że konieczne jest przy-
wrócenie pluralizmu związko-
wego. Świadczy o tym dwa fak-
ty: po pierwsze — znaczny od-
setek ludzi nie należy do
OPZZ, i po drugie — strajki
kwietniowo-majowe były
dzwonkiem ostrzegawczym. Pla-
ralizm związkowy nie zagraża
stabilności ustroju ani władzy
państwowej w Polsce.

Tego samego zdania jest Lech
Wałęsa. Tylko w pluralizmie
związkowym widzi on szansę
postępu i lepszego życia. W
rozmowie z Piotrem Gabrielem
i Karolem Jackowskim na la-
mach „KONFRONTACJI” (nr
9) mówi, że „Solidarność” mu-
si być, ale niekoniecznie kopią
tę z 1981 roku. Pluralizm może
być też niebezpieczny, może do-
prowadzić do anarchii i de-
strukcji. Ale epoka, w której ży-
jemy, domaga się prawdziwego
pluralizmu. W sferze ekonomicz-
nej podstawową sprawą jest
równouprawnienie wszystkich
sektorów gospodarczych i umożli-
wienie swobodnego działania
mechanizmów rynkowych.

Widmo pluralizmu krąży na-
wet w Kościele rzymskokatolic-
kim. Po raz pierwszy chyba w
naszym kraju opozycja krytyko-
wała papieża Jana Pawła II.
Znany publicysta liberalny Ry-
szard Legutko powiedział w
klasycznej O.O. Dominikanów w
Krakowie, że encyklika „Sollici-
tudo rei socialis” jest niedobra.
Miroslaw Dzielski relacjonuje w
tygodniku „LAD” (nr 37) fra-
gment dyskusji panelowej.

„Powiedział m.in., że encykli-
ka napisana jest językiem, po
którym widać ślady lektur
marksistowskich, że Papież po-
stuluje się takimi pojęciami jak
północ-południe, charakterysty-
cznymi właśnie dla tego typu
analizy stosunków międzyro-
dowych. Legutko nie podobało
się używanie przez Papieża po-
jęcia przeszłej struktury, która
funkcjonuje przede wszystkim
na gruncie teologii wyzwolenia.
Najbardziej jednak drażniło go
potraktowanie kapitalizmu i so-
cializmu jako dwóch błędnych
ideologii, które trzeba odrzu-
cić. Tylko socjalizm jest idea-
logią — powiedział Legutko. Ka-
pitalizm to rzeczywistość. Sta-
wienie na tym samym poziomie
rzeczywistości i ideologii to
właśnie stanowisko ideologiczne.
Legutko krytykował Papieża z
popularnych w polskich śro-
dowiskach opozycyjnych pozycji
radikalnego antykomunizmu,
którego najbardziej może wpły-
wowym przedstawicielem jest
Allain Besancon — pisarz po-
lityczny bardziej z pewnością
ceniony w Polsce niż w rodzin-
nej Francji. Legutko ma
dobrą głowę, dobrze
przekonująco mówi, po-
litycznie jest — jak to się mó-
wi — w porządku, więc cały re-
fektarz słuchał z uwagą. Lu-
dzie wypłakali na przekonanych,
ale byli smutni, bardzo smut-
ni. Pomyślałem sobie wtedy, że
Papieża można dziś w Polsce
krytykować, ale myśl o tym, że
w jakiejś sprawie Jan Paweł II
może nie mieć racji, sprawia
Polakom dużą i wyraźną przy-
kreść.”

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

WOJCIECH WALCZAK — wojewódzki konser- wator zabytków.

— Spokojny, niestety. Jeden z wielu w naszej konserwator-
skiej biedzie. Bez przerwy, bezskutecznie, gonimy galopującą
inflację, znów zbliża się koniec roku i znów mamy świadomość,
że wielu prac nie jesteśmy w stanie wykonać w wymiarze, jaki
marzył nam się jeszcze parę miesięcy temu. Czy pan wie, że
dysponując takimi jak obecnie finansami, budynek przy Pio-
trkowskiej 98 będziemy remontować może i 15 lat? To żadna
tajemnica: na remont tego domu wraz z obiektami, w którym
miejscu się kino „Gdynia” potrzebujemy około 800 milionów zło-
tych. Mielibyśmy zaledwie 60 milionów, a trzeba by co najmniej
200 by przy obecnym stopniu inflacji zakończyć prace remon-
towe, powiedzmy, w pięć lat.

Warto też choć w kilku słowach skwitować pierwszą w po-
wojennej historii naszego miasta aukcję dzieł sztuki, jakiej pod-
jęła się firma „HAND”. Najkrótszy komentarz: nieładny dobór
dzieł, choć sądząc po cenach autorzy prezentują wspaniałe sa-
mopoczucie. Sama zaś aukcja była bardziej propozycją towarzy-
ską niż handlową...

BOGDAN GLAPIŃSKI — dyrektor łódzkiej de- legatury „Interpolcomu”.

— Przysłowiowa krew człowieka zalewa, gdy na własnej lub
firmy „skórce” ma okazję sprawdzić efekty gospodarki refor-
mowanej podobno! Prozaiczna sprawa — kupowaliśmy dla firmy
firanki. Toż to gehenna! Najpierw trzeba ustalić, które sklepy
posiadają tenże towar i czy mogą go sprzedać instytucji. Znalazł
się taki na Widzewie-Wschodzie. Ale nie można tam po prostu
polecać i firanki kupić! To byłoby za łatwe! Poprzedzić taką
wycieczkę musi wyprawa w drugi koniec miasta, celem uzyska-
nia zгоды działu zbytu „Otexu”. W sklepie okazuje się, że ist-
nieje zakaz sprzedaży dla... przedsiębiorstw zagranicznych i polo-
nijskich. Tłumaczymy więc długo, że to Polsko-Polonia Izba
Przemysłowo-Handlowa. Pomaga, jeszcze tylko czekamy pół
godziny na wystawienie rachunku, bo to może tylko pani kie-
rowniczka, a ona właśnie towar przyjmuje... Opowiadałam o tym
świadomie drobniogłowi, ale taki właśnie jest praktyczny, ży-
ciowy wykładnik tych dumnych, często zadowolonych deklaracji o re-
formie przedsiębiorczości i równouprawnieniu trzech sektorów.
I płacemy na brak wydajności?! Kapitał obcy chcemy przycią-
gnąć?!

— I jeszcze dwa słowa z innej „bezzki”. Jako działacz sporto-
wy śledzę oczywiście olimpijskie zmagania, ale na marginesie
sympatycznych medalowych niespodzianek Polaków rodzi się
refleksja: oprócz wyszkolenia i niewątpliwych ambicji motywa-
cja „dolarowa” za olimpijskie krątki zrobiła swoje. I nie cho-
wajmy wreszcie głowy w piasek, nie udawajmy że nie ma
problemu. Ja wiem, że piłka nożna jest już tak chora, że nie
uratuja jej żadne pieniądze. Żadne ilości dolarów nie pomogą
(może tylko jeszcze widmo katolicy?), gdyż wielu piłkarzy po
prostu już nie więcej nie potrafi! Ale w innych dyscyplinach jest
po prostu potrzebny doping do jeszcze bardziej wyłożonej pracy.
Sport wymaga ogromnych sum, wiedzą o tym w Związku Ra-
dzickim, wiedzą w NRD, tylko my wciąż wstydymy się powie-
dzieć o tym głośno...

KONRAD TUROWSKI — dziennikarz.

— Tydzień szalenie pracowity i ciekawy, naszpikowany wydarze-
niami różnej miary i wagi, ale jednym chciałbym się podzielić
z Czytelnikami „Ogłosów”. Oto otrzymałem list od rabina Wa-
wy Morejno oraz fotokopie oficjalnych wystąpień do Sądu Rejo-
nowego w Łodzi i Okręgowego Sądu Stanów Zjednoczonych w
Nowym Jorku w sprawie głośnej „eksmisji” jego dobytku, wy-
rzuconego z lokalu przy al. Kościuszki 53. Z korespondencji tej
wynika między innymi, że tytuł rabina miasta Łodzi (nadany
w grudniu 1948 roku) oraz królowego nadrabina Polski (od
czerwca 1956 roku) — są dożywotnie i nie może ich odebrać
żaden organ administracyjny. Ponadto: mieszkanie przy al. Ko-
ściuszki 53 przydzielono za większe (przy ul. Zachodniej 78),
rozebrane w związku z przebudową tejże ulicy Zachodniej, za
które nie pobierano czynszu traktując je jako Dom Rabina z kan-
celarią, zaś proces o eksmisję w 1976 roku odbył się bez udziału
zainteresowanego i w 1979 roku sąd zarządził wznowienie po-
stępowania, którego jednak nie przeprowadzono. Autor listu pi-
sze, że stara się o przyjazd do kraju, którego posiada obywatel-
stwo i zamierza zdecydowanie dochodzić swych praw do mieszk-
kania przy al. Kościuszki jak również stosownego zadośćuczynie-
nia za wyrządzone szkody.

Notował: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Wiadomość o ucieczce Mikołajczyka podawano sobie z ust do ust. W
pierwszych dniach sierpnia był to temat numer jeden. Ludzie
mówili: uciekł, bo miał nieczyście sumienie. Ktoś puścił plotkę,
że w lasach się ukrywa. W Płocku jest — upierał się inni. Tak
też twierdziła milicja. Nikt jednak nie znalazł prawdy o u-
cieczce Stanisława Mikołajczyka — reportaż PAWŁA TOMA-
SZEWSKIEGO.

— Jan Duch był przekonany, że w pokoju cały czas działa
magnetofon, a zapisywanie na gorąco jego odpowiedzi jest ka-
mufażem, służącym nie wiadomo czemu. Nie narzekal jednak,
tłumacza była bardzo miła i ładna dziewczyna... Georgina nato-
miast miała niezły bal. Na jej przesłuchaniach cały czas znajdował
się ten Amerykanin z NATO, którego poznała pierwszego
dnia. Wyrażnie z nią flirtował — kolejny odcinek najnowszej
książki ANDRZEJA BRYCHA pt. „Azył polityczny”.

— Cokolwiek zepsuło ten świetnie zapowiadający się interes,
jedno jest pewne: nie miał on nic wspólnego z osobą Bohdana
Smoleńca, któremu w biały dzień ukradziono nazwisko. Nie dzi-
wnego, że artysta domaga się przeprosin. Nawet gwiazda kabare-
tu nie lubi, gdy robi się z jej nazwiska prawdziwy kabaret
— kulisy skandalicznej afery ukazuje w reportażu pt. „Gdzie jest
Smoleń?” ANDRZEJ GĘBAROWSKI.

— W życiu seksualnym mężczyźni łatwo się podniecają i szy-
bko osiąga satysfakcję. Kobiety za to doznają więcej rozkoszy —
artykuł MIROSLAWY SARBINSKIEJ pt. „Seks i przeczna-
czenie”.
— Z wyciem syren nadjechały na miejsce strasznej tragedii
karetki pogotowia i wozy straży pożarnej. Z poskręcanego żela-
stwa wydobyto rozszarpane ciała obsługi parowozu i ponad
dwudziestu pasażerów. Zewsząd dochodziły krzyki rozpacz i
błagania o pomoc — artykuł JANA BABINSKIEGO pt. „Noćny
terrysta”.

gdyś komuniści nie tworzyli faktów, bo nie mogli, gdyż znajdowali się w podziemiu. Tak było przed wojną — nim partię rozwiązano — tak było podczas wojny — gdy partię powołano ponownie do życia. Zmieniło się to po wojnie, ale i wówczas trzeba było wiele uwagi i wysiłku przywiązywać do agitaacji. Trzeba było bowiem pozyskiwać sojuszników dla dokonania niezbędnych zmian. Dziś sojusznicy też są potrzebni, ale bardziej potrzebne są fakty. Tymczasem przywiązujemy się u nas więcej uwagi do deklaracji i przemówień niż do realizacji programów. Jakby magiczna moc słowa mogła zmieniać rzeczywistość. A to tylko ułudą. Słowa są potrzebne, ale nie mogą zastąpić działania. Działanie jest nam bardziej potrzebne niż słowa. Musimy tworzyć fakty, które przemówią do ludzi, które zmienią ich położenie na lepsze. Czy stać nas na to?

Przywiązując nadmierną wagę do słów sprawiamy im krzywdę: zabijamy słowa, dewaluujemy ich wartość. Odmienianie przez wszystkie przypadki „porozumienia” wywarło to słowo tak dokładnie, że dziś nie ma ono większej wartości. Stało się puste. Nie zadużymy „okrągłego stołu”. Posługujemy się tym pojęciem umiarkowanie, w miarę potrzeby, nie ponad potrzebę. Przecież sam fakt, że ludzie zasiadają przy jednym stole i porozmawiają, rzeczywistości nie zmienia. Trzeba, aby to co postanowiało zostało wcielone do politycznej rzeczywistości. A to nie będzie łatwe. Na to potrzeba czasu, jeśli ludzie, którzy zasiadają do rozmowy, potrafią dojść do wspólnych wniosków. Na to potrzeba cierpliwości. A wszyscy w koło powiastają, że nie mamy zbyt wiele czasu, że działać trzeba szybko i skutecznie.

Drugie zjawisko — to rola klasy robotniczej. Dziś jest to bardzo niemożliwe słowo i pojęcie. Mnie wszakże moda nie interesuje, mnie interesuje rzeczywistość. A ona pokazuje, że jak — mówią obrazowo — klasa robotnicza, a nawet jej część, to kończą się kariery polityczne i nie tylko zmieniają się ekipy. Zmieniają się obyczaje polityczne. Ale nie wszyscy — jakos to chcą zrozumieć.

W czerwcu 1956 roku i w grudniu 1970 roku, gdy klasa robotnicza powiedziała: „nie! — padły strzały i padli zabici. W sierpniu 1980 roku — choć byli cichy — nikt już po broń nie sięgał. Jak długo bowiem władza, która mieni się ludową, partia, która nosi nazwę robotniczą, milicja i wojsko, które z ludu wyrosły i ludowi mają służyć, mogą przeciw swojej klasie występować, przeciw ludowi, z którego wyrosły i któremu mają obowiązek służyć? Jak do tej pory klasa robotnicza, ani jej część nie nadużyły swojej siły i — mam głęboką nadzieję — nigdy jej nie nadużyją. A jest to siła, od której walczą się trony i upadają rządy. Nikt nie ma prawa siły tej doprowadzać do ostateczności. Państwo, w obronie którego dziś tak wielu chętnie występuje, ma tej klasie służyć, organizować jej pracę i życie. Ono z jej siły powstało i może istnieć tylko dzięki jej sile. Ta klasa musi działać w ścisłym sojuszu z chłopami, ale istota tego sojuszu musi być inna niż to niegdyś bywało.

Bezwarunkową rację ma Komisja Nadzwyczajna Sejmu PRL, kiedy ustami swej przewodniczącej Krystyny Jandy-Jendrośki stwierdziła:

„...należałoby wprowadzić istotne zmiany w kierunkach inwestowania na rzecz inwestycji prożywnościowych i przymysłowych i tworzyć z rolnictwa i gospodarki żywnościowej przemysł narodowy.”

Nie wolno przemysłowej klasie robotniczej przeciwstawiać pracującemu i żyjącemu nas chłopstwu, gdyż „szczególnie niebezpieczne jest obniżanie się opłacalności produkcji rolniczej, co jest wynikiem przede wszystkim wzrostu cen środków produkcji w rolnictwie niewspółmiernie do cen skupu. Efektem tego jest m.in. ograniczanie produkcji, a zwłaszcza hodowli bydła, co wyraźnie odbija się już na zaopatrzeniu rynku.”

Zniszczyć hodowlę niewłaściwą polityką cen można bardzo

szybko, odbudować ją — już jest znacznie trudniej i trwać to może latami. A nam marzy się, żeby już nie mieć kartek, tylko móc kupić w sklepie mięsa i wędlin tyle, ile człowiekowi potrzeba, a nie tyle, ile musi.

Rządzący lubią mieć dobre samopoczucie, co jest zjawiskiem naturalnym, gdyż każdy chce robić coś, co jest innym ludziom potrzebne. Dlatego skłonni są

obraz rzeczywistości kształtować na podstawie pomyślnych wiadomości i odrzucać wszystko, co do tego obrazu nie pasuje.

Nie tak dawno min. Jerzy Urban ogłosił koniec kryzysu — prezentując przecież nie własny punkt widzenia, a rządową opinię — choć z oknem rzeczywistości skrzęcała. Rząd był jednak pełen optymizmu i znalazł się poza społecznym poparciem. Wniosek stąd prosty: działanie rządu musi być wy-

nie różnica zdań i czy w ogóle istnieje. Często taki obserwator nie bardzo wie, jakie są programy tych koalicyjnych partii — poza PZPR najczęściej — bo na ogół nikną one w cieniu programu PZPR. A przecież, jeśli istnieje koalicja, to powinna ona być koalicją partnerską, a nie związkiem starszego i kilku młodszych braci. W takiej koalicji „rodzinnej” głos decydujący będzie miał zawsze starszy brat z racji swego starszeństwa, a nie z racji argumentów.

Niedawno w „Kurierze Polskim” Ryszarda Kazimierska zaprezentowała następującą propozycję:

„W praktyce chodziłoby np. o to, (...) aby ta partia, która przedstawi najlepszy program działania, taki program, który zyska poparcie nie tylko partnerów koalicji, ale i społeczeństwa, brała na siebie odpowiedzialność za jego realizację. Rzecz jasna — warunkiem brania na siebie takiej odpowiedzialności jest uzyskanie możli-

rze Józefa Stalina. Z „Testamentu Włodzimierza Lenina” pamięta się, że zarzucał on Józefowi Stalinowi skupienie w swoim ręku znacznej władzy, że zarzucał mu grubiaństwo i inne wady, które w sprawowaniu funkcji sekretarza generalnego partii komunistycznej mogły tylko przeszkadzać. Zapomina się natomiast, że pierwsze zdanie tego „Testamentu” brzmiało:

„Radziłbym bardzo, by na tym zjeździe dokonać wielu zmian w naszym ustroju politycznym.”

„Testament” powstał na przełomie grudnia 1922 i stycznia 1923 roku. Uwaga walczących o władzę stron skupiała się na cechach charakterów poszczególnych osób wymienionych przez Włodzimierza Lenina. Mimo zastrzeżeń zgłoszonych w stosunku do Józefa Stalina pozostał on sekretarzem generalnym RKP(b), a później WKP(b) i zlikwidował opozycję. W toku walki z opozycją, wykorzystując dorobek intelektualny Wło-

Trzeba więc mieć odwagę Włodzimierza Lenina, aby wprowadzić w życie coś nowego, co jeszcze nie było do tej pory w socjalizmie stosowane. Bez tej odwagi Lenina, bez jego ryzyka, nie byłoby dziś ani ZSRR, ani socjalistycznej Polski. Bez wzorowanej na jego odwadze śmiałości nie spełniły swej misji historycznej i zjeżdżamy z politycznej sceny w niesławie.

Postawienie zasady koalicyjności na realnej, partnerskiej podstawie, wmontowanie w tę zasadę funkcjonowania stałego, a nie doraźnego opozycji, wcale nie musi podważać kierowniczej i przewodniczącej roli partii. Trzeba ją po prostu inaczej sprawować. Nie za pośrednictwem aparatu partyjnego, a za pośrednictwem organizacji i członków partii.

Koalicyjny rząd dysponuje szeregiem przeróżnych instrumentów, które powinny mu pozwolić na poznawanie rzeczywistości. Są to różnorodne metody badania opinii publicznej,

znajdzie się wobec rządu w... opozycji, kiedy w danej sprawie będzie prezentowała inne zdanie niż pozostali partnerzy, ale ta inność wynikała będzie z troski o położenie i rolę klasy robotniczej.

Opowiadano mi, że w jednym ze strajkujących przedsiębiorstw, gdy doszło do rozmów między dyrektorem a strajkującymi robotnikami — przedstawiciele związków zawodowych i organizacji partyjnej zasiadli po tej samej stronie stołu, po której zasiadli... przedstawiciele dyktacji. Czy zajęli właściwą pozycję? Pamiętam, gdy w 1980 roku krytykowano wielu sekretarzy partii, że byli wśród strajkujących, odpowiadali:

— A gdzie miałem być, mógłbym obowiązkowo być z ludźmi. Nikt z tego obowiązku nikogo nie zwalniał.

Partia musi dysponować najbardziej skutecznymi instrumentami poznawania i analizy rzeczywistości. Dziś — kiedy mówi się o klasie marksizmu — powoływano się na marksizm jest niemożliwe i niebezpieczne. A przecież marksizm nie skompromitował się. Przeciwnie. Pod warunkiem — wszakże, że ktoś marksizm rozumie jako metodę, sposób poznawania i zmieniania rzeczywistości, a nie jako zbiór dogmatów, gotowych recept, schematów, formulek do wcięcia i powtarzania. Posługiwanie się marksistowską metodą poznawania rzeczywistości, umiejętności widzenia zjawisk i procesów w ich rozwoju i wzajemnym powiązaniu, umiejętności dostrzegania tego, co decyduje, odróżniania zjawisk decydujących od marginalnych, umiejętności patrzenia w przyszłość, a nie tylko pod nogi i za siebie, to wszystko pozwoli widzieć rzeczywistość realną, zgodnie z tym, jaka ona jest, a nie wedle tego, jaką chciałoby się ją widzieć. Takie widzenie rzeczywistości pozwoli dostrzec wcześniej niebezpieczeństwa, uniknąć ich, zapobiec im, znaleźć sposoby na rozwiązywanie ciągłych nas nartujących sprzeczności. Uniknie się dreptania w miejscu i wleczenia się w ogień wydarzeń.

Zastanawiam się wszakże, czy dziś partię stać na taką działalność? Czy jej organizacje podstawowe i członkowie dojrzały już do takiego sposobu działania? Nie oszukujmy się, przecież, gdyż są organizacje partyjne istniejące formalnie, są członkowie partii, którzy noszą legitymacje i placą składki i nie poza tym nie robią. Te organizacje i takich członków partii zastępuje z powodzeniem aparat partyjny. On często sam — a i inni tak myślą — utożsamia się z partią. A to nie jest to samo.

W koalicyjnym systemie, który staje się, przy legalnych sposobach działania opozycji, partia nie może się ograniczać tylko do pracy aparatu partyjnego, bo nie z tego nie wyjdzie. Jeśli chcemy mieć odwagę stworzenia nowego, do tej pory jeszcze nieznanego systemu władzy socjalistycznej w Polsce, to musimy przede wszystkim zacząć od przekształcania partii. Trzeba na szereg zjawisk z życia partii spojrzeć krytycznie, trzeba zastanowić się, czy obecna struktura partii odpowiada współczesnym potrzebom. Jeśli w 1980 roku, gdy partia znalazła się w krytycznym położeniu, to nie było niczyje wdzimienie, ale potrzeba chwili, gdyż struktury formalne przestały należycie funkcjonować i stały się hamulcem w życiu partii. Później zrobiono wszystko, aby „struktury poziome” unicestwić, gdyż zagrażały aparatowi partyjnemu — partyjnej biurokracji. Dziś nadszedł czas, aby z tamtych doświadczeń wyciągnąć właściwe wnioski. Nie, żeby na siłę tworzyć takie struktury, ale krytycznie przyrzeć się istniejącym.

Słyszę wokół różne hasła. Tylko wokół partii jest cisza. A prawda jest taka, że bez radykalnych zmian w partii wszystko inne może okazać się rozwiązaniem niepełnym. Czas nie stoi w miejscu.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

20.09.1988.

Czy stać nas na odwagę Lenina?

padkową wielu różnych punktów widzenia. Nie można z góry odrzucać innych propozycji tylko dlatego, że wypowiadają je ludzie przez rządzących źle widziani. Powstałe zatem problem opozycji. Co z nią zrobić?

Niegdyś sprawa była prosta. Opozycja po prostu nie istniała, została przeklęta jako „siła nieczysta”, przepędzona „na zawsze” z politycznej mapy socjalistycznego państwa. Było to podejście nierealistyczne. Po pierwsze dlatego — że u zarania socjalizmu, w modelu Lenińskiego państwa, opozycja istniała. To dopiero Józef Stalin ją politycznie, moralnie i fizycznie zlikwidował. Po drugie — przeklecie opozycji nie zmieniło automatycznie rzeczywistości. Opozycja istniała, tyle że nie ujawniała się. W momencie pojawienia się na politycznej mapie jakiegokolwiek silny przeciwnik rządzącym automatycznie skupiało wokół niej wszystkich, którzy byli i są przeciwni z różnych pozycji i powodów. Tak się stało na przykład z PSL Stanisława Mikolajczyka, tak było — niestety z NSZZ „Solidarność”. Taką rolę pełnił swego czasu Kościół.

Na początku lat pięćdziesiątych kursował wymowny dowcip. Do kościoła na nabożeństwo wszedł mężczyzna i nie zdjął kapelusza. Wierni z jego pobliża zaczęli sykać.

— Co jest? — pyta mężczyzna w kapeluszu.

— Tu jest kościół — odzywa się jakaś kobieta — tu nie wolno wchodzić w kapeluszu.

— Ja niewierzący — wzruszył ramionami mężczyzna — ja przeciw rządowi.

Po drugie — działająca obecnie opozycja, w całym jej zróżnicowaniu, nie spada do nas z nieba, nie zrzucał jej nikt ze spadochronem, nie wymyślił w złym śnie. Myślny ją sami stworzyli, wykształcili, wychowali i nauczyli działania. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko uznać fakt takim, jakim on w swojej istocie jest. Opozycja jest bowiem wynikiem niezadowolonych ludzi z tego, jak się nimi rządzą. Oczywiście opozycja nie jedno ma imię i nie wolno wrzucać jej do wspólnej worka, jak nie wolno udawać, że jej nie ma. Trzeba znaleźć dla niej miejsce na politycznej mapie Polski.

Już dość dawno weszliśmy na drogę koalicjności. Ale weszliśmy na tę drogę krokiem, który niegdyś wymyślał Włodzimierz Lenin: „krok do przodu, dwa kroki wstecz”. Koalicjność jest zadeklarowana, wysokie gremia uzgadniają między sobą różne decyzje. Obserwator sceny politycznej nie bardzo wie, jaka między partnerami koalicji ist-

wości realizacyjnych w danej dziedzinie, objętej tym programem, w tym również możliwością wywierania większego niż nad jego istota. Jest to kolejne kadra na wszystkich szczeblach decyzyjnych (...).”

Podobną w swojej istocie propozycję zgłosił na VII Plenum KC PZPR Zdzisław Cackowski:

„TRZEBA UKONKRETNIC ODPOWIEDZIALNOŚĆ PARTII W STRUKTURZE PAŃSTWA. Jak to zrobić? Wydaje mi się, że jednym z możliwych kierunków poszukiwania odpowiedzi na to pytanie jest wielowariantowość programowania i — więcej — wielowariantowość osobowa działania partii. Partia powinna oferować państwu różne programy do wyboru i realizacji. W każdy taki wariant programowy zaangażowane byłyby różne ekipy koncepcyjno-realizacyjne, ekipy określone i społecznie widoczne. Nieskuteczność programu połączalaby przegrana polityczną określonych ekip. Społeczeństwo spostrzegłoby więc ukonkretnioną odpowiedzialność polityczną, w swej partii mielibyśmy też w postaci grup optycznych za innym programem przesłanki czujności i krytycyzmu wobec przyjętego przez większość programu.”

W istocie było to wezwanie do oficjalnego uznania opozycji w samej partii. Uznanie realnej rzeczywistości. Przeciwnie wielu poczynając kierownictwa partii opozycja z „lewych” lub „prawych” pozycji — mówiąc w uproszczeniu — jest faktem. Propozycja Zdzisława Cackowskiego — przywołana zresztą na VIII Plenum KC PZPR przez Ryszarda Wojnę — nie spotkała się jednak z żadną reakcją. Tylko „Polityka” wydrukowała pełny tekst tego wystąpienia. Mniej to niż należałoby się spodziewać, niż można było oczekiwać.

Dlaczego reformowanie naszego systemu politycznego idzie tak opornie? A przecież już powinien dotrzeć do naszej świadomości fakt — szczególnie po doświadczeniach węgierskich, naszych i po VI plenarnym posiedzeniu KC PZPR — że bez reform politycznych reformy gospodarcze pozostaną jedynie marzeniem i pięknie zarysowanym programem. Porażka rządu Zbigniewa Messnera w tym właśnie ma swoje źródło. Skąd więc ta opieszałość?

Bierze się ona stąd, że nie do końca przeżyliśmy stalinizm.

Ostatnio wiele mówi się o postawie, mentalności, charakte-

dzimierza Lenina, sformułował ideologiczne podstawy tego, co nazywamy stalinizmem, często jednak nie zastanawiając się nad jego istota. Jest to kolejne słowo wytrych. A tymczasem...

Na początku kwietnia 1924 roku Józef Stalin wygłosił na Uniwersytecie Szwedzkim cykl wykładów, które później ukazały się jako broszura zatytułowana „O podstawach leninizmu” i odegrała niemałą rolę w wychowaniu stalinowskich kadra. Włodzimierz Lenin w „Dziecięcej chorobie lewicowości” tak charakteryzował istotę dyktatury proletariatu:

„...dyktatura proletariatu jest to uporczywa walka, krwawa i bezkrywa, prowadzona środkami przemocy i pokój, zbrojną i gospodarczą, pedagogiczną i administracyjną — przeciw siłom i tradycjom starego społeczeństwa.”

Otóż Włodzimierz Lenin w swoim widzeniu dyktatury proletariatu kładł nacisk na wychowanie, przeobrażanie świadomości ludzi pracy. Józef Stalin dokonał wolty. Jego definicja brzmiała:

„...dyktatura proletariatu jest to nieograniczone przez prawo i opierające się na przemocy panowanie proletariatu nad burżuazją, ciążące jej sympatii i poparciem mas pracujących i wyzyskiwanych.”

A zatem Józef Stalin położył nacisk na „nieograniczoną przez prawo przemoc”. W tak skonstruowanym systemie rządzenia nie ma miejsca na koalicjność. Nie ma dzielenia się władzą i — co ważniejsze — odpowiedzialnością. W „Przeczynku do zagadnień leninizmu” opublikowanym w styczniu 1926 roku Józef Stalin stwierdził bez najmniejszych wątpliwości, że w sojuszu proletariatu z masami pracującymi innych, nieproletariackich klas kierownikiem „jest jedna partia, partia proletariatu, partia komunistów, która nie dzieli i nie może dzielić kierownictwa z innymi partiami” (podkreślenia — J. Stalin). W tak pojętej strukturze władzy istnieją „mechanizmy”: „siła kierująca”, „dźwignie” i „transmisja”. Są to „masowe organizacje proletariatu”, z pomocą których „dyktatura proletariatu urzeczywistnia swą codzienną pracę”. Ten system władzy powstał w szczególnym okresie istnienia ZSRR. Obecnie przeżył się i musi być zastąpiony innym. Jakim? Praktyka wskazuje, że powinien to być koalicyjny system partnerskiej partii, wśród których PZPR spełnia rolę kierowniczą, ale nie w taki sposób, jak do tej pory — to znaczy administracyjno-biurokratyczny. Nowy sposób musi dopiero stać się praktyką.

konstytucji, działająca w poszczególnych partiach systemy informacji, a wreszcie bezpośrednie kontakty z różnymi społecznymi środowiskami. Krytyczna ocena pracy poszczególnych resortów dokonywana przez komisje sejmowe — to również jeden z instrumentów poznawania rzeczywistości; na którą rząd powinien oddziaływać. Posłowie w swojej krytyce opierają się przecież na opiniach wyborców, a więc jest to opinia miarodajna. Ten system różnorodnych kontaktów z rzeczywistością powinien powodować, że rząd dobrze rozumie i odczuwa skuteczność swego działania. Dlaczego mimo to niekiedy odrywa się od rzeczywistości?

Działają tutaj dobor informacji i oczekiwań. Aparat biurokratyczny stawia się niejako samorzutnie na wytworzenie takich właśnie informacji, odrzucając wszystko, co „gorsze” może się nie podobać, co może być „nie po myśli góry”, co może wywołać nieoczekiwane reakcje „góry”, w wyniku których ucierpi tenże aparat biurokratyczny. Ale choć aparat ma spokojne życie — to powstaje jednostronny obraz rzeczywistości. Fakty nie pasujące do założeń tego obrazu są odrzucone. Koncentruje się na nich opozycja. Ona z kolei przedstawia obraz rzeczywistości jakby dopełniający całości, bo składający się z tego, co aparat biurokratyczny odrzucił, aby nie „denerwować góry” niepomysłnymi i faktami, wydarzeniami i opiniami. W ten sposób powstaje całość obrazu rzeczywistości, tyle że każda ze stron dysponuje tylko jedną jego połową. Obie więc mają fałszywy obraz rzeczywistości.

Natomiast partia, jeśli chce faktycznie sprawować kierowniczą i przewodnią rolę

musi bezwzględnie znać całą prawdę, znać, widzieć i rozumieć całość zachodzących procesów. Partia musi odrzucić starye dogmaty, uprzedzenia, stare nawyki i stać się w przódzie, stać się rzeczywistością awangardą swojej klasy. Dziś partia — mimo nazwy robotniczej — reprezentuje przede wszystkim interesy państwa. Sprawa stabilności, trwałości i siły państwa jest sprawą ważną, jedną z najważniejszych. Ale dla partii powinna być najważniejszą sprawą sytuacja klasy robotniczej i perspektywy jej rozwoju. W systemie koalicyjnym o dobro państwa w troskaczonym stopniu powinni troszczyć się wszyscy partnerzy. Można sobie nawet wyobrazić taką sytuację, w której partia

Konsumentów posługuje się od niedawna terminem: zakupy inwestycyjne. Chodzi o to — wyeliminowano zdumionym dziennikarzem — że wyroby dla domu stanowią już właściwie solidną inwestycję, na którą zbiera się przez lata.

— Musiała powstać specjalna nazwa — wyjaśnia przewodnicząca Federacji, tryskająca jak zwykle energią Małgorzata Niepokulczycka — bo jeśli kuchnia elektryczna kosztuje 135 tys. zł, a ja — jako adiunkt — zarabiam 35 tys. zł miesięcznie...

— Po co się było uczyć? — pyta, wśród powszechnego aplauzu, jeden z redaktorów. Profesor Kozioł tak podsumowuje swoje wrażenia z pawilonu gospodarstwa domowego:

— Zauważyliśmy mnóstwo uchybień technicznych: nieprawidłowe ukształtowanie blachy w kuchenkach, nie do łąca blokada galek otwierających gaz, brak właściwej izolacji termicznej we wszystkich elementach grzejnych, szpelnie wystające pokręta... W grupie sprzętu „inwestycyjnego” nie ma wyrobów o dobrej jakości, za wyjątkiem może firmy „Zelmer”.

Pod drzwiami rzeszowskiego „Zelmeru” handlowcy ustawiali się w kolejce przez wszystkie dni, prawie do końca targów. Mieili apetyt na lśniące, nowoczesne odkurzacze, wyprodukowane we współpracy ze szwajcarską firmą Rotel. Zwiedzający wytrzeszczali na nie oczy, bo nigdy wcześniej, w sklepach, takich nie widzieli. Tuż obok dyżurował przedstawiciel „Zelmeru”, wykładając na ladę pliki reklamówek, niektóre tylko po angielsku, inne — informujące tak skąpo, jakby przeznaczono je dla ciężko myślących. Za całą charakterystykę ekspresu do kawy wystarczyło na przykład zdanie: „Ekspres wytwarza kawę do podgrzewania płynów”.

Nikt jednak na reklamówkę z „Zelmeru” nie narzekał, bo na innych stoiskach nie było ich wcale. Pan z Rzeszowa dysponował zresztą nie tylko prospektami, ale i częściami zamiennymi — na specjalne życzenie klientów, albo raczej — na życzenie specjalnych klientów.

— Jest tu ze mną redaktor z telewizji — przyprowadzono mu z boks ostrzyżonego na jeża osobnika — potrzebuje, inżynierze, taką uszczelnkę z gumy...

Meble, to osobny rozdział. Przemysł meblarski urządził się w dwóch dużych halach, o łącznej powierzchni 5,5 tys. metrów kwadratowych. Słyszając o cudach, jakie eksportujemy na Zachód, chciało się tam zobaczyć meble jeśli nie cudne, to przynajmniej estetyczne, starannie wykonane, funkcjonalne, odbiegające od sztampy. Uwierdziła w tych oczekiwaniach „Gazeta Targowa” donosząc, że przemysł meblarski wystąpi tym razem z „bogatą i wszechstronną ofertą”. Niestety — królowały, jak wszędzie, ciężkie segmenty na całą ścianę i niesmiertelne „zestawy wypoczynkowe”, czyli kanapa plus ława, plus dwa fotele (koniec nie ogromniaste). Wyjątkowo było zaledwie kilka: Łódzkie Fabryki Mebli zaprezentowały gustowny zestaw sypialny „Biała noc” (w cenie — bagatela — 630 tys. zł), Rzeszowskie Fabryki Mebli oferowały dla odmiany zestaw sypialny w czerni, o wdzięcznej nazwie „Morfeusz”.

Z tym „oferowaniem”, to także gruba przesada. Zestaw „Biała noc” był właściwie tylko na pokaz. Łódzka fabryka wytwarza go w ilościach do 1000 sztuk rocznie (na więcej nie ma „mocy”), a ponieważ Chińczycy zgłosili chęć zakupu 2 tys. sztuk, przeto dla kraju na długo nie starczy... Prezentując gościom targowym „Morfeusza”, przedstawiciel rzeszowskiej firmy żalił się:

— Byli tu u mnie hutnicy, wyrabiający potrzebne nam rurki. Serw rozmowy był taki: będą dla nich zestawy, znajdą się i rurki. A jak nie... — bezradny gest ramion.

— No tak, ale kiedy ten „Morfeusz” znajdzie się w sprzedaży?

— Kanapy już zrobione, widzą państwo, mamy jeszcze pewne trudności z tą ścianką, ale jakoś poradzimy sobie. Myślę, że w połowie przyszłego roku...

Cóż jednak narzekać, skoro bywały targów twierdzą, że wiosną było z meblami gorzej!

Sporo mebli, duża część kolekcji odzieży i wszelkie w ogóle nowości przemysłu, bez względu na branżę, miały na targach jedną cechę wspólną: puste, nie wypełnione rubryki karteczki prezentujące wyrob. Nie wypisano ceny albo wielkości oferty, bądź niczego, oprócz nazwy wyrobu. Trudno było w tej sytuacji handlować, lecz producenci mieli wytłumaczenie, zamykające wszystkim usta: brak wiedzy o zaopatrzeniu materiałowym, niepewność co do zasilania w dewizy.

Na temat wiedzy, a raczej niewiedzy, dotyczącej zaopatrzenia w materiały i surowce, powiedziało się na targach już wszystko. Największym optymistą w tej dziedzinie okazał się minister Jerzy Józwiak:

— W lipcu i sierpniu odbywały się — zorganizowane przez resort po raz pierwszy — wspólne spotkania producentów z dostawcami. Te quasi-giody „zabezpieczyły” potrzeby surowcowe gospodarki na poziomie od 60 do 90 procent zapotrzebowania, zależnie od grup towarowych. Ostatecznie giody, które odbęda się po targach, „dopną” już tylko niektóre szczegóły, jak wzory i kolorystyka. W sumie: jest lepiej niż na wiosnę. Producenci są w sytuacji prawie pełnego rozpoznania.

W dzień później, w czasie konferencji prasowej Federacji Konsumentów, Małgorzata Niepokulczycka oświadczyła z irytacją:

— Co roku postulujemy, żeby najpierw organizować giody, a potem dopiero targi. W tym roku znów będzie odwrotnie, pomimo zapewnienia, że to zupełnie wbrew logice, a efekt: producenci nie wiedzą, z czego będą mogli produkować.

W tym samym dniu, w dwie godziny później, dziennikarka z „Przeglądu” zapytała przedstawiciela rzemiosła, co sądzi o wyrażonym przez ministra Józwiaka zapewnieniu, iż rzemiosło ma „zabezpieczone” 60 procent surowców. Odpowiedział wiceprezes Centralnego Związku Rzemiosła, Stanisław Korczak:

— Jeżeli tak jest, jak mówi pan minister, to oznacza, że brakuje na razie 40 procent zaopatrzenia, co jest kłopotem.



Targi w kolejce

Prezes Mieczysław Jakubowski dodał do tego przykład z własnej praktyki rzemieślniczej:

— Osobiście zmuszony byłem niedawno sprowadzić 600 ton brudnych worków polietylenowych po nawozach. Z zagranicy, za dolary oczywiście.

Skoło już padło magiczne słowo: dolary, pora zająć nieco głębiej za kulisy przemysłu odzieżowego, który bez dolarów obejść się już nie może. Przemysł ten prezentował się na targach wcale okazale. Jeśli patrzeć wyłącznie na wzory odzieży, abstrahuując od mierzonych często ofert ilościowych, a także od cen. Kolejki ustawiały się przeważnie przed boksami producentów, oferujących ubrania i wdzianka dla dzieci. Trudno się też było dopchać do przedstawicieli łódzkiej „Wólczanki”. Łatwo zrozumieć tę miłość do „Wólczanki”, zważywszy na wyjątkowo kiepskie ostatnie zaopatrzenie w koszuła.

Okazuje się, że renomowani producenci, tacy jak „Wólczanka”, „Romeo” i „Polanex”, wyprodukują w tym roku 20 mln koszul, z czego na eksport przeznaczą się ponad połowę, a dokładnie — 52 procent. W kraju pozostanie zatem mniej niż 10 mln, a powinno być — aby zaspokoić popyt — kilkakrotnie więcej. Czy to oznacza, że trzeba ograniczyć eksport? Dyrektorzy nie chcą słyszeć o takiej możliwości, wysuwając argumenty, które brzmią rozsądnie.

— Gdyby nie eksport — powiadają jak jeden mąż — nie moglibyśmy produkować na rynek wewnętrzny.

I zaraz zaczyna się wyliczanka: co trzeba kupić za dolary, aby wyprodukować koszulę o wysokiej jakości (a tylko takich pragną krajowi nabywcy) — wkłady do kołnierzyków i do mankietów, tkaniny bawełniane o specjalnym wzornictwie, np. w jodełkę czy melanz, nawet guziki i nici. Jeśli dodać do tego tzw. wkład dewizowy, którego żądają kooperanci z kraju, wychodzi, że każda koszula, skierowana na rynek wewnętrzny, zawiera w sobie surowce i półfabrykaty za 50 centów. Jak w takim razie nie eksportować?

Wyjście jest zatem jedno: dolarowy „zastrzyk” dla rodzimych kooperantów, żeby mogli się wyposażyć w nowoczesne maszyny, podnosząc dzięki temu jakość tkanin i tzw. dodatków. Plus jeszcze jedna hala produkcyjna wyrobów gotowych, czyli koszul.

Do tego znów są potrzebne dolary. Nie ma już obecnie dziedzin gospodarki, gdzie by one nie były potrzebne.

Czy można się zatem dziwić, że ministrowie przemysłu i rynku wewnętrznego mówili na targach najczęściej o dodatkowych środkach dewizowych, i o to samo pytali przeważnie dziennikarzy?

Najpierw więc, skąd je wziąć:

— Te dodatkowe 300 mln dolarów, którymi dysponujemy, to nie i. tego, tylko efekty zwiększającego się ostatnio eksportu — tłumaczy z naciskiem minister Jerzy Bilip, po czym powtarza to samo, co dyrektorzy fabryk-eksporterów: — Mamy więc jasną odpowiedź, że nie można ograniczać eksportu, bo zuboży się w ten sposób rynek krajowy.

Wiemy teraz już prawie wszystko: najnowszym atutem, wyciągniętym z rękawa resortów w obliczu perturbacji rynkowych i niepokojów społecznych, jest wygospodarowane 300 mln dolarów. Stawka... si w tej grze tymczasowe zaspokojenie, a raczej tylko złagodzenie niedoborów w najbardziej оголоonych z towarów branżach rynkowych. Czas działania: ostatni kwartał br. i pierwsze półrocze przyszłego roku.

Zakupi się dodatkowo m.in.: kawę, sery dojrzewające, mleko w proszku dla niemowląt, olej, środki czystości, bieliznę osobistą i okrycia dla dzieci, a także surowce dla przemysłu — bawełnę, włókna chemiczne, skóry. Część dolarów (70 mln) przeznaczy się na dodatkowe umowy z przemysłem, co przyniesie ma efekty w postaci m.in. 70 tys. — ecej telewizorów kolorowych, 18 mln sztuk więcej wyrobów dziewiarskich, 10 mln par rajstop itp.

Minister Józwiak mówił również o przygotowaniach mechanizmów finansowych, mających pobudzić produkcję na rynek. Chodzi o system ulg podatkowych, zbliżonych do ulg za eksport, premiujących dodatkowo dostawy dla sklepów w kraju. Minister Bilip wymienił pierwsze pozytywne efekty wprowadzonej niedawno zasady, uzależniającej przyznanie ulg eksportowych od utrzymania wielkości dostaw dla kraju (dyrektorzy przedsiębiorstw-eksporterów widzą na ogół pierwsze efekty negatywne tej zasady), mówił też o utworzeniu listy deficytowych surowców, których nie będzie wolno wywozić z Polski, zanim nie zaspokoi się potrzeb krajowych.

Czy to wystarczy, żeby poprawić zaopatrzenie?

Przypuszczalnie nie wierzą w to nawet wysocy przedstawiciele resortów. Nie próbują tego zresztą nikomu wmawiać. Rzecz jednak w tym, że również na targach, w oficjalnych wypowiedziach, pojawiły się głosy kwestio-

nujące generalne zasady polityki gospodarczej rządu, zwłaszcza zaś nadmierny fiskalizm.

— Podatki dożywają tych, co mają więcej zysku... W wyniku restrukturyzacji podatków od plac, wiele przedsiębiorstw pozbyło się swoich ekip remontowych, tworząc z nich zakłady „rzemieślnicze”, pracujące dla poprzedniego zleceniodawcy. Powstało w ten sposób kilkadziesiąt fikcyjnych zakładów „rzemiosła” — wyrzucił z siebie prezes Mieczysław Jakubowski — Takiej polityki gospodarczej rządu ja nigdy nie zrozumiałem, i wy — wskazuje na dziennikarzy — też na pewno jej nie rozumiecie!

W takich to właśnie nastrojach odbywały się Targi Krajowe „Jesień 88”. Na najważniejsze dla handlowców pytanie — czy było lepiej niż w czasie ubiegłorocznej „Jesieni” i na targach wiosennych, trudno odpowiedzieć jednoznacznie.

Wartość oferty towarowej oceniono na bilion złotych — takiej cyfry jeszcze na targach nie było! Jeśli ją przyrównać do kwoty ubiegłorocznej („Jesień 87” — 518 mld zł), wzrost wydaje się fantastyczny. Już samo to dowodzi, jak zawodne są obecnie porównania złotówkowe. Co bowiem pozostanie, gdy uwzględnimy inflację?

Teraz więc zimny przysnec: na ekspozycję przeznaczono (zgodnie z potrzebami) powierzchnię ponad 83 tys. m kw., tj. o 12 tys. m kw. więcej niż na targach „Wiosna 88”, ale — uwaga — za to o 4 tys. m kw. mniej niż w czasie ubiegłorocznej „Jesieni”. Kto wie, czy nie jest to najbardziej wiarygodny wskaźnik zainteresowania targami.

Oferta wyrobów dziewiarskich i pończoszniczych jest wartościowo wyższa od ubiegłorocznej o 73 procent, lecz dostawy ilościowe — informuje biuletyn ministerstwa — „kształtują się w większości wyrobów poniżej poziomu osiągniętego w I półroczu 1988 roku”.

Podaż wyrobów odzieżowych z tkanin wzrosła pod względem wartości o 54 procent, lecz w cenach porównywalnych — zaledwie o 5 procent. Biorąc pod uwagę, że w latach poprzednich na targach nie wystawiało kilkanaście renomowanych zakładów odzieżowych, które teraz powróciły do Poznania, świadczy to o niższych przeciętnie ofertach poszczególnych przedsiębiorstw.

Rzemiosło przedstawiło na targach wyroby o wartości wyższej o prawie 87 procent (w porównaniu z „Jesienią 87”). Uwzględniając wzrost cen, rzemiosło jest „na plusie” tylko o mniej więcej 20 procent. Mimo wszystko jest to wynik lepszy od osiągniętego przez przemysł „kluczowy”, który jednak ciągle dominuje, oferując (pod względem wartości) dwie trzecie wszystkich wystawianych towarów. Gdyby nie pewne symptomy, świadczące o powrocie — po kilku latach nieobecności — poważnych producentów do Poznania, można by snuć prognozy, że udział przemysłu w społecznym będzie w latach następnych ciągle maleł, na rzecz rzemiosła, spółek i firm polonijnych.

Tak czy owak, firmy polonijne i spółki są już teraz najbardziej... słyszane, ogłaszając się nieustannie przez megafony. Przyjemnie też było przejść się po pawilonie, gdzie wystawiały swe towary: panowała tam większa dbałość o estetykę ekspozycji, nie zapomniano o kwiatkach, aparatura wideo migotała nie tylko przy stoiskach z elektroniką, były nawet druczki reklamowe — słowem: trochę innego świata, gdzie handlowcom stawia się kawę...

Takie mamy targi, jaki jest nasz rynek i cała gospodarka — wypowiedział się skromnie dyrektor Stanisław Laskowski. Dyrektor naczelny MTP wspominał również o najważniejszych słabościach targów, jakimi są: kiepska łączność ze światem i skromna baza noclegowa. O inwestycjach łącznościowych nie usłyszano nic konkretnego. O bazie dyrektor powiedział tak:

— Występujemy od dawna do rządu o budowę nowego hotelu w Poznaniu. Na razie cisza...

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

PS. W poznańskiej „Gazecie Targowej”, wydanej z okazji „Jesieni 88”, ukazał się artykuł Grażyny Rejer pt. „Czekając na metamorfozę”. Jest on w całości poświęcony łódzkiemu targom „Interfashion 88”. Autorka, przytaczając słabości i mocne strony targów w Łodzi, sugeruje w końcu, że „Interfashion”... „musi ulec metamorfозie, jeśli ma to być impreza o europejskim zasięgu i znaczeniu”. Zainteresowanych treścią artykułu odsyłamy do „Gazety...”, warto jednak przytoczyć choćby fragment publikacji, szczególnie napastliwy:

„Nie można się dziwić łódzkiej organizacji i tym samym — jak przyznają — ożywić miasto. Nierozumiana jest jednak taktyka umawiania wszem i wobec sukcesów tej imprezy. Być może jest to błąd najbardziej rzucający na obraz tych targów. Mimo przecież owej „propagandy sukcesu”, każdy z uczestników tej imprezy to tylko drobni kupcy w rodzaju firmy z Indii „You and me”, albo tacy, którzy pomylili adresy i znaleźli się w Łodzi zamiast na poznańskim „Intermaszu” (np. Internationale Schuh-Maschinen z RFN prezentujący maszyny i urządzenia dla przemysłu obuwniczego). Niemniej zaskakująco niezgodnie z „oficjalną” wizją tych targów wypadli partnerzy z Węgier, którzy zjawili się tu, czy to w celach turystycznych, czy też z towarzyskiego obowiązku, zdobyli się jedynie na wystawienie... trzech zdjęć. Słowem, propaganda „Interfashion 88” często jakby rozmijała się z realiami. No, może poza stoiskiem Pakistanu, gdzie wyeksponowano koszulkę z napisem „Peace for world” oraz podobiznami Gorbaczowa i Reagana”.

Przytaczając ten cytat, wyrażam nadzieję, że łódzcy obserwatorzy targów w Poznaniu nie przejmą od autorki ani metody opisu, ani tonu jej artykułu.



Foto: Witold Werner

Wśród nich jest pan M. Mówią o nim, że przystojny, że umie pogawędzić z kobietami. Miedzy Zaleską a panem M. nawiązuje się romans. Wszystkie dzieje się dyskretnie, w czterech ścianach.

Trudno ferować wyroki, wydawać opinie w sprawach tak delikatnych, subiektywnych, nietatwych do opanowania jak uczucia. Tym bardziej, że młodzieńca, gimnazjalna miłość wygasła. Fascynacja przeszła w codziennosc, wreszcie w nudę.

Jej uczucia. Śmiechem na pro-pozycję rozwodu i małżeństwa a może pojedynku. Degradację męża i wysłanie go na front przyjęła obojętnie, jakby dotyczyła obcego człowieka. Życie w Kijowie potoczyło się dalej utartym torem. Jeszcze przez jakiś czas plotkowano o jakże ekscytującym zabójstwie pana M., jeszcze przyglądano się Marcie Zaleskiej z niezdrowym zainteresowaniem, a niekiedy wytykano ją nawet pociągami. Jednak sytuacja wojenna wkrótce przytłoczyła ciężarem ważniejszych wydarzeń ten sensacyjny epizod.

W 1918 roku Kijów, jak zresz-

żywnosc i ubranie, ulatwiała im ucieczkę i powrót do szeregow. Imię jej pozostało niezapomniane wśród wielu, którzy jej zawiądzają wolność, a nie raz i życie. Ofiara i dzielna pracowniczka POW swą niezmordowaną pracą oddała wielkie usługi zawsze stojąc do pracy w najtrudniejszych chwilach. Za całokształt jej pracy przedstawiamy ją do odznaczenia Krzyżem Walecznych po raz pierwszy.

Pod spodem widniał zamieszysły podpis: „Ziemiański, kapitan”. Zaświadczenie to zamknęło jeden z okresów w życiu Marty — czasy żytomier-

ziesięć dni to dostatecznie, długo, aby zachwycić się Lwowem, nie-powtarzalną urodą miasta i jego pamiątek historycznych, zwiedzić muzea i galerie, wielokrotnie, bez pośpiechu wędrować uliczkami, których nazwy po polsku i po ukraińsku są podobne — Ormiańska, Krakowska, Raska, Serbska, Halicka, Wawowa i Podwale, a wieczorami w gronie lwowskich znajomych: Ukraińców, Rosjan, Polaków i Żydów spierać się o historię, tę dawną i najnowszą, o teraźniejszość i sprawy aktualnie dziejące się w Polsce i Związku Radzieckim. W tym miejscu godzi się zaznaczyć, że wywodząc się tak po mie-czu, jak i po kądzieli z zachodnich kresów Kongresówki, na Lwów patrzyłem okiem z-ciekawionego turysty, bez żadnych ubocznych, subiektywnych reminiscencji, jak się wydaje wolny od syndromu polonocentryzmu i uznają-cy współczesny kształt Polski i Europy.

Gdy już w pamięci zapisały się — piękna panorama miasta oglądana z Wysokiego Zamku, zabytkowe wnętrza archikatedry, kaplice Boimów i cerkwi wołoskiej, pamiątki przeszłości i dzieła sztuki zgromadzone w Arsenale, Galerii Malarstwa i Muzeum Historycznym, przyszedł pora zobaczyć Cmentarz Łyczakowski. To o tej lwowskiej nekropolii w przewodniku wydanym przed ponad półwiekiem można przeczytać, że „położony na terenie pagórko-watym, zacieniony starymi drzewami, które da-ją schronienie całej rzeszy płaczą i wiewió-rek, posiadający platanię dróg i ścieżek, robi wrażenie nie miejsca smutku i żałoby, ale raczej starego parku-ogrodu. Toteż przypadło mu w udziale miano najpiękniejszego w Pol-sce cmentarza”.

W pobliżu głównej bramy, znajdującej się u wylotu ulicy Piekarskiej, bez trudu można odnaleźć przystrojone przez Polaków kwiatami grobowce Marii Konopnickiej i Gabrieli Zapolskiej, tuż obok Seweryna Goszczyńskiego i Władysława Belzy, autora nowszemu znane-go „Katechizmu polskiego dziecka”, a nieco da-

Moi ukraińscy przewodnicy mówią, że to wy-nik pogłoski krążącej wśród cmentarnych zio-dziei, jakoby pod płytkami porcelany miały być ukryte złote obrączki zmarłych.

Czas niszczący opuszczone groby, nawet te najbogatsze, zdobione marmurem i granitem, trzeba się z tym pogodzić, można by nawet powiedzieć, że tak przemija sława i wielkość. Naturalne jest, że rozspływają się przedzwia-kraty i nagrobne latarnie, że deszcz i wiatr niszczy rzeźby i grobowce, zacierają napisy, że zapadają się dachy i kopuły kaplic, ale smutkiem i żalem napawa obraz zniszczenia dokonanego ręką ludzka.

Oto kaplica sprofanowana napisami i spro-nyimi rysunkami, inna ma częściowo spalony dach, prawdopodobnie w wyniku podpalenia, w prawie każdej zniszczone wyposażenie wnętrza i wylamane wejście do podziemi, w których składano trumny. Dramatycznie kon-trastują na Cmentarzu Łyczakowskim okazałe i zadbane współczesne groby z rozpadającymi się i zniszczonymi grobami dawnymi. A prze-cież spoczywają w nich ci, których umysł, pra-ca i działalność publiczna tworzyli historię miasta, ci, którzy niezależnie od narodowości i wyznania budowali kamienice i kościoły, te-atr i muzea, gromadzili księżki i dzieła sztuki, którymi słusznie chlubi się współczesny Lwów. Przed nazbyt łatwymi słowami potępienia pow-strzymuje pamięć, jak jeszcze przed kilkunastoma laty wyglądały łódzkie cmentarze ewange-lickie i żydowski, na których dopuszczono się podobnego barbarzyństwa i niegodnego regu-lowania rzeczywistych lub tylko wymaglinowa-nych porachunków narodowych, religijnych i politycznych.

Najbardziej przykre wrażenie budzi cmentarz obrońców Lwowa, uczestników walk w 1918 i 1920 roku. Tu dokonano się całkowite u-nicestwienie grobów. Na to miejsce można się dostać jedynie poprzez wyrwę w murze, na którym ktoś wydrapał krzyż, strzałkę i po pol-sku napisał „Cmentarz Orląt Lwowskich”. Na

Urok pani Marty

Oddalenie męża, samotność do-konały reszty.

— Czy Marta sama powiedziała mężowi o panu M., czy dowie-dział się z uszu innych ust fałszywych przyjaciół? A może rzeczywiście, jak niektórzy plotkowali, zastał Martę z panem M. w sytuacji dość jednoznacznej. Trudno orzec, wszak była to sprawa intymna między trzema osobami. Decydująca rozmowa wyjaśniła wszystko. Marta przyznała, że kocha pa-na M., i że chce za niego wyjść za mąż, aby miłość przypieczę-tować dożywotnim węzłem małżeńskim. I liczy na to, że on wyrazi zgodę na rozwód.

Zaleski nie był mężczyzną tu-minkowym. Zrozumiał żonę, a w każdym razie starał się. Postanowił sam wysłuchiwać całą sprawę i doprowadzić do koń-ca, chroniąc choćby częściowo honor żony. Idzie więc do pa-na M. osobiście, żeby się roz-mówić.

Rywal mieszka w hotelu. Ele-ganckim, wytwornym. Są to jednak tylko zewnętrzne cechy pana M. Nie dotyczy jego cha-akteru, poczucia odpowiedzialności. Zaleskiego przyjmuje, mimo południa, w łóżku. Nawet się nie tłumaczy, nie przeprasza. Uważnie wysłuchi-je tego, co ma do powiedzenia zdradzony mąż. W odpowiedzi wybuch śmiechem.

— Jakże małżeństwo? Jaki rozwód? Owszem, spędziłyśmy wiele miłych chwil, ale ja nie mam zamiaru żenić się z panem M.

Zaleski nie podziela jego roz-bawienia. Przed oczami robi mu się ciemno, jakby ten znu-dzony miłośnikami mężczyzną w jedwabnej piżamie dopiero te-raz go obraził. Jakby nie była dyshonorem zdrada żony, lecz odmowa małżeństwa z nią. Nie zdając sobie sprawy z faktu, że dopiero w tej reakcji można dopatrzeć się śmieśności, uno-si się oburzeniem. Wrze w nim krew polskiego szlachcica i ro-syjskiego oficera. Urodził się w dobrej rodzinie i przywdział carski mundur, nieważne, że nie z własnej woli, ale przecie go nosi.

Zrywa się z krzesła, na któ-rym przysiadł. Szabie zaczepia o oparcie. Pochylił się roz-juszony, jakby zamierzał szar-zować. Lustro toaletki odbija jego czerwona z wściekłości twarz. — Pan M. przygląda mu się z zaciekawieniem. Jeszcze nie pojmuje jego nagłego gniewu.

Zaleski zdecydowanym ru-chem sięga do kabury. Wyrwa rewolwer. W ulamku sekundy mężczyzna w jedwabnej piżamie dostrzegł śmiertelne nie-bezpieczeństwo. Bezsensownym odruchem zasłania twarz koldrą. Wystrząsł padają jeden po drugim. Pociski drą poszew-ke, znaczą ją ciemnymi dziu-rami. Koldra flaczeje. Postać ludzka nieruchomieje. Dziury po kulach nasiakają czerwie-niłą.

Zaleski wkłada rewolwer do kabury. Gdyby spojrzal teraz w lustro, zobaczyłby papierowo-błądą twarz między epoletami. Lecz on nie patrzy na pokój, na łóżko. Wlepią wzrok w okno. W rysujące się za nim obłoki. Niebo. Opada z powrotem na krzesło. Czekaj, aż ktoś przy-dzie, aż będzie mógł powiedzieć.

— Zabierz kochanka żony. Tak też powie przed sądem wojskowym. Nie będzie to prze-myślana, zrecznie wykoncypowa-na linia obrony, lecz tylko stwierdzenie faktu. Czy sędzio-wie potrafił się wczuć w sy-tuację oskarżonego, czy może sami przeżywali podobne roz-terki domowe czy też pojmowa-li, co to jest honor szlachcica i oficera, dość, że zapadł wyrok stosunkowo łagodny: degrada-cja i wysłanie na front.

Dla Marty był to podwójny szok. Śmierć ukochanego, a równocześnie zawód, jaki jej sprawił swą reakcją. Drwina z

cały teren Komendy Naczelnej numer 3 Polskiej Organi-zacji Wojskowej na Ukrainie, był zaabsorbowany czym in-nym niż plotki o romansach. Ożywną działalnością organi-zacyjną. Nie było polskiej ro-dziny i polskiego domu, gdzie by choć jedna osoba nie zaan-gażowała się w pracę dla spra-wy. Siatkę POW rozbudowywa-no i przygotowywano do dzia-łań zbrojnych.

Fala entuzjazmu i służby dla Polski nie ominęła i pani Za-leskiej. Całe swe duże miesz-kanie pozostawiła do dyspozycji organizacji. Tutaj swą kwatere znalazł przybyły do Kijowa le-gionista, wyznaczony na komenda-nta KN3 — Leopold Lis-kula.

Z mieszkania w Kijowie idzie po Ukrainie wieść: łączność z krajem ostatecznie ustalona. Od Pilsudskiego przyjechał wy-słannik. Mamy swego komenda-nta. Młody, prawie chłopiec o przeczystych oczach dziecka, które patrzeć umieją jak oczy męża stanu. Dziwiał się trochę konspiratorzy, że taki młody, zachwycający się kobietą, że taki przystojny i urokliwy. Nikt mu się jednak nie sprzeciwia, wszyscy bez szamrania wyko-nują jego rozkazy. Bije odeń czar i pewność, że nawet star-si wiekiem i rangą poddadzą mu się bez wahania.

Wprędce zaskarbia sobie o-gólną sympatię, a niejedna po-wiastka kocha się w nim skry-cie. Niemożliwe by i Marta nie uległa niecodziennemu urokowi przystojnego komendanta. Tym bardziej, że ją wyróżnił, wy-bierając jej wygodne mieszka-nie na kwatere. Fascynacja no-wym mężczyzną trwała jakiś czas. Dokładnie aż do września 1918 roku, gdy do Kijowa zje-chał sam obywatel Smigły — Komendant Główny POW. Mar-ta jest wtedy już członkiem organizacji, a więc podwładną Rydza. Nie przeszkadza to w niczym rodzącej się sympatii, a może nawet ją pogłębia.

Przybycie Smigłego było naj-większą konspiracyjną tajem-nicą. Wszystkie dziewczęta z oddziału żeńskiego POW, choć może miały i wiele wad kobie-cych, jednego się tu nauczyły — sztuki milczenia. Nieliczne wiedziały o tej wizycie, ale te, które zostały dopuszczone do tajemnicy, przypuszczają, że przyjął komendanta głównego zapowiadając ważne wydarzenie.

Wkrótce przypuszczenia po-twierdziły się. Już w końcu paź-dziernika Lis-Kula wydał roz-kaz mobilizacyjny, który kurier-ki rozwoziły do wszystkich oddziałów. Mieli wyjść z Kijo-wa do Galicji Wschodniej, ale bez kobiet. Wśród powiastek nastąpiła konsternacja, lecz Lis-Kula stanowczo obstawał przy swoim.

— Idziemy nie wiedząc, co nas czeka, ani jaka będzie wal-ka. W tych warunkach panie mogłyby nam tylko przeska-dzać.

I rzeczywiście. W dniu 8 lis-topada kijowski oddział POW został rozbity w Brodach. Do Kijowa dotarła wiadomość o zabitych i rannych. Marta pla-kala wraz z innymi dziewczynami. Wszystkie czuły pustkę i przygnębienie. Petlura zajął Kijów. Na mocy układu z Ko-mendą Naczelną pozwolili mło-dzieży na swobodny przejazd przez Ukrainę. Korzystając z tego wiele kobiet udało się do kraju. Zapewne skorzystała z tej możliwości i Marta Zaleska. Nim to nastąpiło, kapitan Ignacy Ziemiański zasiał za biurkiem, zamoczył pióro w ka-lamarzu z atramentem i na-pisał: „Ob. Zaleska Marta w 1918 z prawdziwym poświęce-niem pełniła dobroczynnie przy-jęty na siebie obowiązek utrzy-mania łączności pomiędzy arez-towanymi przez Niemców i bol-szewików żołnierzami I-go Kor-pusu a społeczeństwem polskim w Kijowie. Zaopatrywała ich w

skie i kijowskie, a wraz z ni-mi małżeństwo z Zaleskim. Tym razem mąż nie robił zbyt wielkich kłopotów. Nie poszedł zapewne na decydującą rozmo-wę do Smigłego, który wtedy już otrzymał szlify generalskie z rąk Pilsudskiego. Ten ostatni fakt gwarantował honorowe po-traktowanie Marty, a także jej dostąpienie żywo, zabezpieczenie na starość, gdy istnienie i funk-cjonowanie majątku ziemskiego Zaleskiego stało pod wielkim znakiem zapytania. A poza tym mąż widział, że Marta nie mo-że żyć bez miłości. I po prostu schnął w oczach.

Zaleski zdobył się wówczas na żart.

— Zona zdegradowanego ofi-cera rosyjskiego będzie polską panią generałową. Nawet za Napoleona nie było tak szalo-nych, zawrotnych awansów.

Wyraził zgodę na rozwód. Nie stawiał przeszkód. Złosił wy-twierdził, że czekał tylko na to, aby oddać żonę w dobre ręce. Tymczasem on po prostu rozumiał, że nie będzie w sta-nie nicemu się sprzeciwić, nie zmienić. Stracił ją definityw-nie. Coś stał gdyby formalnie pozostała u jego boku.

Rozwód z Zaleskim i ślub z Rydzem odbyły się prawdopo-dobnie w roku 1921. Jednak niektórzy uważali, że nie było niczego podobnego. Żyli po prostu razem, a związek mał-żeński zawarli w 1939 roku. Czyżby dopiero po śmierci Za-leskiego? Szczegóły znają nie-liczne osoby. Smigły był wscho-dzącą gwiazdą armii, to oczy-wiste, lecz jedną z wielu, a więc nie pierwszą wielkością. Poza tym stosunkowo mało miał bliskich, przyjaciół od ser-ca i prawie wcale rodziny czy krewnych.

Zresztą Marta Zaleska wzię-ła ślub kościelny ze swym pierwszym mężem. Uzyskanie rozwodu było praktycznie niemożliwe. Trzeba by zmienić wyznanie. Wtedy związek sta-wał się nieważny, a małżeń-stwo zawierało się według no-wego obrządku. Może tak wła-snie uczynili państwo Rydzowie, ale czy na pewno? Sfery towa-rzyskie, w których się oboje o-bracali, podobnych rozwodów i nowych związków nie potępia-ły. Wielu polityków, generałów i oficerów rozwiązywało w ten sposób własne problemy kole-jnych żon, choć nie było czym się specjalnie szczycić czy chwalić. Toteż kiedy niedługo po zawarciu pokoju z bolszewi-kami przyjeżdża Smigły do Brzeżan, by przedstawić nowo zaślubioną żonę swych przy-jaciół i znajomych z czasów młodości, nie się na ten temat nie mówi.

Wszystkim wystarcza to, że Edward ma piękną, pełną u-roku żonę, która zgodnie z za-powiedzią, jaką uczynił w swym zaświadczeniu kapitan Ziemiański, otrzymuje rozkazem Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego z grudnia 1922 roku Krzyż Walecznych — dowód wierniej służby krajowi w sze-regach POW.

CEZARY LEŻEŃSKI

OD REDAKCJI

Są to fragmenty książki pt. „Kwiera 139” opowieści bio-graficznej o Edwardzie Rydzu-Smigłym, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego. Autor każdy rozdział zaopatruje w bogatą bibliografię i odnośni-ki do źródeł, z których korzystał — z braku miejsca zmuszeni jes-tśmy z tego zrezygnować.

Niech odpoczywają w spokoju!

Smutek lwowskiej nekropolii

GRZEGORZ MATUSZAK

lej symboliczny grób Ordona, sławnego obroń-cy reduty w powstaniu listopadowym. To tutaj spoczywają prochy Artura Grottgera, krytyka i historyka literatury Józefa Kallenbacha, his-toryków Oswalda Balzera i Karola Szajnoch. W pobliżu znajduje się miejsce ostatniego spo-czynku zasłużonych dla ukraińskiej kultury po-ety Iwana Franko, śpiewaczki Solomei Kru-szelnickiej, a także zamordowanego przez na-cjonalistów komunisty Jarosława Gałana. Ty-siące grobów Polaków, Ukraińców, Rosjan, Austriaków, Ormian, artystów i uczonych, po-litków i wojskowych, urzędników i duchow-nych, grobów starych i zupełnie nowych.

Istniejący od XVI wieku Cmentarz Łyca-kowski, na którym można zobaczyć grobowce, pomniki i kaplice liczące ponad 150 lat, jest w zasadzie zamknięty, jak objaśniają mnie to-warzyszący mi lwowscy znajomi, ale stale przybywają nowe groby. Obok XIX-wiecznych grobowców z popiersiami lub scenami religij-nymi i alegorycznymi wiele jest grobów współ-czesnych, z napisami w języku rosyjskim i u-kraińskim i popularnymi realistycznymi por-tretami zmarłych wykonanymi na czarnym granicie metodą płaskowca. Często nowe pomniki mają za fundament stare grobowce, liczne są przypadki wykorzystywania dawnych, gotowych już katakumb do współczesnych po-chówków. Wywołuje to wrażenie szczególnego rodzaju eklektyzmu i dysonansu, gdy obok siebie znajdują się grobowe tumby biskupów ormiańskich, wyobrażonych w szatach ponty-fikalnych i wyższych oficerów Armii Czerw-nej w pełnej gali orderowej, a groby znazo-ne hrabowskimi i baronowskimi koronami sa-siadują z mogiłami, na których umieszczono niewysokie czerwone obeliski z pięciociermięną gwiazdą. Zmieniają się czasy i zmienia się wygląd cmentarza, to nieuniknione: coraz mniej grobów z inskrypcjami łacińskimi, niemiecki-mi i polskimi, coraz więcej z rosyjskimi i u-kraińskimi.

Niektóre budzą jednak wątpliwości: oto w kwatrze powstańców z 1863 roku pochowany został profesor Benedykt Dybowski, skazany w procesie Romualda Traugutta, zesłaniec, ba-dacz Syberii. Na jego grobie, na tle żelaznych jednakowych krzyży stojących na mogiłach innych uczestników powstania styczniowego, najwidoczniej niedawno umieszczono granito-wą, okazałą tablicę, na której cyrylicą (wyrzy-to napis: „Zoolog, Benedykt Dybowski. 1833—1930”). Dziwnie i obco wygląda ten grób na powstańczym opuszczonym cmentarzu. A mo-że wystarczyłaby tabliczka informująca, umie-szczona obok grobu, a nie taka radykalna in-gerencja w miejscu wiecznego spoczynku po-wstańcy i uczynego?

Według po Cmentarzu Łyczakowskim co krok można napotkać rozpadające się kaplice i grobowce, niektóre najwyraźniej zniszczone i penetrowane przez hieny cmentarne. Setki roz-itych nagrobnych, porcelanowych fotografii.

terenie cmentarza zlokalizowano w końcu lat sześćdziesiątych zakład budowlano-kamiennar-ski i do dziś ocalały jedynie ślady siedmiu grobów, bezimiennych, na jednym z nich znaj-duje się krzyż. Moi ukraińscy znajomi mówią, że jeszcze kilkanaście lat temu stała tu ko-lumnada, dziś pozostał tylko łuk bramy wej-sciowej, obdarty z napisów, poszczerbiony. Zniszczenia dokonane kółami traktorów i sa-mochodów są więc zupełnie świeżej daty i nie mogą być przypadkowe. Barak zakładu kamie-niarskiego odradza kaplicę cmentarną, której kopułę widać z daleka, ale do której nie ma dostępu. Któryś z przychodzących tu Polaków wydrapał na wyłożonej płaskowcem ścianie dawnej bramy napis: „Polska pamięta”, ktoś inny na ledwie widocznym zarysie grobu za-tnął krzyż złożony z dwóch patyków zwizła-nych trawą, jeszcze ktoś inny położył skrom-ne kwiaty. Podobno takiemu samemu zniszcze-niu uległ lwowski cmentarz ukraińskich strze-lców śnieżnych, który w listopadzie 1918 roku toczyli z Polakami walki o Lwów.

Kilkgodzinnny spacer po Cmentarzu Łyca-kowskim napawa smutkiem nie tylko z powo-du nieubłaganej mijającego czasu, zacierają-cego ślady ludzi i wspomnienia o nich, powo-dującego rozpamiętanie się grobów i pom-ników. Jest to także smutek wywołany świadomością, że stare urazy i zadaw-nione rany dziadów i ojców jakże trudne są do zablżenia w kolejnych pokoleniach sy-nów i wnuków.

Na grobie Marii Konopnickiej wyrzyto frag-ment jej wiersza „Na cmentarzu”:

„Proście wy Boga o takie mogiły,
Które leż nie chcą, ni skarg, ni żałości,
Lecz dają sercom moc czynu, zdroj siły
Na dzień przyszłości”.

Według po Cmentarzu Łyczakowskim moż-na powiedzieć, że ani Bóg, ani ludzie nie wy-stuchali tego wezwania. Smutek historycznej lwowskiej nekropolii jest smutkiem wywołanym przemianami, opuszczeniem i nieuchron-nością rozpadu oraz postawami ludzi, którzy nie potrafili, a może nie chcieli zrozumieć wy-pisanego na grobach wezwania — niech od-poczywają w pokoju.

Tysiąc felietonów Włodzimierza Krzemińskiego — Ćwieka



Fot. Grzegorz Gałasiński

Rozmowa z Włodzimierzem Krzemińskim — pisarzem, felietonistą, satyrykiem

— Drukowany w tym numerze pański felieton nosi numer 1000. Skąd pan to wie? Swego czasu zdarzył się nam poważny błąd w numeracji pisma.

— To nie ma znaczenia dla numeracji moich felietonów. Jestem urzędnikiem i pedant. Mam komplety felietonów. Są uporządkowane, ponumerowane, mają bibliografię. W każdej chwili mogę znaleźć potrzebny felieton.

— Kiedy zaczął pan pisać felietony?

— W „Odgłosach” czy w ogóle?

— Zaczynamy wobec tego od początku.

— Zaczęłam pisać mając 17 albo 18 lat w młodzieżowym piśmie w Warszawie. Od tego momentu liczę też mój debiut pisarski. I kiedy urzędowo mi 40-lecie debiutu, to niektórzy dziwnie się, że tak wcześnie obchodzę ten jubileusz.

— Co to było za pismo?

— „Młody Las”. Było to pismo międzyszkolne. Wychodziło w Warszawie. Zachowałam jeszcze kilka numerów tego miesięcznika.

— A jak to się zaczęło w „Odgłosach”?

— Było to w 1964 roku. Naczelnym „Odgłosów” był wówczas Wacław Biliński. Spotkał mnie kiedyś na ulicy i zaproponował, abym spróbował pisać felietony. Napisałam na próbę dwa i poszły. Tak się to zaczęło i trwa do dziś.

— Jest pan — trzeba powiedzieć — najwierniejszym współpracownikiem pisma, bo najdłużej przy nim trwa. Zmieniały się czasy, naczelnicy, a pan przez cały ten czas pisał. Dlaczego?

— Przede wszystkim dlatego, że odpowiada mi felieton jako forma wypowiedzi. Poza tym dlatego, że chcę się wypowiadać, odczuwam taką potrzebę. No i dlatego — mówiąc cynicznie — że innej możliwości wypowiadania się w tej formie w Łodzi nie ma.

— Pisz pan w zasadzie o drobnych sprawach, paradoksach, kłopotach, nieprawidłowościach, wręcz bzdurach, które składają się na obraz naszej rzeczywistości.

— Felietony te noszą nadtytuł: Lewym okiem. To powinno wyjaśnić ich charakter. Piszę z przekąsem. Zdarzało się, że naczelnicy redaktorzy mieli do mnie pretensje, że jest jakaś roznica, jakies wydarzenie, a ja ciągle tylko o jakichś bzdurach, głupstwach, niedogodnościach. Przejawia się w tym moja cecha — patrzenie z ukosa na wszystko, na partię i na „Solidarność”. Wszędzie dostrzegam jakieś niedociągnięcia, nieporozumienia, braki.

— Chciałbym właściwie, aby moje felietony dotyczyły spraw dużych, ale aby były ilustrowane drobiazgami z naszego życia, z którym człowiek styka się codziennie niemal na każdym kroku. Często jednak te drobiazgi, które nam przeszkadzają, stają się ważne i duże. No, bo to są sprawy, które uwierają nas niczym piasek w butach.

— Tak jest przecież i rola felietonisty, aby zwalczać to, co przeszkadza, przeciwstawiać się temu, co jest złe.

— Zgadza się. Ale byłoby trudno powiedzieć, że w tysiącu felietonów, jakie wydrukowałam w „Odgłosach”, był to jedyny nurt. Są też inne. Od czasu do czasu ulegam cięgotom historycznym, wspominam stare czasy. Staram się też utrwalać obyczaje, które zanikają. Ostatnio, bo teraz można pisać odważnie niż kiedyś, staram się poruszać sprawy ważniejsze. Chciałbym, aby nadal te nurty się przeplatały.

— W następnym tysiącu felietonów?

— Mam ochotę zacząć ten następny tysiąc. Nie z tego względu, trudno przewidzieć. Mam jeszcze wiele tematów do podjęcia.

— Co panu jest pomocne przy pisaniu?

— Kiedy mogłam sam czytać, pomagała mi prasa. Znajdowałam tam sporo inspiracji. Dużo czytałam w domu i bibliotekach. Teraz sam czytać nie mogę. Prasę czyta mi żona. Słucham radia i radio zastępuje mi prasę. A poza tym własne obserwacje, spostrzeżenia, doświadczenia, przemyślenia. Jeśli dobrze pamiętam, to chyba Stendhal powiedział, że literatura powinna być lustrem, przeksztalceniem, a nie kopiowaniem. Chciałbym, aby moje pisanie było takim lustrem, tylko trochę krzywym.

— Żyjemy w takich czasach, że długo nie zabraknie panu tematów do pokazywania ich w krzywym lustrze.

— Na pewno nie zabraknie. Wie pani, o czym był mój pierwszy felieton drukowany w „Odgłosach” w 1964 roku? O alkoholizmie w Polsce. Ten temat i dziś jest aktualny.

— Znalazłby pan pewnie i inne felietony, które można byłoby dziś przedrukować, bo nie straciły aktualności.

— Niestety, tak. Na przykład felietony o pozerstwie, o zaleciu, o zaigraniu, o biurokracji. Przez 27 lat byłem urzędnikiem i znam te sprawy z bezpośredniej praktyki. Wówczas nie mogłem o tym pisać. Dziś już mogę. To wieczny temat. Pisanie niewiele się zmienia, z pisanie o biurokracji nie wynika. Na przykład zakłamanie sprawozdawczości. Sporo o tym wiem.

— Był pan urzędnikiem. To już wiemy. Gdzie pan pracował?

— Jestem z wykształcenia ekonomistą. Zaczęłam pracować w Zjednoczeniu Przemysłu Skórzanego. Bardzo szybko zostałam naczelnikiem wydziału. Była to dość wysoka funkcja. Ale też wie-

działem, że dalej już nie pójdę. Wyższe stanowiska objęte były nomenklaturą. Ja — jako bezpartyjny — byłem poza nomenklaturą. Mogłam tylko awansować wszcz.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że człowiek zaczyna obrastać różnymi funkcjami, uczestniczy w różnych komisjach, angażowany jest do opracowywania różnych materiałów, sprawozdań, sporządzania analiz, ale nie awansuje na wyższe stanowiska. Jest jakby zablokowany na określonym poziomie urzędniczej hierarchii. I tak było ze mną. Angażowany byłam do różnych komisji, zespołów, przeszło 30 razy organizowałam Targi Krajowe w Poznaniu. Rządko bywałam w domu. I pewnego dnia wszystko się skończyło. Nie tak nagle. Powoli byłam wycofywana z komisji, zespołów i tak dalej. Widocznie mój sposób rozumienia pracy przestał się podobać.

— Przez ten cały czas pan pisał?

— Tak. Napisałam kilka książek. Pisałam teksty do „Wesołego Autobusu”. Pisałam felietony. Teraz sam się dziwię jak znajdowałam czas na to wszystko.

— Gdy czyta się pana felietony, to można w nich wyczuć sporo gorczy.

— Bo jest mi gorzko. Najbardziej gnębi mnie ludzka abnegacja. Ludzie zrobili się do wszystkiego niechętni. Wokół pełno jest chamtwa. Warunki w jakich żyjemy nie są łatwe. Ale trzeba też coś z siebie dać. Najłatwiej jest żądać. Często żąda się bezmyślnie. Choćby młodzi ludzie.

— Nie podoba się panu młodzież?

— Myślę, że i my, starsi, nie zawsze podobamy się młodzieży. Proszę jednak nie sądzić, że różnica wieku decyduje o mojej niechęci do młodych. Już raczej zgadzilibym się, że skala doświadczeń mogłaby tu być decydująca. Z racji moich służbowych obowiązków bywałam w RFN. Tam widziałam młodych Polaków jak kopali ziemię w wykopach, nad którymi stał w rozkroku Niemiec i nadzorował ich pracę. Dla mnie to było przerażające skojarzenie. Przez dwa tygodnie nie mogłam spokojnie spać. Myślałam z Niemcem uciekali z narażeniem życia, od tych w rozkroku stojących Niemców, którzy nas nadzorowali, a oni jada tam dobrowolnie.

— Jada po pieniądze, których im tu brakuje. Można to tłumaczyć brakiem perspektyw, możliwością szybkiego dorobienia się, usamodzielnienia się, zdobycia życiowej pozycji.

— To jest prawda. Ale z drugiej strony należy się po te pieniądze jadać młodzi, którym tu się wcale tak źle nie dzieje. Natomiast i najchętniej narzekają ci, którym dobrze się powodzi. Znam wiele takich przykładów, że przykro o tym mówić.

— Zmieniły więc temat. Na początku swoje felietony podpisywał pan pseudonimem Ćwieka. Dlaczego?

— Z kilku powodów. Pracowałam w przemysłowym zjednoczeniu, a chciałam „też” pisać o tym, co się wokół mnie działo. Wolalam, aby nie wiadomo, że Ćwiek to ja. Była też wówczas taka moda. Wielu pisarzy pisało pod pseudonimami.

— Jerzy Wawrzak, który w latach siedemdziesiątych kierował „Odgłosami”, ale chyba w późniejszym okresie tego kierowania, stanowczo zażądał, abym podpisywała się nazwiskiem.

— Jest pan pisarzem, felietonistą, satyrykiem. W której roli czuje się pan najlepiej?

— Zaczęłam wprawdzie od felietonu, ale napisałam też tomik wierszy lirycznych, które ukazały się w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec i w Polsce są zupełnie nieznane. Kilka z nich ma wstęp do antologii wierszy wolnych. Napisałam dwie powieści, kilkadziesiąt opowiadań. Pisałam piosenki, skecze, eseje. Te ostatnie próbuję wydać w książkę, ale to dziś strasznie trudne. W której roli czuję się najlepiej? Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Może to źle, że się rozdrabniałam. Sądzę jednak, że pisarz powinien stosować taką formę, w której najlepiej, najdokładniej może przekazać odbiorcy to, co ma mu do powiedzenia. Jeśli potrafi korzystać z różnych form, to chyba dobrze.

— A jak by pan określił kondycję pisarza w naszych niełatwych czasach?

— Jako słabą. I tę materialną i tę społeczną. Zresztą samo pojęcie pisarza jest dość problematyczne. Wydał ktoś jedną książkę i już uważa się za pisarza, dostaje stypendia, może korzystać z różnych udogodnień. Mało jest takich pisarzy, którzy utrzymują się tylko z pisanie książek. Na ogół dorabiają sobie innymi formami. Właśnie teksty do piosenek, teksty satyryczne, różne drobniaki dają lepsze możliwości utrzymywania się z pisanie. Nie sądzę, aby tak być powinno.

— Pozwoli pan, że na zakończenie naszej rozmowy, w imieniu naszych czytelników i swoim będę panu życzyła wielu jeszcze interesujących felietonów, zdrowia i długiego życia w dobrej kondycji.

— Dziękuję.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Wyjątkowo w tym numerze felieton Włodzimierza Krzemińskiego z cyklu „Lewym okiem” znajduje się w innym miejscu niż zwykle. Powodem tego jest fakt, że ten felieton nosi numer 1000. Rzadki to przypadek, że jeden autor przez tyle lat pisuje felietony w jednym piśmie. U nas przecież wszystko się tak łatwo zmienia.

A właśnie, ile jest lat? Gdyby przyjąć, że każdego roku ukazywały się po 52 numery, to wyszłoby, że Włodzimierz Krzemiński pisuje swoje felietony, patrząc na świat „Lewym okiem” przez 19 i ćwierć roku. Zaczął jednak w 1964 roku, a więc pisuje je 24 lata. Jak to możliwe? Zdarzały się różne przerwy, wyjazdy, choroby. Pismo wychodziło, nie było felietonu. Zdarzało się, że redakcja nie zgadzała się na druk felietonu, co zdarzało się rzadko, czasami cenzura miała swoje zastrzeżenia, a czas mijał. I mimo różnych przeszkód, oto mamy skromny jubileusz — tysiąc felietonów.

Jak by tego faktu nie oceniać, jest to wydarzenie nie tylko w życiu autora. Również pisma. Zmieniały się bowiem zespoły, zmieniały się czasy, zmieniali się naczelnicy, a Włodzimierz Krzemiński przez cały ten czas chciał i miał coś do powiedzenia swoim Czytelnikom. Oni się z nim zgadzali, więc nie protestowali, albo się nie zgadzali, więc pisali listy. Co dla każdego autora jest miarą najwyższego uznania, nawet gdy w tych listach znajdują się niewybredne wymysły. Każde pisanie musi żyć reakcją tych, do których jest adresowane.

Publikując tysięczny felieton życzymy Autorowi wielu setek następnych, życzymy żywej reakcji Czytelników, życzymy dobrze układającej się współpracy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Lewym okiem

Pierwszy tysiąc

Ledwie w jakiejś spółdzielni, czy w ogóle w jakimś zakłacie gospodarczym minie pięć lat istnienia, już się odczuwa jubileusz. Są przemówienia, przypina się order, potem następuje część oficjalna czyli skromne przyjęcie dla dyrekcji i tak zwanych oficeli oraz występ „Wesołego Autobusu” dla całej reszty.

Ja też mam swój jubileusz, taki bez części oficjalnej, a także bez części nieoficjalnej, i o, co w tej chwili czytacie, jest moim tysięcznym felietonem na łamach „Odgłosów”. Zaczęłam je pisać i puścić w świat, kiedy wielu z moich dzisiejszych czytelników nie było jeszcze na świecie. Honorarium za jeden felieton wystarczało wtedy do nabycia siedemdziesięciu pięciu egzemplarzy „Odgłosów”. Dziś mogę kupić czterdzieści egzemplarzy, co świadczy, że moja działalność nie wpływa na zwiększenie nawisu inflacyjnego, przeciwnie, jest dla nacierzystej redakcji coraz mniej kosztowna.

Byłam wtedy panem w średnim wieku i założenie, że dobiegnę do tysiąca kawałków, nie było wcale całkiem pewne. Ale tak sobie założyłam, podobnie jak ktoś, kto postanawia zdobyć szczyt Kilimandżaro lub przejść całą Piotrkowską z jaskiem na głowie. Była to moja rzecz do zrobienia, rzecz, którą powinienem zrobić. Tak sobie wyobraziłam i oto ten, nieomal nałownie zmistyfikowany cel, właśnie się realizuje. Nie myślę, żeby to był zmarnowany trud. Kto wie, może nawet ten rodzaj działalności pisarskiej jest społecznie ważniejszy niż stworzenie jeszcze jednej niezmiennie uciążliwej powieści, w której nikt nie wie o co chodzi, czy wiersza, w którym na pewno nie chodzi o nic.

Jako jubilat, dostałam (od żony) paczkę fistaszków, kupioną za dewizy — siedzę teraz, gryzę fistaszki i myślę, o czym warto i wypada mówić, kiedy się mówi po raz tysięczny. Może, przy tej wyjątkowej okazji, pozwolę sobie na wrzucenie kamyczka do ogródka własnej branży, wspomnieć na przykład o tym, że żadna, ale to żadna redakcja nie odpowiada na listy, że giną maszynopisy, a bywa, że przekręca się nazwisko i imię autora. Ponoć zwierzęta domowe mają raz w roku w noc wigilijną okazję przemówić do człowieka jego językiem. Jak dotąd jednak nigdy z tej okazji nie skorzystały. Może mają rację. Bezpieczniej jednak chyba trzymać się utartego wzorca jubileuszowej fety.

„Jakie jest pańskie hobby?” — pytają w takich wypadkach „bohatera”, chcą mu sprawić przyjemność. Odpowiedziałbym wtedy, jak zwykle z odrobina przekory, czego szczególnie NIE lubię. Otóż nie lubię ludzi bardzo zadowolonych z siebie, nie lubię mleka z kożuchem, nie lubię, kiedy ktoś mówi bardzo

długo i z wielkim ozwywieniem, pięknym stylem, z użyciem wyszukanych słów, a do końca nie wiadomo o czym on właściwie mówi. Boże, jak to się często zdarza! Nie znośzę też fatalnego „sie” i „cie” w końcu zdania, zwłaszcza w piosenkach, a jeszcze bardziej nie lubię pewnej pani profesor, która w telewizji próbowała ten sposób wymowy uzasadnić. „Nikt przecież nie mówi „sie” — powiedziała pani profesor — mówi sie „sie”. Słyszcie, to każde „sie” i odczuwam jak draśnięcie ostrym paznokciem po plecach. Alergicznie nie znoś — i tu zostanie uznany za relikwinię minionej epoki — bolesnych, pełnych rozpaczliwych wrzasków, chrapiących krzyku torturowanych ludzi, ich zapamiętane miotania się, ciskania na ziemię, grymasów i podskoków, i nazywania tego wszystkiego muzyką i piosenką. Nie lubię być, mówiąc po gombrowiczowsku, upupiany czy traktowany z beztróskim przekonaniem, że uwierzcie we wszystko, co mi się do wierzenia podaje. Mój wierny sceptycyzm, cerowany już tu i ówdzie, jeszcze mi jednak jako tako służy.

No i nie lubię ostrą polką żywcem. Już wolę zwykłą, astrachańską kawior. Stop, lista zaczyna być za długa. Co by było gdyby ktoś, prowadzący ze mną wyimaginowany, jubileuszowy wywiad, powiedział na końcu tak: „Twierdzi pan, że nie lubi ludzi zadowolonych z siebie, a czy pan nie jest zadowolony z siebie po napisaniu tych tysiąca felietonów?” Odpowiedziałbym skromnie: „Jestem”.

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI



Rys. Janusz Szymański-Głone

Jeden z Czytelników tygodnika „Ogłosy” oskarżył mnie o redukcjonizm seksualny. Jego zdaniem, wszystko sprowadzam do poziomu penisa i vaginy. A przecież nie samym seksem człowiek żyje. Są wartości i sprawy znacznie ważniejsze. Czytelnik ów wzywa mnie do przedstawienia własnej filozofii życiowej.

Moja filozofia jest dość prosta. Przyjmuję trzy aksjomaty, które pozwalają ocenić działalność ludzi i organizacji społecznych. Po pierwsze — zakładam, że najważniejszą wartością w całym wszechświecie jest życie. Po drugie — uważam, że nasze życie trwa bardzo krótko. I po trzecie — sądzę, że prawdziwym fenomenem jest spotkanie innych ludzi w bezmiarze czasu i przestrzeni. Z tych zasad wyprowadzam następujące wnioski:

Oto jak szalenie kochał się Amaranta Urszula ze swym mężem Gastonem i jakie męki z tego powodu przeżywał Aureliano Babilonia.

„Żeby uśmierzyć miotającą burzę, pogryzł się jeszcze bardziej w pergaminach i ułknął niewinnych zaczepkę tej ciotki, której obraz nie dawał mu spać po nocach, lecz im bardziej od niej uciekał, tym większy niepokój wywoływał w nim jej hałaśliwy śmiech i mruczenie szczęśliwej kotki lub dziękczynne pienia samicy omdleającej z miłości, o byle jakiej goźdźnie i w najbardziej nieoczekiwanych miejscach domu. Późnej nocy o dziesięć metrów od jego łóżka, na stole w warsztacie złotniczym, małżonkowie w napaście miłosnego szaleństwa potłukli szkła i kochali się w kałuży kwasu solnego”.

Aureliano cierpiał bardzo.

„Nagle, niemal w zabawie, jakby to był jeszcze jeden figiel, Amaranta Urszula zaprzęta obronę na ułamek sekundy, a gdy zareagowała, przerażona tym, do czego sama dopuściła, było już za późno. Straszliwy wstrząs unieruchomił ją w punkcie ciężkości i przegwoździł do miejsca, a wolę obrony zdruzgotała nieodparta żądza odkrycia, czym są te pomarańczowe światły i niewidzialne stery czekające na nią po drugiej stronie śmierci”.

Opis zachowania Amaranty jest tak przekonujący i wiarygodny, że łatwo zaakceptuje go wiele kobiet. Można powie-

pozytywnym zjawiskiem jest to, że kobieta rozumiała swoje prawa, a mężczyzna ma świadomość obowiązków seksualnych. Dawniej mężczyzna dysponował nią, kiedy chciał i jak chciał. Teraz musi liczyć się z wolą i upodobaniami kobiety.

W listach do seksuologów kobiety często skarżą się, że nie są w pełni zaspokojone. Pragną częściej i dłużej odbywać stosunki niż ich mężowie. Niektóre zaniepokojone są niezdolnością przeżywania orgazmu. Prawie co trzecia małżonka nigdy nie doświadczyła orgazmu albo osiąga go czasami. Pytają więc, co mają robić, jakie pozycje i techniki stosować? Od czego zależy udane życie seksualne?

Na ostatnie pytanie odpowiem krótko, że najważniejsze są trzy rzeczy: miłość, fantazja i śmiałość. Nie należy zbyt prosto przyjmować się zalecanymi wzorami i technikami. Trzeba wspólnie poszukiwać i bez żadnego skrupułu wymieniać uwagi. Wszelkie udawanie, wstyd i lek uniemożliwiają osiągnięcie pełnej satysfakcji. Jakże zresztą tajemnice mogą mieć przed sobą osoby autentycznie zakochane? Rozumieją się nawet bez słów, gdyż prawdziwa miłość — jak uczył Erich Fromm — obejmuje oprócz troski, poczucia odpowiedzialności i poszanowania również poznanie.

Seks wymaga także fantazji. Trzeba wystrzegać się rutyny. Jeśli jakaś para zawsze kocha się w tej samej pozycji, na tym samym łóżku, przy tym samym oświetleniu, o tej samej porze — to przed jej oczyma musi pojawić się zblazowanie, przesyty i nuda. A wtedy niepotrzebnie szuka się ratunku w objęciach kogoś innego, w cudzym łóżu.

Brak zgrania w życiu seksualnym rzadko jest zawiniony przez jedną stronę. Z reguły zależy to od obojga partnerów. Powinni być cierpliwi, wyrozumiali, szczerzy, troskliwi. Muszą razem poszukiwać najlepszych dla siebie form.

O powodzeniu związku małżeńskiego i życia seksualnego w ogromnym stopniu decyduje temperament partnerów. Wiadomo na przykład, że orgazm rzadziej osiągają historyczki i introwertyczki, a częściej ekstrawertyczki. O znaczeniu temperamentu w zachowaniach ludzkich zabawnie pisał Mikołaj Rej:

„Albowiem to jest rzecz nieomylna, iż ciało człowiecze z tych się czterech wilgotności składać musi, to jest, że krewie, z kolery, flegmy a z melancholij. To już wiemy snadnie, co jest krew a co jest flegma; ale lankolia jest jakas — lipkość a klijowatość, po ciecie a po zianach — czułościęczną rozlaną, która też ma niemalo mocy swojej. A kolera to jest zgola gół, którą częstokroć i w każdym zwierzęciu widzimy. A ty czterzy wilgotności są sobie bardzo różne i sprzeczne. Bo krew czyni człowieka wesołego, hojnego, uspaniałego, kolera pynznego a zachwałego, flegma zaś leniwego, ospałego, blade-go, a melancholia frasownego a rzadko wesołego. (...) Bo koleryk wnet z myślą swą wzgórze wylecie, wnet chce być hełmanem, a choć nie niemasz, przedsię się sobie panem zda. Krewnik zaś wesoł, skaczę, miluje, obłapia, dałby barzo rad każdemu, by jedno co miał. Melancholik zaś lamentuje, wszystko mu nie wczas, wszystko się mu krzywdą widzi. A flegmatyk zaś chrapie, sapi, spi, a na brzuch pluje, a przed się i omacnie kofia podie siebie maca”.

Przed ślubem trzeba więc dobrze poznać temperament partnera. Bo co później z takim robić, który w łóżku spi, chrapie i sapie oraz na brzuch pluje? Polskie dziewczyny w ogromnej większości sprawdzają zresztą przyszłych małżonków przed ślubem. Książę prowadzący wykazy ślubów i chrztów — jak podaje doc. dr med. hab. Kinga Wiśniewska-Roszkowska — oceniają, że około 90 proc. par zawierających małżeństwo zaczęło współżycie seksualne przed ślubem, a w 40-50 proc. panna młoda jest już w ciąży.

W dzisiejszych czasach młodzież odrzuca postulat „czystości” przedmałżeńskiej. W Europie Zachodniej niespełna 1 proc. (słownie: jeden) dziewcząt dochodzi do małżeństwa w stanie dziewictwa. Jednakże polskie dziewczyny, o czym już pisałam, w jednym z wcześniejszych artykułów, przeważnie oddają się z miłości. Bardzo dobrze to o nich świadczy.



Mówi: Wojciech Wójtowicz

Brak zgrania w życiu seksualnym rzadko jest zawiniony przez jedną stronę. Z reguły zależy od obojga partnerów.

Seks a miłość i temperament

MIROSLAWA SARBINSKA

praktyczne: nie wolno krzywdzić istot żywych, nie trzeba trwonić czasu życia, należy współpracować i pomagać żyć bliżnim.

Jeśli życie jest wartością najwyższą i tak króciutko trwa, to trzeba z niego korzystać. Głosili to już mędrcy starożytni od Wschodu do Zachodu. Nawet w biblijnej Księdze Kohelet zachęca się do używania życia i osiągania szczęścia. Człowiek ma cieszyć się terazniejszością.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

„Używaj życia z niewiastą, którą ukochał, po wszystkie dni marnego twego życia, których ci Bóg użył pod słońcem. Po wszystkie dni twego marności! Bo taki jest udział twój w życiu i w twoim trudzie, jaki zadajesz sobie pod słońcem!” (Koh 9, 9).

Autor biblijny stanowczo twierdzi, że po śmierci nikogo nie czeka nic dobrego. Wskazywał na to, że życie jest samą łos. W ponurym Szeolu nie można szukać przyjemności. Nie ma znaczenia, czy ktoś był dobry czy zły, mądry czy głupi, składał ofiary Bogu czy nie składał. Dlatego powinniśmy chwycić radości życia.

W tej dziwnej i mądrej księdze czytamy, że wszystko jest marnością — marność nad marnością. Termin „marność” (hebel) występuje aż 41 razy, a zwrot „marność nad marnością” pojawia się dwa razy. Autor chwali życie i wskazuje, że sens jego polega na radości i szczęściu. Radzi stosować zasadę carpe diem, cieszyć się każdą chwilą i pamiętać o śmierci. Co użyjemy, to dla nas, bo po śmierci będzie tylko niedźna wegetacja cieni, piekło dla wszystkich.

W pewnym sensie zmierzamy znikąd donikąd. Nie ma, niestety, dowodów, że jest inaczej. Jesteśmy małym i krótko trwałym błyskiem świadomości w kosmosie. Naszą sytuację pięknie opisał Julien Green:

„Wiedziałem, że znaczący niewiele w porównaniu z wszechświatem, wiedziałem, że jesteśmy niczym; lecz to, że jesteśmy czymś tak niezmiernie małym, wydaje się nas zarazem przytłaczać i uspokajać. Te liczby, te wymiary przekraczające zasięg myśli ludzkiej, przynajmniej nas całkowicie. Czy nie istnieje nic, do czego moglibyśmy przystąpić? Pośród chaosu zbudzeń, w które rzucamy się głową naprzód, ostaje się tylko jedna prawda, a jest nią — miłość (pośr. M.S.). Wszystko inne jest nicotnością, pustką. Zaglądamy w olbrzymią, ciemną otchłań. I strach nas ogarnia”.

Jest rzeczą naturalną, że każdy chce mieć jakiegoś towarzysza swej drogi. We dwoje łatwiej wędrować przez życie. Najsilniejsze poczucie związku z drugim człowiekiem daje miłość, a najsłabsze — przeżycie jednej z nich. Osiąganie miłości fizycznej. Podczas stosunku seksualnego dotykamy ukrytych stron życia, mamy poczucie pełni.

Potęga seksu, jego związek z życiem i śmiercią znakomicie ukazał Gabriel Garcia Marquez.

gdyż skrycie kochał swą ciotkę. Nie mógł się skupić, przeszkadzały mu szept, śmiechy, i eksplozje „śmiertelnego szczęścia”. Pewnego razu Amaranta miała czas wolny i przyszła do siostrzeńca.

„Aureliano nie potrzebował jej widzieć, żeby wiedzieć, że przyszła. Oparła łokieć na stole roboczym, tak blisko i bezbronna, że Aureliano, znów doznając dawnego uczucia wiotczenia kości, i wyraża zainteresowanie pergaminami. Próbuje stłumić wzburzenie, zdolał uchwycić i przytrzymać własny głos i życie, które z niego uciekało...”

Urszula nie podejrzewała, że wzbudza w swoim siostrzeńcu tłumioną namiętność. Zrozumiała to, kiedy któregoś dnia rzuciła się z chciwością i oddaniem, aby wyssać jej rękę na skaleczonym palcu. Fuściły wtedy „tępy rękawca potoku uczuć” i Aureliano wyznał swą miłość.

Jakis czas później czekał na nią, gdy kąpała się w łazience. Nie miał już sił dłużej się powstrzymywać. Nie odstraszyła go nawet bliskość męża Amaranty.

„Poszedł za nią na palcach, zataczając się jak pijany i wszedł do małżeńskiej sypialni w chwili, kiedy ona rozchyliła szlafrok i przerażona znowu się okryła. Zrobiła niemy gest w stronę przyległego pokoju, gdzie za uchylonymi drzwiami, jak wiedział Aureliano, Gaston zaczynał pisać list.

— Idź precz — powiedziała bezgłośnie.

Aureliano uśmiechnął się, chwycił ją w talii obracając ją doniczkę z begoniami i rzucił na łóżko. Brutalnym szarpnięciem zerwał płaszcz kąpielowy, zanim zdążyła mu przeszkodzić i spojrzal w przepaść świeżo umytej nagości, gdzie nie było ani jednej smugi puszków ani pieprzyka, którego by nie wyszła w ciemnościach innych pokoiów”.

Początkowo Amaranta broniła

dzieci, że jest to odwieczny archetyp całego rodzaju żeńskiego. Jeśli samemu się tego nie przeżyło, to i tak jest to skądś znane, przekazane w genach każdej chyba — przepraszam za wyrażenie — samicy. Jest to podświadomy schemat miłosnych zapasów, obraz walki połączonej ze współdziałaniem.

Kiedyś napięcie erotyczne było znacznie większe, ponieważ kobieta była okryta suknią od szyi do ziemi. Nie pokazywała nawet kostek. Epoka nagości, odsłaniania biustu i kolan przyszła dopiero w XX wieku. Jest wyrazem demokracji i anarchii obyczajów.

Przypomnijmy sobie „Operetkę” Witolda Gombrowicza. Hrabia Szarm, syn księcia Himalaj, który ma „na rozkładzie” 257 kobiet, pragnie ubierać Albertynkę „cud dziewczynkę”, a ona, przeciwnie, chce się rozbić. Pod sukienką jest naga.

Na uwagę zasługuje pogląd matki hrabiego na temat nagości. Księżna mówi:

„Nagość, proszę państwa, jest demagogiczna, jest wprost socjalistyczna, bo i cóż by było, gdyby gmin odkrył, że nasza dupa taka sama? (...) Właśnie dupa, podkreślam, właśnie dupa! Bo, jeśli idzie o hecę, nogi, kończyny w ogóle, lub twarz, to hasa bardziej jest widoczna. Ale dupa!”

Wypowiedź żony interesującego nas księcia Himalaj. Tak widzi on różnicę między arystokracją a ludem:

„Co prawda bywają i w naszej sferze twarze gołsze od dupy. (...) Proszę zauważyć, na przykład, że ja uwalę nie jestem lepszy od moich lokajów, a nawet, que sais-je, może jestem gołszy, bo przecie, to tajemnica polityczna, jestem ognianym umysłowo, ignoant, len, bęwał, zszęsta, nudziarz i khetyn, żachok, smakosz i ostok. A moja żona jest, tout le monde le sait, skończoną, oślicą. Ale jestem wszak księciem Himalaj, więc jednak moje khetynstwo jest, jakby nie było, khetynstwem czym? Księża Himalaj. A khetynstwo, niejakiego, dajmy na to, pana Knapka pozostanie khetynstwem pana Knapka tout court... na to hady nie ma... i w tym cała różnica”.

Znaczące odświeżenie ciała kobiecego (od dołu i od góry) spowodowało zmniejszenie napięcia erotycznego, ale równocześnie powiększył się obszar seksualności w społeczeństwie. Przez cienie sukienki prześwituja uwolnione piersi, wyraźnie zaznaczają się zarysy majtek i kształty pośladków. Nie ma na każdym kroku mężczyźni są dziś prowokowani seksualnie.

Wielu badaczy nie podziela jednak poglądu, że w ostatnich dziesięcioleciach dokonała się rewolucja seksualna. Zmiany były mniejsze niż oczekiwano. Większość dziewcząt nie idzie tak łatwo z pierwszym lepszym do łóżka. Przewrót w poglądach był większy niż w obyczajach.

— Powiedz, jakie skutki społeczne wynikają z uprawiania psychologii?

— Psychologia jest nauką społeczną i jej prawidłowości mają nieco inny charakter niż w naukach technicznych. Trzeba jednak pamiętać, że psychologia jest nauką historyczną. Nie można jej uprawiać w sposób abstrakcyjny, interesować się ciekawostkami typu hipnoza, telepatia, telekineza... A najczęściej właśnie z tymi zjawiskami kojarzy się psychologia. Uprawianie psychologii jako nauki historycznej wymaga uwzględnienia specyficznych zmian w świadomości.

— Czym się zajmuje nasza, łódzka psychologia?

— W łódzkiej środowisku prowadzone są od trzech lat badania dotyczące przeciwdziałania wykołajaniu się dzieci i młodzieży. Jest to problem ogólnopolski, ale życie wielkiej aglomeracji niesie ze sobą liczne zagrożenia dla młodzieży dorastającej. Urbanizacja wielkich ośrodków sprawia, że osiedla mieszkaniowe są wycofywane poza centrum miasta. Tam bierze się pod uwagę przede wszystkim potrzeby bytowe: sklepy przychodnie, żłobki, węzły komunikacyjne. A dopiero w dalszej kolejności — ośrodki kulturalne. I właśnie na takich osiedlach pojawiają się zjawiska patologii społecznej.

— Czyż nie jest to cena cywilizacji?

— Można byłoby tak to scharakteryzować. — O ile się orientuję, nie jest to wyłącznie problem polski? — Szczególnie wyraźnie występuje to w Anglii. Byłem tam i porównywałem doświadczenia psychologów angielskich z wynikami naszych badań. Okazuje się, że te problemy w warunkach angielskich występują jeszcze ostrzej. Tam działają nieco inne regulatory społeczne.

— Wróćmy jednak do Łodzi.

— Łódź jest specyficznym miastem, miastem pracujących kobiet. Praca w przemyśle włókienniczym jest wielozmianowa i rodzice mogą zastępować się w wychowywaniu gdy dzieci są małe. Natomiast gdy dorosła wówczas brak matki w domu stwarza ogromne zagrożenie dla młodego człowieka.

— A czym konkretnie ty się zajmujesz?

— Badam w jakiej mierze osobowość dziecka staje się elementem sprzyjającym wykołajaniu się. Otóż istnieją osobowościowo uwarunkowania podatności na demoralizację, ale nie jest to żadna cecha wrodzona. W rezultacie działań wychowawczych może ukształtować się bardziej samodzielny człowiek. Tu zachodzi paradoks: największe kłopoty wychowawcze sprawia młodzież samodzielną, wpadająca w okresie dojrzewania w konflikty z rodzicami, z otoczeniem, ale ta młodzież jest zdrowsza moralnie i jest ona bezpieczniejsza, bo mniej narażona na demoralizację. Najbardziej podatni są ci ciśli, spokojni bez własnej wizji życiowej, grzeczni i posłuszni. Tacy zgadzają się na każdą presję środowiska domowego i środowiska rówieśniczego. A jeśli środowisko rówieśnicze jest spatiofizowane, to te dzieciaki najczęściej mu ulegają.

— Jaki zatem lek przepisałbyś na tę straszna chorobę?

— Tylko aktywizacja młodzieży, stwarzanie jej celów, stawianie zadań. Szkoła powinna być szkołą środowiskową, szczególnie w tych nowych osiedlach. Szkoła winna znaleźć im miejsce, gdzie mogliby uprawiać sport, majsterkować, realizować swoje aspiracje.

— Sama psychologia bez wsparcia administracyjnego niewiele zrobi.

— Uświadomiłem niegdyś sobie, że jeśli chce autentycznie zwalczać środowisko patologiczne występujące w naszej aglomeracji, to nie mogę ograniczyć się do samych badań i przekazywania wyników tych badań ludziom odpowiedzialnym za wychowanie. W związku z tym, w minionej kadencji przez cztery lata byłem radnym przy Dzielnicowej Radzie Narodowej Łódź — Śródmieście i przewodniczyłem Komisji Opieki Społecznej i Spraw Socjalnych. Jako temat prac podejmowaliśmy sprawy zagrożenia moralnego dzieci z rodzin alkoholików, kontrolowaliśmy działalność TPD. Miałem więc możliwość działania swoimi doświadczeniami i profesjonalnymi ze społecznikami.

— Miałeś sukcesy?

— Najważniejszy: zmiana struktury świadczeń społecznych w Śródmieściu. Gdy zaczęliśmy pracę jako komisja, to gros świadczeń na ten cel, to były zapomogi pieniężne. Gdy kończyliśmy kadencję po czterech latach, to te zapomogi stanowiły znikomą część. Prowadziliśmy świadczenia rzeczowe. Mówię wyłącznie o rodzinach alkoholików, lumpów itp. Ponadto zmusiliśmy ludzi, którzy winni prawnie opiekować się swoimi starymi rodzicami do takiej opieki.

— Powiedz, Wojtku, a jak było w tegorocznych wyborach do rad narodowych? Nie kandydowałeś?

— Startowałem, ale przegrałem. Przegrałem wybory, ale nie przegrałem problemu. W tej chwili finalizuję swoją habilitację i potem od razu włączam się do działalności PKPS lub PPR lub TPD lub do wszystkich razem. Działalność społeczna w moim życiu jest koniecznym dopełnieniem aktywności poznawczej, naukowej.

— Kiedy więc odpoczywasz? Jak tylko pamiętam, a znamy się od lat, to zawsze albo się kształcis sam, kształcis innych i do tego działasz w jakichś komisjach czy zespołach. Kiedyś pasjonowałaś się samochodami. Co zostało dzisiaj?

— Och, bardzo lubię chodzić po górach wraz z synem Julkiem. Jeździmy też na ryby i mogę ci powiedzieć — ale nie zdradzić — że w promieniu 20 km od Łodzi można łowić łazak! Niech ci będzie! I dla ciebie, nie po to stałyś hodowlane.

— A co sądzisz o lekturach frywolnych?

— Bardzo, to lubię. Dodaję one radości życiu. Z wszystkimi przebiegami Zbigniewa Nienackiego zroznowałem się dzięki „Ogłosom”. Nie gorzyj mnie to.

— Masz w sobie wiele z człowieka Renesansu: nie dąpie pragnienie wiedzy oraz czerpanie garściami z życia.

— Nie czerpania, ale zmieniania życia, zmieniania.

— Niech ci będzie. A dziewczyny?

— Są jak kwiaty i jak one zbyt szybko więdną.

— Jedyna polecha, że są tak ogromne populacje.

— To dla nas wielkie szczęście. Jednakże w ramach przepisów bho nie interesuje się swoimi studentkami.

— Chętnie bym cie w tym wyręczył. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Dobrze

Dobrze być obudzonym
firanką wydmiana
przez niedomknięty lufcik
słoneczny cień rozbiły w szybach zobaczył
dobrze samotnie błądzić
po nieznanym mieście
odkrywać małe światy w gzymsach murów
zapijając zmęczenie jogurtem
dobrze gdy niebo ma kolor dżinsów
wyjść niekoniecznie z psem
ogłądać gwiazdy okien
zgadywać skąd płynie stara piosenka cotugno
dobrze przebrnąć przez wężły gordyjskie akuzatywy
znaleźć prawdę
dobrze zasnąć
nie zamknąwszy lufcika

Półka z książkami

PIEŚN NIEPODLEGŁA

Lesław M. Bartelski od lat pracuje nad „ocenieniem od zapomnienia” pamięci i dorobku twórców działających w Polsce w czasie czarnej nocy okupacyjnej. Właśnie ukazała się część pierwsza (bardzo obszerna) będąca rejestrem podziemnego życia literackiego, jego różnorodnych orientacji, a także przeglądem dorobku twórców różnych pokoleń. Właściwie treść książki oddaje jej podtytuł: „Pisarze i wydarzenia 1939 – 1942”.

Część druga, na którą przyjdzie poczekać, będzie nosić tytuł: „Narodziny pokolenia”.
Lesław M. Bartelski: Pieśń niepodległa. WL 1988. Str. 585. Cena 750 zł.

W SKÓRZE GASTARBEITERA

Ta książka ciągle pozostaje na czele listy bestsellerów na rynku zachodniemieckim. Autor: Günter Wallraff, dziennikarz z RFN „przedzierzgnął się” w Turcję i wynajmował do najcięższych i najbardziej brudnych prac, jakie zwykłe wykonują gasterbeiterzy. Przy okazji na własnej skórze poznał co znaczy być obcokrajowcem w swojej bogatej ojczyźnie, być „narazonym” codziennie na zniewagi i upokorzenia, nienawiść i wrogość. W sumie: pasjonująca lektura!

Przekład: Ryszarda Turczyńska.
Günter Wallraff: Na samym dnie. Wyd. Poznańskie 1988. Str. 272. Cena 350 zł.

NIEMIECKI KOMPLEKS

Amerykański pisarz, Walter Abish w książce, która zdobyła rozgłos na Zachodzie, stara się spojrzeć „od środka” na dzisiejsze Niemcy. Jaki powstał z tego obraz? Przede wszystkim RFN zalewa terroryzm bezprzekładna amerykańska kultura, a także – co nie jest bez znaczenia – nostalgia za niedawną przeszłością. Oto ostatnie zdanie z książki: „Czy ktokolwiek w Niemczech może dziś unieść prawą rękę, nie podając się fałszywym wspomnieniom o marzeniu, które miało być kresem wszystkich maczeń?”

Przekład: Blanka Kwiecińska-Kuczborska.
Walter Abish: Jak to niemieckie. WL 1988. Str. 336. Cena 560 zł.

Oprac. E.IW.

Dwa tomiki poetyckie: pierwszy biały, drugi czarny. Kolorem czarnym sygnowała WL tomiki debiutantów, „białe” mieszczą się w chwalebnie kontynuowanej Bibliotece Poetyckiej. Rozdzielił przez te dwie barwy obaj poeci należący do wspólnego kręgu młodoliterackiego KKMP, który rozdzielił grupę „Władcy” z której (po części) narodziła się grupa Centauro. I można by tu przypomnieć incipit znanego wiersza: „Las nas poróżnił, przyjacieli”, ale – na szczęście – różnice te już się za-

kontrolowane” ów poetycki koncept jest dość funkcjonalny, pozwala on uniknąć zretoryzowania czy „spłaszczania” poetyckiej wypowiedzi – zorientowanej przecież na ów typ artykulacji, który Peiper niedawno nazwał „ukłaskiem z rzeczywistością”. Pisze bowiem Arendt o Polsce lat 80., ale w inny nieco sposób niż to czyniły tzw. nowe roczniki. Obecnie sa mu frustracyjnie gesty czy poetyka „nowej przywrotności” – jego notacje mogą się nawet wydać zbyt chłodne, zdystansowane i z pozoru pozbawione

swoistą grę, wierzając, że można zaspokoić odbiorcy.
Zaczytany wszakże fragment wiersza, w którym ta – o-mawiana wyżej – postawa antyspikerstwa została umotywowana: „poeta nie jest spikerem świata / ale słucha jego wnętrza / którego nie widzi gołym okiem / odkrywa symptomy choroby / której jeszcze nie zna” (s. 55). Zatem: Kazimierz Arendt mówi o rzeczywistości, ale swoją artykulację uwiłkła w koncept (pomysł wierszy-listów), zaś Henryk Zaslowski mówiąc o poezji

Co tam, panie, w poetyce?

tarły i swary poszły w zapomnienie. Od tej poetyckiej Genesis ważniejsze są przecież problemy – pytania, które pozwoliły sobie żartobliwie przetworzyć za Wypianem: „Co tam, panie, w poetyce?” Czy poza kolorem okładki rozróżnia się w dzisiejszym socjolekcie poetyckim jakieś odrębne głosy, interesujące propozycje, czy znajduje się tu odpowiedź także na pytanie: jak poezja współczesna „przystaje” do rzeczywistości.

Kazimierz Arendt debiutował tomikiem „Roztaka z Kasia” tworzonym w czasie, kiedy poeta-robotnik budował ropociąg Surgut; tomikiem będącym liryczną notacją tęsknoty do rodziny, nostalgii wypływającej także z rozłąki z Polską, ale w zbiorze tym nie brakowało utworów ukazujących trud „budowlanego żywota”. W „Poezie polskiej” przenosił te metody: epistolarnie poetyckiej informacji kierowanej już tym razem nie do najbliższych, ale wykorzystującej całą semantykę „komunikacji” do przywołania tych wszystkich kręgów społecznych oraz sytuacji, w których owa „komunikacyjność” się aktualizuje. Innego rodzaju listy steruje nam poczta polowa, jeszcze innego – poczta kartka, szczególnie notacje zawierające pocztę z grudnia 1981 r., inaczej też brzmiały „rozmowy

wione postawy odcinającej. Próbuje też autor poezji-pastiszu republikancko inna poetykę. „Na kurdęsz z kulawka” jest przykładem „nadmiernej” (sarmackiej) poetyki wyraźnie odbiegającej od trocheu asceetycznych poetyckich obserwacji wierszy pozostałych. Sądzę, że bardziej znaczące są teksty takie jak „Pocztą polowa” czy „Pocztę mego miasta”. Ale czy poeta winien być spikerem – sprawozdawcą z rzeczywistości? – to pytanie zadaje sobie (i nam razem) Henryk Zaslowski. I od razu odpowiada (w tytule wiersza) – NIE! Jest w o-wym „nie” zawarta polemika z nowofalową retoryką poezji lat 70. Tomik H. Zaslowskiego jest zapisem jego wieloletnich doświadczeń poetyckich i długo też czekał na opublikowanie. Stąd też wyraża jest cezurą oddzielającą wiersze wcześniejsze od wytorowanych później. W tych ostatnich wierszach znajduje Zaslowski swoje „nacechowanie” poetyckie – interesujący i godny większej analizy pomysł, żeby tekst poetycki nadbudować nad jakimś faktem kulturowym. Często odwołuje się do postaci już kanonicznych w literaturze (Baczyński, Trakl, Sandburg, Whitman). Uciekając od sytuacji spikerstwa mówi przeto autor „kultura”, prowadzi z nią

(czy szerzej – kulturze) może nawet wbrew intencjom własnym tę rzeczywistość wywołuje. Świat kultury bowiem jest „transpozycja” symboliczną doświadczeń mieszczących się w kręgach „Tu i Teraz”.

Odrębności stylistyczne – dość wyraźnie – nie przesadzają, przeto o różnicowaniu „światoobrazów” – sytuujących obu poetów w ogólniejszej i jednocześnie ich kulturowej kompetencji. I w tym miejscu można już odpowiedzieć na pytanie: Co tam, panie, w poetyce? – ale – niestety – nie uda się odpowiedzieć do końca trawestacji z Wypianem: „Pocztę trzymając się mocno”. Kondycja współczesnej poezji, jej miejsce w kulturowej świadomości przeciętnego odbiorcy, jest raczej mizerna. Nie jest to, jak mniemam, winą poetów. Ci – a należałoby do nich także recenzentów i łódcy autorzy – na ogół pamiętali, że „poezja to walka o oddech”.

HENRYK PUSTKOWSKI

Kazimierz Arendt – Pocztą polska, WL 1988, str. 64, cena 180 zł.
Henryk Zaslowski – Kiedy otwiera się w nas szczelina, WL 1988, str. 62, cena 180 zł.

Pod znakiem muzyki romantycznej

Wieczór symfoniczny, który odbył się w Filharmonii Łódzkiej w połowie września br., obejmował trzy dzieła z kręgu muzyki romantycznej europejskiej. Koncert poprowadził dyrektor artystyczny naszej placówki muzycznej – Tomasz Bugaj.

Program wieczoru rozpoczęła uwerturna Franciszka Schuberta do napisanej w 1824 roku sztuki Wilhelm von Chyzy „Rozmowa księżniczki Cypru”. Epoka romantyzmu była tym okresem w muzyce, w którym ważną inspirację w twórczości kompozytorów stanowiła literatura. Dlatego też Schubert przeszedł do historii muzyki jako twórca około 600 pieśni, w których warstwa muzyczna i tekst poetycki stanowią nierozdzielalną całość. Zapomina się jednak o obfitej twórczości symfonicznej kompozytora. Jest ona co prawda głęboko zakorzeniona w tradycji muzyki klasycznej – głównie Haydna i Mozarta. Świetnym tego przykładem jest choćby zaprezentowana w programie omawianego koncertu uwerturna. Pod batutą Tomasza Bugaja zostały uwypuklone najważniejsze cechy tego utworu.

Jakimi są: lekkość i finezja orkiestrowego brzmienia. Szczególnie wyraźnie było to słyszalne w początkowych partiach instrumentów smyczkowych i obojów. Odnosiłem jednak wrażenie, iż pewnym mankamentem tej interpretacji było nadanie pozostałym fragmentom utworu wybitnie maszynowego charakteru. Zbyt to zostało uwypuk-

lone brzmienie instrumentów dętych blaszanych.
Solistką wieczoru była młoda pianistka francuska Claude Maillole. W jej wykonaniu usłyszeliśmy koncert fortepianowy a-moll Roberta Schumanna. Warto zwrócić uwagę na to, że pod względem muzycznej formy jest to dzieło w pewien sposób zrywające z konwencją trzyzęczłowego koncertu solowego i tak jak przystało na twórcę romantycznego – preferując pierwsiestek uczuciowo-emocjonalny. W interpretacji młodej artystki zachwyciła zapewne słuchaczy miękkość frazowania i znakomite oddanie nastroju całej kompozycji. Szczególnie wyraźnie dało się to odczuć w części drugiej – Andante grazioso.

Jeśli chodzi o orkiestrowy akompaniament to najbardziej interesujący zabrakł temat pierwszy grany przez instrumenty dęte drewniane oraz liczne solo klawirne w drugiej części dzieła.

Zaprezentowana przez solistkę artystyczną kreacja muzyki Schumanna bardzo podobna się publiczności.

Ostatnim punktem programu był poemat symfoniczny „Mazepa”, również Franciszka Schumanna – również Franciszka Liszta. Każdy miłośnik muzyki kojarzy sobie nazwisko tego kompozytora z wirtuozowską techniką fortepianową, której był twórcą i jej hołdował. Jednak napisane podczas pobytu mistrza w Weimarze poematy symfoniczne świadczą o znakomitej technice

instrumentacji i operowania barwami orkiestrowymi. Inspiracją do skomponowania tego utworu był dla Liszta wiersz Wiktora Hugo pod tym samym tytułem opiewający bohaterstwo Mazepy.

W wykonaniu Filharmoników Łódzkich pod dyktando Tomasza Bugaja najbardziej sugestywnie i wyraziście brzmiała zapewne pierwsza część dzieła, będąca wizją szalonego galopu i triumfu bohatera poematu. Trzeba zwrócić szczególną uwagę na przesycone muzyczną energią i witalnością akordy „blachy” i niskich smyczków. Natomiast zdecydowanie mniej wyraziście zostały, według mnie, wykonane fragmenty o charakterze liryczno-refleksyjnym.

Ogólnie mówiąc o wysłuchanych kreacjach artystycznych trzeba przyznać, że były one ze wszelkich miar interesujące – szczególnie silnym przeżyciem estetycznym był dla mnie występ młodej francuskiej pianistki. Na zakończenie trzeba by życzyć Łódzkiej melomaniom oraz naszym zespołowi symfonicznemu, aby wieczory muzyczne w nowym sezonie artystycznym przyniosły, co najmniej tyle, a może nawet więcej muzycznych i estetycznych wrażeń.

PIOTR KUKIELKA

PESTKI DYNI

„Zawsze byliśmy w sporcie dobrzy!” – powiada w „Tygodniku Kulturalnym” Tadeusz Olszański. A ja powiadam, że jest to nieprawda. W sporcie wyczynowym byliśmy zawsze poniżej przeciętnej – jeśli ktoś chce, niech sprawdzi sobie międzynarodowe statystyki kto, gdzie, co, ile i za co i niech przeliczy to na głowę ludności. Owszem, Marusarz, Kusociński, Szewiński zwiastują – bez niej leżelibyśmy zupełnie – artyści Komar i kilku jeszcze fenomenów robiło co mogło, ale to przecież kropka w morzu. W morzu sportu światowego.

Nie potrafiliśmy też – ani przed wojną, ani po wojnie, ani dzisiaj – tworzyć koncepcji sportu masowego, który dałby przyjemność i zdrowie tysiącom ludzi i stał się bazą dla wielkiego wyczynu. Zawsze za to byliśmy dobrzy w achiach (od „ach”), ochaniach (od „och”) i w nadziejach; tu bijemy już wszelkie rekordy. Smutne bowiem przysłowie mówi: nadzieja jest matką głupich. Przysłówie, że Polak mądry po szkodzi straciło swoje zastosowanie; szkody czynimy wkóło bez przerwy – mądrością wciąż nie bardzo możemy się wykazać. Jesteśmy też dobrzy w megalomani; nie tylko jeśli idzie o sport...

O tym wszystkim wiemy, jeno Greków udajemy; mógłbym napisać – głupków, ale z okazji olimpiady powołam się na jej antenatów.

Właściwie to chciałem nie o tym wszystkim mówić, ale zwrócić uwagę na wypowiedź pewnego lekarza francuskiego, Jean-Pierre de Mondenarda, niegdyś medycznego opiekuna kadry kolarzy, potem odsuniętego od tej funkcji a dziś bezwzględniego tropiciela wszelkich form dopingu w sporcie francuskim i światowym. Srodowiska sportowe, zagrożone jego akcjami i badaniami zarcuają mu wszystko, od kaboitystwa i żądzy popularności do wręcz nieubliżania sportu. Oto co odpowiada na to ten don Kichot walczący z wiatrakami dopingu: „Sport jest moją wielką pasją. Przez całe wakacje zdobywałem na rowerze przełęcze Pirenejów i Alp. Zależy mi tylko i wyłącznie na tym, by uchronić sport przed skandalicznymi, niebezpiecznymi machinacjami. Jestem lekarzem i zajmuję się po prostu stanem zdrowia społeczeństwa, a ten coraz bardziej się pogarsza. Nie można przecież z założonymi rękami przyglądać się, jak kurczy się ów potencjał szczęcia, zawarty w czynnym uprawianiu sportu lub w biernym kontakcie z nim, gdy staje się on widowiskiem. A więc – żadnego polowania na czarownice. Ale też – żadnego mydlenia oczu”.

Doping był znany od czasów starożytnych, od Chin po ziemie Inków i Azteków. Stosowano go w armiach, korzystali z niego gladiatorzy na arenach, używali go też zawodnicy greccy; były to oczywiście preparaty roślinne. Farmaceutyczne zastosowano po raz pierwszy pod koniec XIX wieku, w Anglii – dawano je koniom wyścigowym i były oparte na strychninie. Po koniach przyszli kolarze i tak już poszło...

Te zwycięże świadczą o tym, że człowiek zawsze szukał jakiegoś sposobu, żeby wypaść lepiej od innych, że leży to po prostu w ludzkiej naturze – powiada francuski lekarz. Ale te praktyki przynoszą nieszczęście, kaleczeń, umysłową degradację, śmierć... De Mondenard kończy swój wywód dla „Le Point” słowami: „Chce bronić sportu. Wcale nie sugeruję, że na 11 milionów zarejestrowanych zawodników we Francji wszyscy biorą środki dopingujące. Wola jednak dmuchać na zimne, niż ufać pozorom”.

Definicja sportu jest dziś niezwykle płynna.

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



Rys Sławomir Luczyński.

75-LECIE URODZIN W. LUTOSŁAWSKIEGO

Witold Lutosławski za pulpitem dyrygenckim, Krystian Zimerman przy fortepianie, Luigi Nono przy konsolidacji mikserkiej, dwie inscenizacje „Czarnej Maski” Krzysztofa Pendereckiego – to pozycje, jakimi mogą się chlubić najbardziej prestiżowe imprezy. Umieszczono na afiszu tegorocznej „Warszawskiej Jesieni”, stanowią nie tylko jej szczytowe wydarzenie, lecz zarazem świadectwo artystycznego bogactwa tego festiwalu. XXXI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień” – to wydarzenie wielkiego formatu, artystyczne. Organizatorzy pragną uhonorować Witolda Lutosławskiego, jego 75 rocznicę urodzin, poświęcić temu wybitnemu twórcy finałowy wieczór, w którego programie orkiestra Filharmonii Na-odowej pod batutą Mistrza wykonała II Symfonię, a Krystian Zimerman (biorący udział w festiwalu po raz pierwszy) – Koncert fortepianowy.

Krzysztofa Pendereckiego i „Czarnej maski” nie trzeba przedstawiać. Warszawski Teatr Wielki przedstawił polskojęzyczną wersję dzieła, którą można

uznać za prapremię w tym kształcie, a poznański Teatr Wielki – pierwszą w Polsce inscenizację tej opery. Melomani mieli także okazję wysłuchać najnowszej kompozycji Pendereckiego – Passacaglie i Rondę na orkiestrę, której prawokanie odbyło się niedawno w Łucernie.

No i wreszcie Luigi Nono – postać dobrze znana w świecie nowej muzyki, jeden z jej pionierów, który przed kilkoma laty gościł już na „Warszawskiej Jesieni”. W czasie koncertu monograficznego przedstawił kilka kompozycji, podtytuł jednej z nich to „Dario polacco” do tekstów m.in. Czesława Miłosa.

PRZYWRÓCONY KULTURZE

Twórczość jeszcze jednego wybitnego malarza – Pawła Filonowa przywrócona została radzieckiej kulturze. W salach Muzeum Rosyjskiego w Leninogradzie otwarto wystawę gromadzącą blisko 200 prac tego artysty, w zasadzie nie znanego dotychczas szerokiej publiczności.

— Droga Filonowa do widza – pisze w „Sowieckoj Kultury” J. Pietrowa – przetrwała została przed sześćdziesięciu la-

ty. W 1929 r., jeszcze za życia artysty, była przygotowywana wystawa jego prac, ale nie doczekała się otwarcia. Obrazy i rysunki wisiały blisko rok, po czym, na skutek wyroku „znawców”, powróciły do pracowni artysty. Dopiero w 1967 r., nie które z nich, pokazane zostały po raz pierwszy w Nowosybirsku. Szybko jednak znów położono pieczęć milczenia na dorobku zmarłego w 1941 r. w Leningradzie malarza. Ale ukrzyć całkowicie tej twórczości już nie było można. Legenda Filonowa rozprzestrzeniła się nie tylko w Związku Radzieckim, ale i na świecie, w Czechosłowacji, a później w USA wydano książki o nim. Wreszcie radzieckie społeczeństwo może zapoznać się z twórczością artysty, którego środki wyrazu współbrzmiały z poetyką Chlebnikowa, prozą Platonowa, który odziana puls epoki trudnych przeobrażeń.

NOWE WŁADZE PEN-CLUBU

Po kilkuletniej przerwie waleńm zebraniem członków wznówił działalność Polski PEN-Club. Na zgromadzeniu ogólnym członków dokonano wyboru zarządu i komisji rewizyjnej na

4-letnią kadencję. Nowy zarząd ukończył się następująco: prezes – Juliusz Żulawski; wiceprezesi – Artur Międzyrzecki i Egon Naganowski; sekretarz – Anna Trzebiakowska; skarbnik – Andrzej Szczepiorski; członkowie zarządu: Władysław Bartoszewski, Marian Bizan, Marian Brandys, Andrzej Braun, Jerzy Ficowski, Paweł Hertz, Urszula Koziół, Marcin Król, Stefan Kisielewski, Jerzy Turowicz, Wiktor Woroszyński i Jan Józef Szczepański. Przewodniczącym komisji rewizyjnej został Jacek Bocheński.

DRUGA CZĘŚĆ WIELKIEGO DARU

W niespełna rok od otwarcia pierwszej ekspozycji obrazów z daru państwa Porczyńskich muzeum Archidiecezji Warszawskiej udośćniło jej drugą część. Obejmuje ona ponad 240 płócien od połowy XVII wieku po współczesność. Na obecnej ekspozycji przedstawiono malarstwo baroku, rokoka, klasycyzmu oraz XIX i XX wieku według działów tematycznych przyjętych przez ofiarodawców: „Biblia i święci pańscy”, „Portret”, „Matka i dziecko”, „Martwa natura i pejzaż” oraz „Mi-

Red. — Na Wratylavii Cantans był pan ostatni raz w 1969 roku. Czy ta 19-letnia nieobecność była zamierzonym bojkotem tego festiwalu?

J.W. — Nie. W tym czasie prowadziłem swój własny festiwal — Festiwal Pianistyki Polskiej w Słusku Niewielka to impreza, ale z jednej strony potrzebna bardzo dla przegladu pianistyki, z drugiej zaś dla popierania talentów pianistycznych. Ten festiwal pokrywał się czasowo z Wratylavią, a ponieważ był on moim dziełem, więc musiałem doprowadzić go do pełnego sukcesu. Gdy tak się stało i odbył się już dwudziesty jubileuszowy, to

— No to można by tę biurokrację wyniszczyć trutką na szczur, tylko że ta trutka też jest nieprodukcyjna i przez to nieskuteczna. Tak więc nadzieje na zwalczanie biurokracji rodzinnymi środkami są niewielkie.

— Jako admirał muzyki I. Strawińskiego, K. Szymanowskiego, C. Debussy'ego — nie nudzi się pan na tym festiwalu?

— Nie. Przecież bardzo, kto powiedział że nie? Też muzyki jestem admirałami? — lubię dobrą muzykę. Ale tu raczej chodzi o to, kto z

gim upodobał — zwiedzałem szabytków. Wreszcie zobaczyłem zespół klasztoru Lubiąża, o którego konserwację od lat walczę. Zwidziałem też uroczą Trzebnicę. To jest wzór miasta zagospodarowanego od rogatki do rogatki, dobra architektura stara i nowa, cudowny kościół z grobowcem Sw. Jadwigi. Wszystko to razem łączy się w nadzwyczajne przeżycia.

— O co więc będzie walczył pan dla Wrocławia?

— Pan jest z Łodzi i nie takiego panu nie po-

Jerzy Waldorff o „Wratylavii Cantans” i... Puzonie

powiedziałem: teraz moje dziecko idź sobie sam w życie — i przyjechałem czym prędzej do Wrocławia.

— ...na 10 dni i prawie 30 koncertów.

— Naturalnie. I dziwię się, że nasi urzędnicy z Ministerstwa Kultury i Sztuki uważali, iż Wratylavię można zmienić z corocznego festiwalu na codzienną.

— W odniesieniu do festiwalu muzyki poważnej nie jest to postulat odosobniony.

— Ale jest on zabójczy dla tego typu imprez muzycznych. Imprezy nie coroczna trudniej zapamiętać. To byłby kłopot dla tych wszystkich, którzy ten festiwal lubią i mają go w swoim kalendarzu. A poza tym liczy się też ciągłość artystyczna. Proszę pana — z tym rozrzedzeniem to jest tak, jak gdyby z ostatniej części koncertu fortepianowego f-moll Fryderyka Chopina wyciąć co drugi takt. No to co by z tego wówczas zostało?

— Trzeba więc bronić tego festiwalu.

— Właśnie po to tu przyjechałem. Myślę, że się to uda na pewno. Wie pan, skoro już o tym mówimy, aby w Polsce mogło cokolwiek się udać, to nie tylko trzeba zmienić rząd, ale wystarcza co najmniej 50 tysięcy biurokratów — która to warstwa jest nie do przebitcia. Ja Generala oświadczyć nie znam, ale wierzę, że ma on jak najlepsze intencje. Ale nim te intencje przebiją się przez te straszliwe oporną warstwę biurokracji — to do spełnienia się nie dochodzi już prawie nic.

— Strzeżcie do ludzi, nawet gdy są oni biurokratami, jest niehumanitarnie.

jaką muzyką się wychowywał. Nie jest pan jedynym, który tak uważa. Otóż Krzysztof Penderecki w jednym ze swoich wywiadów powiedział, że ja popieram Szymanowskiego i że chyba się w nim zakochałem. Tak — ma rację Penderecki. Mnie się wydaje, że człowiek odbierający sztukę w sposób prawdziwie żywiołowy, wewnętrzny (a nie sztuczny) ma w swoim życiu jakąś jej część, która zbiega się z jego młodocia, była dla niego największym przeżyciem i została przez niego na zawsze ukochana najbardziej. Takim moim największym ukochaniem, w muzyce był i ostatecznie Szymanowski, w poezji Gajewski (który ponadto był moim serdecznym przyjacielem), w prozie Dąbrowski, w sztuce Makowski (Tadeusz). Ja o tym wszystkim pisałem wielokrotnie. To co się przeżywa w młodości — pozostaje. I dlatego moją największą miłą — tą żywą — jest Karol Szymanowski.

— Ale wracając do istoty pańskiego pytania... no, proszę pana — mnie się wydaje że Monteverdi, Bach, Beethoven, Mozart, Verdi to nasi przodkowie. A tych czcimy i kochamy — ja też. Ale słuchając muzyki Beethovena nigdy nie przeżywałem takich silnych, erotycznych niemal emocji jak wtedy, gdy słuchałem Debussy'ego czy Havela. To są różne rzeczy.

Natomiast na Wratylavii wszystko właściwie jest wspaniałe, nawet i to, że niektóre koncerty są zła. Gdyby zaś wszystkie były dobre, to byłoby nudno. Tak samo, gdy od rana do wieczora jedlibyśmy na przykład homary z majonezem i popiliśmy szampanem, zamarzylibyśmy wtedy o zwyczajnych kartoflach.

— We Wrocławiu do woli delectuje się pan muzyką?

— Nie tylko. Tużeszy swój pobyt łączy z dru-

giem. Za to jestem płatny w „Polityce”. Widzi pan — to są te kontrpunkty.

— To zmienimy temat. Co z Puzoniem?

— Nie wiem po co ludzie pytają mnie o te psy, nie wiedząc po co ja imiałem.

— Jest okadza, aby się dowiedzieli.

— To jest dosyć dawna historia. Otóż w pewnym momencie zauważyłem straszliwe zdziwienie obywateli nawet wśród dzieci. Obojętność wobec cudzego życia, jakaś znieczulica. Postanowiłem przy pomocy psa trochę zmienić ludzi. Wie pan, wolałem do człowieka: — Kochaj bliźniego jak siebie samego — nie udaje się od 1988 lat, a więc od czasu, kiedy powiedział to Chrystusowi Należy i Wspaniałemu. Wobec tego ja propagowałem to przez psy. I to jakiś tam rezultat dało. Pso pojawiło się więcej. Dzieci zaczęły lubić te psy. Był Puzon ojciec, Puzon syn — i koniec. Po czym przesiadłem do innych spraw. Nigdy w życiu nie staram się trzymać jednego, lecz idę naprzód. Tak długo, jak nie dobiegnę nosem w grób!

No to może już dosyć z tym wywiadem dla Łodzi?

— Może być — dziękuję.

Rozmawiał:
JACEK WOLAŃSKI

CENNA INICJATYWA

Łódź — Metropolia Mediów

Przed rokiem, w rozmowie z Pawłem Nowickim — dyrektorem Teatru Studyjnego w Łodzi (mb. teatr, który na mapie kulturalnej miasta wyróżnia się rozmachem, pomysłowością w rozlicznych inicjatywach i wreszcie młodzieńczą, niewyczerpaną werwą) po raz pierwszy usłyszałem pytanie wypowiedziane w formie refleksji: „Czy Łódź nie powinna stać się wschodnioeuropejską metropolią mediów?”. „Kto lub co nam przeszkadza, aby Łódź stała się „Metropolią Mediów”? — Właśnie to pytanie przyswajał naszym kolegom z Łódzkiego Przewodnika Kulturalnego „Kalejdoskop”, którzy przez ponad dwa lata publikowali na swoich łamach wypowiedzi twórców, ludzi sztuki i kultury. I oto teraz, suma publikowanych w „Kalejdoskopie” przemysłów ludzi, którym poziom życia kulturalnego miasta nie jest obojętny, stała się programem posiedzenia Rady „Kalejdoskopu” (będącego organem Centrum Informacji Kulturalnej) z okazji ukazania się 25 numeru tego miesięcznika.

Mottem posiedzenia Rady Programowej z udziałem zaproszonych gości stała się wypowiedź Hansa Magnusa Enzensbergera — zachodniemieckiego poety, kandydata do Nagrody Nobla, który przebywając w Łodzi ledwo trzy dni dostrzegł i poznał możliwości miasta w tej właśnie dziedzinie. „Macie słynną szkołę filmową, wiele teatrów, znaczące muzea. Ludzie tacy jak wy, dziennikarze, muzycy, reżyserzy, graficy, pisarze... To byłoby rozwinięcie! Łódź powinna stać się wschodnioeuropejską Metropolią Mediów! Studia filmo-

we, drukarnie, firmy pływowe, banki informacji, wydawnictwa, stacje satelitarne... Przemysł przyszłości. Młodość nowych miejsc pracy. Koniec z brudem i brudem, z przedpotopowymi krosnami, koniec z warszawską kuratela! Wielka debata na temat przyszłości miasta. Dlatego tego nie zapropowuje!”

Organizatorzy tego interesującego spotkania utrzymują, że rozwinięcie myśli i poglądów ludzi, od których zależy rozwój i ranga życia kulturalnego w mieście, pozwoli na opracowanie i wydanie drukiem „Raportu o stanie łódzkiej kultury”, dokumentu niezwykle przydatnego dla władz i działaczy do opracowania zamierzeń na najbliższe lata.

A oto kilka fragmentów wypowiedzi, jakie ukazały się na łamach „Kalejdoskopu” w ciągu minionych dwóch lat, które stanowią piaszczynę dla omawianego tematu:

„Łódź jest odbierana przez ludzi spoza tego miasta a zwłaszcza spoza granic Polski jako wielkie centrum kulturalne. Jestem urodzonym łódzianinem — powiedział Paweł Nowicki — i wiem doskonale, że tak nie jest. Wiem także, dlaczego tak się dzieje. Otóż Łódź nie szanuje dóbr kulturalnych, które sama tworzy. W związku z tym jest miastem, które uznaje i któremu imponują wyłącznie rzeczy przychodzące do nas z zewnątrz. I to niekoniecznie z Paryża czy Londynu. Wystarczy Warszawa czy Kraków. Co zostaje uznane przez te dwa centra za wielkie, obowiązuje także i w Łodzi. Swoistym paradoksem jest fakt,

że Łódź — pod względem ilości profesjonalnych placówek kulturalnych — plasuje się w kraju na drugim miejscu po Warszawie. Niestety, wcale się tego nie czuje...”

„Miasto, cagle nie wykorzystanych możliwości. Tak w sferze materii jak i ducha — mówi krytyk literacki Tadeusz Białejewski. — Do tej pory nie może, nie jest w stanie uzyskać należytej mu rangi...”

„Łódź włókiennicza albo Łódź filmowa, to szeroko i najczęściej wymawiane znaki wyróżniające nasze miasto” — mówi Antoni Szram, dyrektor Centralnego Muzeum Kinematografii, Rektor PWSTT, Henryk Kluba, swoje oblicze adresuje konkretnie: „Otóż ja jestem zdania, że prasa łódzka, zwłaszcza w sposobie podawania lub selekcji informacji kulturalnych stwarza wrażenie wśród odbiorców, że Łódź jest miastem prowincjonalnym, w którym niebyłoby wiele w kulturze się dzieje. Przeglądając prasę łódzką można wyrobić sobie pojęcie, że Łódź nie jest miastem otwartym dla kultury. A przecież nie jest to prawda (...). W Łodzi dzieje się dużo więcej niż można to wyczytać z kronik dziennikarskich...”

Opinię, mniej lub bardziej pogłębioną, na ten temat pokutuje wiele i od wielu lat. Rzecz w tym, że nie z tego dla miasta nie wynikało. Dopiero teraz pokuszono się o ich zebranie, omówienie i na tej podstawie postawienie diagnozy, by wreszcie Łódź, może nie od jutra stała się w nazewnictwie Metropolią Mediów, lecz taka wizja posiadała.

Do tych spraw powrócimy na naszych łamach.

MARIAN ZDROJEWSKI

Fraszki sportowe

JERZY LESZCZYŃSKI

O KRĘCENIU SIĘ W KÓŁKO

Nikt nigdy jeszcze nigdzie nie dotarł, kręcąc się w kółko na pełnych obrotach.

AUTOIRONIA

Jestem po prostu wrak — czterech kółek mi brak.

REFLEKSJE NAD REFLEKSEM

Zawsze robimy się aktywni, kiedy już dawno działa przeciwnik.

NIEBEZPIECZNE UNIKI

Gdy się partnera swego unika, można napotkać w nim przeciwnika.

CENIĄCY SIĘ HOKEISTA

Goniłby za krążkiem, gdyby on był pieniążkiem.

ŚPIEWANIE I GRANIE

Za gola — „Sto lat”, za sto lat — gola.



Podczas koncertu w Ratuszu wrocławskim.
Foto: Tadeusz Szewc

Kronika

W całym kraju trwają „Dni Polskiej Literatury Współczesnej”. Spotkania autorskie, współzawodnictwo w tryn księgarskich, konkursy czytelnicze — to rezultat specjalnego porozumienia podpisanego między Stowarzyszeniem Księgarzy Polskich i Związkiem Literatów Polskich, patronujących tej imprezie, gwarantujących jej stałe miejsce w kalendarzu kulturalnym.

Przed rozpoczęciem Olimpiady Sębi gościł przedstawicieli 60 krajów na zjeździe Międzynarodowej Federacji Pen-Clubów, w którym uczestniczył przedstawiciel polskiego Pen-Clubu Artur Międzyrzecki. W czasie zjazdu poinformowano o zapowiedzi zgłoszenia się do federacji pisarzy radzieckich.

W tegorocznej Warszawskiej Jesieni Poezji uczestniczyło ponad 60 poetów i tłumaczy z zagranicy oraz 130 krajowych. Odbyły się z tej okazji spotkania autorskie i monograficzne poświęcone tłumaczom, a także dyskusje, odczyty, recytacje.

Zdobywca Grand Prix „Arsenału '88”, głośnej wystawy plastyki młodych, jaka odbyła się w Hall Gwardii w Warszawie, został Leszek Michał Żegalski z Ustronia za obraz „Wartki Jontek”, zaś laureatem i nagrodą za zestaw rzeźb został Jerzy Kopeć z Poznania.

W ubiegłą sobotę odbył się w Teatrze Wielkim w Łodzi Koncert Gwiazd Festiwalu im. Jana Kiepury w Krynicy. Obok zdobywcy Grand Prix — Adama Kruszyńskiego wystąpili laureatki II nagrody — Eugenia Rezier i Beata Morawska oraz zdobywca III nagrody, solista Teatru Wielkiego w Łodzi — Sylwester Kosciecki (który — jak utrzymują sprawozdawcy — był ulubieńcem publiczności krynickiej) oraz zdobywcę wyróżnienia — Danuta Radomska, Andrzej Zagdański, Krzysztof Kłosek i Piotr Czapkowski. Gościem wieczoru była wybitna polska śpiewaczka z nowojorskiej Metropolitan Opera Teresa Wojtaszek-Kubiak.

W Warszawie odbyła się uroczystość dekoracji wybitnych polskich twórców — przyznawani po raz trzeci przez Radę Państwa — honorowymi tytułami „Zasłużony dla kultury narodowej”. Wśród zaszczyconych ta godnością znaleźli się łódzianie — aktor Ludwik Benoit oraz dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi — Ryszard Stanisławski.

W ubiegłym tygodniu gościł w Łodzi Leonard — autor bestsellerów „Inkarancja”, „Matnia”. Od godz. 15 w piątek wybitny pisarz podpisywał swoje dzieła w księgarni „Pegaz”. Ilość czytelników — miłośników pisarstwa Leonarda, którzy zgłosili się po autografy wymownie dowiodła wielkiej popularności pisarza.

W dniach od 19 do 24 września, w zaprzyjaźnionym z naszym miastem Iwanowa, odbyły się Dni Kultury Polskiej. Z udziałem 120-osobowej delegacji łódzian odbyły się dwie wystawy sztuki, Tydzień Filmu i Kuchni Polskiej, Biesiady Literackie z interesującą ekspozycją 400 tytułów książek wydanych w Łodzi, w których przez Wydawnictwo Łódzkie. Odbyły się także występy Zespołu Dwieciecego „MIS” oraz pokaz mody łódzkiej „Telme-ny”.

Józef Szajna, wybitny polski scenograf i reżyser, dyrektor warszawskiego Teatru „Studio” został zdobywcą „Złotego Centaura” — najwyższej międzynarodowej nagrody przyznawanej co cztery lata, za wybitne teatralne osiągnięcia artystyczne przez „Accademia Italia”. Na specjalnej uroczystej sesji akademii — skupiającej ponad 6 tys. wybitnych ludzi teatru — która odbyła się w pałacu Fordi w Cremonie, dokonano aktu wręczenia nagrody laureatowi, który jest jej honorowym członkiem.

Spśród 400 tys. osób polskiego pochodzenia zamieszkujących Białoruską Socjalistyczną Republikę Radziecką blisko 280 tys. zamieszkuje okręg grodzieński. Nie więc dziwnego, że właśnie Grodno wybrano na siedzibę powstałego przy Białoruskim Funduszu Kulturalnym, Społecznego Stowarzyszenia Polskiej Mniejszości Etnicznej na Białorusi. Trwają prace przygotowawcze nad umową o bezpośredniej współpracy kulturalnej pomiędzy działającymi w Polsce Białoruskim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym a Społecznym Stowarzyszeniem Polskiej Mniejszości Etnicznej.

Od połowy września w Ministerstwie Kultury i Sztuki trwają rozmowy kierownictwa resortu z przedstawicielami władz terenowych w sprawie podziału środków Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury na 1989 rok. Jak utrzymują przedstawiciele ministerstwa, pierwsi goście z terenu opuścili gmach ministerialnego urzędu zadowoleni. Czy terenowe władze potwierdzą ten optymizm — zobaczymy.

W ubiegłym tygodniu w Teatrze Muzycznym odbyło się spotkanie ze znanym w świecie ewangelistą — Nicky Cruz, autorem „Kryzys i stylizm” oraz „Nicky Cruz odpowiada”, który w przeszłości był przywódcą nowojorskiego gangu młodzieżowego, a usłyszawszy Ewangelię nawrócił się i postanowił oddać się pracy misyjnej. Swoje czas poświęca ludziom uzależnionym od narkotyków i alkoholu, samotnym i opuszczonym, dociera do więzień, domów poprawczych i zakładów odwykowych.

tologia i alegoria”. Można obejrzeć dzieła najwybitniejszych twórców europejskich.

W otwarciu wystawy wzięli udział ofiarodawcy — Janina i Zbigniew Porczyński oraz prymas Polski, ks. kard. Józef Glemp.

OK. 120 GAZET CODZIENNYCH

W Hiszpanii wychodzi ok. 120 gazet codziennych (w Madrycie 10), o łącznym nakładzie blisko 2,9 mln egz. Jednak większość dzienników ma zakres lokalny i nakład rzędu kilkunastu, do 25 tys. egz. Oprócz gazet madryckich, tylko jedna terenowa — „La Vanguardia” — z Barcelony, ma charakter ogólnokrajowy i nakład ponad 100 tys. egz. Nie licząc pracy popularnej, rozrywkowej, obejmującej ponad 20 tytułów, istnieje też kilkanaście tygodników polityczno-społecznych, które mają jednak bardzo ograniczony zasięg — łącznie ok. 750 tys. egz. tygodniowo. Zarówno większość dzienników, jak i tygodników obu kategorii (informacyjno-politycznych i rozrywkowych), ma z reguły duże zwroty.

LITERATURA JEST TOWAREM EKSPORTOWYM

„Musimy wszyscy uczyć się przynajmniej jednego obcego języka, by móc porozumieć się ze światem — mówi pani Vigdis Finnbogadóttir, prezydent Islandii, — Z drugiej strony żyjemy głęboki szacunek do naszej mowy ojczystej... Moim gorącym pragnieniem jest, bymłodzie ludzcy uczyli się islandzkiego, by przyjeżdżali do nas i zatrzymywali się tutaj na dłużej. To oczywiście bardzo drogie przedsięwzięcie, ale musimy podjąć wysiłki kształcenia tłumaczy. Dla mnie literatura jest towarem eksportowym... Stawiam jednak tezę, która w pierwszej chwili może się wydać zaskakująca: dobry przekład naszych sag jest lepszą reklamą naszego dorobku niż sam dorobek. Uważam, że dobry eksport naszej kultury jest najlepszą, jaką można sobie wymyślić, reklamą dla naszych produktów. Również dla dorobku. Dlatego każdy naród powinien koncentrować się na promocji swej kultury za granicą... Właściwie wszyscy w Europie siedzimy w tej samej

łodzi. I dlatego nasza mowa ma tak dużą wartość. Musimy uczynić ją częścią naszego eksportu...”

Proszę spojrzeć choćby na przemianę społeczną, jaka nastąpiła w moim życiu. Mój ojciec był profesorem uniwersyteckiego Mił cudowne życie — nie robił. Nigdy nie zaparzył sobie kawy, nigdy nie poszedł na targ. To należało do kobiet. Teraz w każdej rodzinie istnieje podział pracy. Również mężczyźni zajmują się dziećmi, zmieniają pieluchy. Społeczeństwo się zmieniło... Niedobre w tym jest tylko to, że wychowanie dziecka jest podzielone między ojca i matkę...” (Dodałmy, że pani prezydent Islandii jest równocześnie dyrektorem teatru i matką dorastającej córki).

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

(6)

nującym nad swoim, trochę nieszczęśliwym i trochę niesfornym, ludem...

Im dłużej rządzili w getcie, im dłużej trwała wojna, tym bardziej wierzyli w swój charakter. Wiedzieli przecież, jak w komorach gazowych i w piecach krematoryjnych — a może sobie tego nie chciał tak dokładnie wyobrazić? — znikają jedno po drugim polskie getta. Wiedzieli, jakimi losami uległo największe z nich, warszawskie, które, dumne Czerniakowa, nie chciało wysłuchać jego rad. Zniknęły ostatnie skupiska Żydów, ale getto łódzkie trwało!

Czy więc należy się dziwić, że, przekonany był coraz bardziej, iż jest nieomylny? W każdej dziedzinie: zarówno podejmując własne decyzje czy zgadzając się na niemieckie żądania, jak i w ocenie ludzi. Tylko on wiedział, co jest złe, a co dobre, co chwalić i nagradzać, a co karać... Był prostakiem. Prostaki był kodeks moralny, którym się kierował. Coraz to zmieniał się zespół ludzi obdarowywanych łaską, która zresztą na pstrym koniu jego zmienionych humorów jeździła. Większością, pooblebioną, którzy go otaczali, serdecznie gardził — nie tylko dlatego, że na to zasługiwali, ale i dlatego, że nikogo poza swoim bratem nie obdarzał zaufaniem...

Wszyscy ludzie Rumkowskiego.

Kronikę getta łódzkiego zaczęto prowadzić od stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Nie obejmuje ona roku czterdziestego i pierwszych miesięcy istnienia getta. Miał wówczas często okazję stykać się z biskim współpracownikami prezesa. Roilo się wśród nich od miernot. Iluż tam było smakujących swoją nową władzę, biorących odwet za wszystkie niepowodzenia życiowe! Iluż było domorosłych dyktatorów, którzy by tę władzę i tę okupację, gdyby to było tylko w ich mocy, przedłużyli w nieskończoność: którzy ze zwykłych zer stawiali się nagle, w cieniu wybrańców Niemców, jak i on panami życia i śmierci zamkniętych w getcie, nieszczęśliwych.

C.D.N.

Powyższy odcinek jest kolejnym fragmentem książki Arnolda Mostowicza „Złota Gwiazda i Czerwony Krzyż”, która niebawem ukaze się nakładem PIW. Są to zebrańskie wspomnienia autora z czasów kiedy autor był więziony w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych III Rzeszy.

W 1939 roku Rumkowski liczył sobie sześćdziesiąt dwa lata. Był siwutką jak święty Mikołaj na ludowych obrazkach, tyle że bez brody. Okrągła, poodrana zmarszczkami, choć czerstwą twarz okalała aureola puszystych białych włosów. To widać wystarczało. Człowiek o takim wyglądzie jak ulal nadawał się, by objąć wynalezioną przez Niemców stanowisko Najstarszego Żyda. Niemcy nie grzeszyli zbytnią wyobraźnią, a w tym wypadku symboliczna nazwa funkcji odpowiadała ich wyobrażeniom o roli, jaką Rumkowski miał w najbliższym czasie odegrać. Niezależnie od etapów, jakie prowadzić miały do tego, co wkrótce otrzymało złowrogi kryptonim „Ostatecznego rozwiązania”.

W połowie października 1939 otrzymał Rumkowski nominację. W dwa dni później skompletował Radę Starszych, której członkowie zmuszeni byli pod groźbą najsrozszych konsekwencji to stanowisko przyjąć. W trzy tygodnie później, jedenastego listopada, kiedy to przez cały okupowany kraj przeszła fala krwawego terroru, członkowie rady zostali aresztowani. Osadzono ich w Radogoszczu, a większość z nich wkrótce zgładzono. Rumkowski skompletował więc nowy beirat. Ten był już znacznie mniejszego formatu. O ile w pierwszym znajdowali się jeszcze ludzie, z którymi Rumkowski, przynajmniej początkowo, zmuszony byłby się liczyć, o tyle drugi znaczący tyle co nic...

Przypuszczenie, że Rumkowski został mianowany „Najstarszym” tylko z racji swego wyglądu, jest dlatego prawdopodobne, że trudno znaleźć inne motywy, które by tę nominację uzasadniały, jak to chociażby miało miejsce z prezesem gminy w Warszawie: Czerniakowem, co przecież znaczyło... Rumkowski w Łodzi nie znał nikt albo niewiele. Był prezesem żydowskiego Domu Sierot w Helenówku i jednym z radnych gminy żydowskiej. To wszystko.

Wykształcenie miał mniej niż ubogie. Cztery, pięć klas w jakimś realnym gimnazjum carskiej Rosji. Z zawodu był... Ciekawe, że rzadko kto z piszących o nim próbował sprawdzić, z czego żył. Nie był „kupcem łódzkim”, nie był fabrykantem, jak go niektórzy historycy określali. Był po prostu agentem ubezpieczeniowym, co, jeśli posiadało się nieco sprytu, pozwalało zarobić na kawałek chleba. Jednego i drugiego mu nie brakowało.

Nigdy nie cieszył się miłem wśród działaczy łódzkiej gminy, a o jego rządach w Domu Sierot różnie mówiono. Był prymitywny, ale niewątpliwie bystry. Pewien stał pracy społecznej wystarczył, by szybko wszedł w nową skórę. Doskonale na nim leżała i znakomicie się w niej czuł. Rekompensował tym sobie podrażnioną pozycję, jaką zajmował w poprzednim okresie. Jeśli poprzednio nikt nie posadzał go o nadmierne ambicje, to teraz szybko się okazało, że te ambicje go rozsądzały. Kiedy przemawiał, mając przed sobą liczniejsze grono słuchaczy, świadomość władzy, jaką posiadał, a może, może i odpowiedzialności, dodawały mu skrzydeł. Jakże lubił przemawiać...

ARNOLD MOSTOWICZ

Był sobie król...

„Kronika getta” przekazuje dokładnie treść tych przemówień prezesa — tak tytułowany jest bowiem Rumkowski. Czytając te relacje przypominał sobie okoliczności, w których miał okazję jego przemówień słuchać. W ponurym życiu getta za każdym razem stanowiły one ważne wydarzenie. Rumkowski uważał się za dobrego mówcę, a będąc dzieckiem kupieckim Łodzi umiał sprzedawać to, co miał do zaoferowania — wiadomości o takiej czy innej nowej decyzji, takim czy innym życzeniu umundurowanych i cywilnych niemieckich władz getta.

Znając treść różnych mniej lub bardziej tajnych okólników niemieckich, albo strzępy hitlerowskich planów na najbliższą przyszłość, Rumkowski od początku musiał zrozumieć, że właściwie nie ma dla Żydów, którzy znaleźli się na łasce i niełasce Niemców, dobrych wiadomości. Codziennie stykał się z oprawcami i wystarczało mu inteligencji, by pojąć, że los, który zyskował ludność getta, został wpisany nie tylko w ich książki i okólniki, ale przede wszystkim w ich psychikę.

to było zapowiedziane... Mogło się wydawać, że opanował do perfekcji sztukę zdobywania miłości swoich poddanych. Niestety była to tylko wiedza teoretyczna...

„Był wierzący i bardzo religijny. Wcale niewykluczone, że gdy coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, iż on, którym przed wojną wszyscy, co bardziej liczyli się żydowskie działy społeczne w Łodzi pomiatali, posiada w Litmannstadt-Getto niczym nie ograniczoną władzę, zaczęły rodzić się w nim nieuzupełnione skryształizowane wyobrażenia o autorytetyjnej teokracji. Terminu tego z pewnością nie znał, ale pamiętał chyba, że kiedyś w historii Żydów podobna władza istniała...”

Był z pewnością lewicą. Na Sądny Dzień, u boku innych kapłanów, ułożonymi tradycyjnie palcami obydwu rąk, zakrywając głowę tałesem, błogosławił modlących się Bał Udziału ślubów, przywłaszczając sobie uprawnienia rabinów. Wiedziałby się chyba chętnie w stroju arcykapłana, tak dokładnie opisanym przez Stary Testament. Byłby z ramienia niemieckiego katechizatorskiego Pana Boga kapłanem i władcą pa-

Film o łódzkim getcie powstaje w Nowym Jorku.

Historia okupacji hitlerowskiej nie jest łatwa ani dla Polaków, ani dla Żydów

„Słyszcie armaty i widzę płomienie na niebie, od południa. Wojna jest bardzo blisko. Łódź wkrótce zostanie zajęta!” — pisał w swoim pamiętniku we wrześniu 1939 roku czternastoletni Dawid Sierakowski. Tym fragmentem z jego dziennika rozpoczyna się blisko dwugodzinny amerykański dokumentalny film o tragicznej historii łódzkiego getta. Producentem i reżyserem jest ALAN ADELSON, a współreżyserem KATHE TAVERNA.

— Dlaczego zainteresował się właśnie tym tematem?

— Historia narodu żydowskiego leży w kręgu moich zawodowych zainteresowań. I to nie tylko dlatego, że jestem zastępcą dyrektora organizacji zajmującej się badaniem żydowskiej spuścizny literackiej — The Jewish Heritage Writing Project. W 1994 roku wydano w Stanach Zjednoczonych „Kronikę getta łódzkiego” pod redakcją dr. Lucjana Dobroszyckiego i Danuty Dąbrowskiej. Poznałem wówczas znaczenie i historyczną wagę tego dokumentu. Postanowiłem przełożyć go na język filmowy. Rozpocząłem poszukiwanie i zbieranie materiałów. Okazało się, że z łódzkiego getta zachowało się wiele unikalnych faktograficznych materiałów gromadzonych przez Żydowską Organizację Getta, która skrupulatnie prowadziła kronikalny zapis wydarzeń i fotograficzną dokumentację codziennej rzeczywistości. Zachowała się dzięki listonoszowi — Nachmarowi Zonabendowi. To on przed likwidacją getta ukrył znaczną część tej dokumentacji w wyschniętej studni i po wyzwoleniu Łodzi odnalazł ją, aby przekazać Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego zainteresowałem się historią łódzkiego getta. Bo wiem, że żydowska społeczność w przedwojennej Łodzi była jednym z naliczenniejszych, dobrze prosperujących i naprawdę szczególnie skupisk w Europie.

Hitlerowska polityka zagłady narodu żydowskiego w tej dekadzie woli to szczęście przemieniała w koszmar.

— Żył wielu ludzi, którym udało się przeżyć łódzkie getto, a w filmie nie ma ani jednego wywiadu.

— Każde słowo wykorzystane w tym filmie napisane było w getcie. Obok tekstów z „Kroniki” dla potrzeb filmu przetłumaczonych zostało z języka polskiego, hebrajskiego, jidysz i niemieckiego parę tysięcy stron z piętnastu dzienników i pamiętników zachowanych dziś w różnych archiwach oraz pochodzących od osób prywatnych. Pisali je ludzie którzy w większości mimo wszystko nie spodziewali się aż tak tragicznego końca. Wydaje się, że film o party na tak osobistych tekstach pozwoli widzowi lepiej zrozumieć sytuację zamkniętych w pułapce ludzi, odpowiedzialnych na narzucające się pytania: dlaczego bez słowa protestu i oporu szli do transportów wiozących ich ku zagładzie?

Teksty zilustrowane są dokumentalnymi fotografiami, archiwalnymi filmami oraz uzupełnione „dokrętkami” współczesnymi.

— W tym celu dwa lata temu po raz pierwszy odwiedziłeś Łódź?

— Bardzo trudno jest realizować film tylko w oparciu o statyczne zdjęcia. Poza tym „dokrętki” mają służyć do stworzenia niepowtarzalnego klimatu filmowej opowieści. Aby to osiągnąć, postanowiliśmy pokazać plac Kościelny, gdzie mieściły się niektóre instytucje zarządu getta, cmentarz z domami, w których mieli być pogrzebani ostatni Żydzi łódzcy, fragmenty ulic, na których się ukrywali przed prześladowcami i... proces wypieku chleba w wiekowej piekarni. Szukaliśmy też elementów wizualnych dla zilustrowania tekstów opi-

sujących życie kulturalne w getcie: koncerty, twórczość plastyczną i literacką uprawianą w tym prawdziwym piekle na ziemi przez ludzi szukających ucieczki choć na chwilę od tragicznej rzeczywistości. Miał w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie udostępniono nam do sfilmowania obrazy namalowane w getcie: portrety, pejzaże, widze surrealistyczne.

— Czy podczas gromadzenia materiałów do filmu natrafiliście na jakieś dokumenty dotąd nie znane badaczom wojennych tragedii?

— Na początku tego roku do dr. Lucjana Dobroszyckiego, historyka z Żydowskiego Instytutu YIVO w Nowym Jorku, zgłosiła się przedstawicielka austriackiego wydawnictwa Löcker Verlag. — Mam zdjęcia, które na pewno pana zainteresują — powiedziała i pokazała 25 kolorowych fotografii z łódzkiego getta. Była to zaledwie część z ponad dwustu oryginalnych diazetywnych, które wkrótce przysłał do Nowego Jorku właściciel wydawnictwa. Ten prawdziwy skarb, który jakimś cudem przetrwał do dziś, umożliwił w szczególności hermetycznej walizce. Slajdy są ponumerowane i opisane. Przedstawiają prace w pralni, ślusarni, sortowanie zagrabionej żywności, żywność, uprawę działek warzywnych na Marysinie, wyniszczoną twarz wygłodniałych Żydów na tle kołczastego drzewa oraz wizytującego getto Heinricha Himmlera w kabrioletcie marki BMW ze złowieszczą rejestracją „SS-1”. Kolor spotęgował dramatyzm ujęć, zataił różnicę czasu, dając wrażenie jakby to wszystko działo się całkiem niedawno, niemalże wczoraj. Najpewniej są to zdjęcia dokumentacyjne zrobione przez Niemców na użytek hitlerowskiej propagandy. Na razie wiadomo tylko tyle, że ten unikalny zbiór przyniósł do austriackiego wydawnictwa sprzedawca książek, zastrzegając, iż nie może uj-

wnąć nazwiska osoby, od której kupił te sensacyjne zdjęcia. Wydawnictwo zgodziło się na wykorzystanie części tych ujęć w naszym filmie.

Mimo jednak dość dużej liczby zagranicznych dokumentów, jesteśmy świadomi, że robimy film ze strzępów tego, co pozostało. Wiemy, że Niemcy nakreśli w getcie tysiące metrów taśmy filmowej, której nie udało się, niestety, odnaleźć.

— Wiele sekwencji w filmie zajmuje sylwetka Mordechaja Chaima Rumkowskiego, a ściślej kontrowersyjna rola, jaką odgrywał w getcie.

— Uważam, że to postać bardzo złożona i tragiczna. Staram się znaleźć odpowiedź, czy Rumkowski, kierując przecież na polecenie Niemców dziesiątki tysięcy rodaków do transportów, wiedział o istnieniu obozów? W jednym z pamiętników zacytowane są jego słowa: „Ja wiem coś, czego nikt inny nie wie, dlatego nie mogę spać. W getcie jest również wojna...”

Wiele zdaje się wskazywać, że Rumkowski dosłownie za wszelką cenę usiłował utrzymać getto przy życiu. Miał nadzieję, że dopóki ludzie będą pracowali, będą potrzebni hitlerowcom, nie dojdzie do likwidacji tego największego chyba na świecie skupiska zwykłych krawców i rymarzy zmuszonych przez okupanta do nadludzkiej pracy i choć część z nich uratuje swoje życie. I łódzkie getto żyło najdłużej, a gdyby wojna mogła się zakończyć tylko 9 miesięcy wcześniej, na pewno nie ocalałoby 100 tysięcy zamkniętych w nim ludzi.

— W Polsce wiele ostatnio się pisze i mówi o polsko-żydowskich stosunkach i wzajemnych relacjach. Myślę, że i w tym kontekście ten film spotka się z dużym zainteresowaniem.

— Też mam taką nadzieję. Zdaje sobie sprawę, że historia okupacji hitlerowskiej nie jest

łatwa ani dla Polaków, ani dla Żydów. Jedni bowiem winią Polaków za zbytni ich zdaniem — małą pomoc w ratowaniu Żydów skazanych na zagładę, inni mówią wyłącznie o polskim heroizmie, ogólnym poświęceniu. Jest ważne, żeby bez łatwego generalizowania i emocji spojrzeć dziś rzetelnie na tę tragedię, która była udziałem obu narodów. Wiem z doświadczenia, że nie wszyscy Polacy to rozumieją. Przez osiemnaście miesięcy starałem się o pozwolenie na realizację tego filmu w Polsce. Odmówiono nam w Interpressie, a w łódzkim archiwum powiedziano wręcz, że „Kronika Getta Łódzkiego” w ogóle nie istnieje. To mogło dawać przyzwoicie o braku przychylności polskich urzędników dla poruszania tego drażliwego tematu. Dopiero interwencja ministra spraw zagranicznych — Mariana Orzechowskiego otworzyła drogę do Polski. Ale od pierwszej chwili pobytu w Polsce spotkałm się z ogromną życzliwością i przychylnością bardzo wielu osób, które pomagały nam, bo rozumiały wagę podjętego tematu. To były wspaniałe, inspirujące nas kontakty.

— Film nie jest jeszcze do końca zmontowany i udźwiękowiony, w studio na dolnym Manhattanie, gdzie prowadziły rozmowy, kwestie Rumkowskiego czyta właśnie Jerzy Kosiński. Kiedy film będzie gotowy do rozpowszechnienia?

— Wszystko wskazuje na to, że pod koniec tego roku, a na początku 1989 roku zostanie wyświetlony przez amerykańską sieć telewizyjną CPB, która obok Fundacji Studiów Polsko-Żydowskich oraz Fundacji Jurzykowskiego jest sponsorem tego filmu. Wówczas nam nadzieję, że również „Poltel”, który od strony produkcyjnej uczestniczył podczas realizacji filmu w Polsce, zaprezentuje ten dokument w polskiej telewizji.

Rozmawiała:
ZOFIA TUROWSKA



Reżyser Alan Adelson z operatorem w trakcie realizacji zdjęć filmowych w Łodzi.

Foto: Konrad Turowski

Ale zanim Jan Duch wyprowadził się z pałacu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, w kilka dni po jego z Georgią przybyciu do naszego siedziska, dwóch eleganckich panów stanęło w drzwiach pokoju. Był słoneczny, późnowrzesniowy poranek.

Angielski Georgii przydał się znowu. Jednak niektóre słowa były dość łatwo zrozumiałe nawet dla Ducha. Securite, na przykład. Janek przejrzał się facetom dokładnie. Byli inni, niż ich polskie odpowiedniki. Znal parę pracowników resortu w Warszawie, byli to jego prywatni kumple, z którymi czasami lubił wypić, powymieniać najnowsze kawały, ale żaden ze swych nie dysponował takim eleganckim garniturem, jak każdy z tych dwóch modeli. Muszą lepiej chybą zarabiać niż nasi, pomyślał z troską Duch.

Funkcjonariusze bardzo grzecznie poprosili Ducha o małżonkę o pójście za nimi. Nie „z nimi”, a „za nimi”. Tamci szli z wolna przodem, w odległości dziesięciu metrów, udając, że są zajęci rozmową, rozglądając się obojętnie po Avenue Louise, a Duch z Georgią, równie wolno i obojętnie, za nimi. Minęli drogi sklep z konfekcją męską, nad którym wisiał szyld: „Ted Lapidus”. Krawaty kosztowały tam tyle, ile całe ubrania w innych sklepach, a ubrania znów tyle, ile w innych sklepach futra. Duch nie przypuszczał, że za kilka lat wejdzie do tego sklepu z taką samą obojętnością, z jaką wchodził do drugostore'u w Toronto i każe sobie podać sporo rzeczy, nie pytając o cenę. Ale dzieliło go od tego momentu jeszcze wiele dni, teraz miał sklep Lapidusa z obrzydzeniem — większość ludzi brzydzi się tym, co jest dla nich za drogie. Taka samoobrona przed pałacem jak kwas zawiązała. Były okresy, kiedy brzydiliśmy się zgnilizną zachodniej kultury, brzydiliśmy się amerykańskim sposobem życia, brzydiliśmy się kapitalizmem... a teraz, jak ta zepsuta dziewczyna z dworku:

— Panie Franku, ja mam narzeczonego... no, niech pan włoży, ale nie do końca, bo go tak całkiem zdradzić nie chcę...

Czego to się brzydzić? Jak czegoś potrzebujesz, to rób, bierz, osiagaj. Jak nie potrzebujesz, to się odwróć, przecie jak się spać nie chce, to cieknie nie żasnę. Obluda, pruderia, zakłamanie to najgorszy wrogowie życia.

Jan Duch powiada do Georgii:

— Brzydzi mnie ten Lapidus. Co to za nazwisko, do cholery? Ale jakbym miał ciacki, to może i bym wszedł...

Kilka bram dalej panowie znikają. Duch i jego pani wchodzi do wnętrza. Winda. Funkcjonariusze uśmiechają się miło, ale nie mówią prawie nic. Georgią próbuje się dopytać, w jakim celu jada na górę, ale oni wymigują się uspokajająco.

Dom wygląda na prywatny budynek mieszkalny. Żadnych napisów, szyldów, znaków, że mieści się tutaj coś o charakterze oficjalnym. Wchodzą w drzwi po lewej stronie korytarza. Bogate drzwi mieszczącego, wielopokojowego mieszkania. Długi przedpokój, po obu stronach drzwi w kolorze białym. Dobiega stukot maszyny do pisania. Tu już klasyczny zapach biura, taki sam pod każdą szerokością geograficzną. Jeden z opiekunów bierze Georgię delikatnie pod ramię i wprowadza do pokoju. Jan Duch automatycznie rusza za nimi, ale drugi opiekun ujmując z kolei jego pod ramię i z grzecznym uśmiechem wskazuje następne drzwi.

Wewnątrz za biurkiem siedzi sympatyczny pan w średnim wieku, elegancka koszula, krawat, mankiety. Szpakowaty, zażywny. Wstaje na widok Ducha.

— My name is Vincent — powiada po angielsku.

— I don't speak English — powiada Jan Duch, który tego podstawowego zwrotu nauczył się od Georgii.

Pan urzędnik przechodzi na francuski i tu już Jan Duch nieco lepiej daje sobie radę, zresztą używając bogatej gestykulacji. Po paru minutach zostało wyjaśnione, że chodzi o przesłuchanie małżeństwa Duchów, ale będzie ono przeprowadzone osobno. Na razie jednak jest kłopot, ponieważ urzędnik sadził, że oboje znają angielski w wystarczającym stopniu, tymczasem okazało się, że tylko żona.

Francuski Jana Ducha składał się z dwudziestu słów, ale jakoś tam pojął, o co chodzi: przesłuchanie potrwa kilka godzin i trzeba znaleźć tłumacza. Teraz tylko monsieur Vincent zapisał dane osobiste Jana Ducha, klasycznie: imię ojca, nazwisko panienskie matki i tak dalej. W końcu rozłożył ręce i uśmiechnął się przepaszająco. Nie mają tłumacza, no cóż.

Georgią czekała na korytarzu.

— Okazuje się, że mogę składać zeznania po angielsku — powiedziała z zadowoleniem.

— Jakie zeznania?

— No, jakieś odpowiedzi na ich pytania.

— Odpowiedzi, to co innego. Nie rób paniki z jakimiś zeznaniami.

— A co ty myślisz, że będą nas pytać o to, co robiliśmy w łóżku dwa lata temu? Zobaczą, jak się przycepią.

Georgią była pełna najgorszych przeczuć. Wrócili do SPK, umówieni na jutrzejszy ranek z dwoma opiekunami.

— Tu chodzi o azyl — powiedziała, kiedy znaleźli się sami. — Musimy mówić dokładnie to samo.

— Ale o czym? Skąd mogę wiedzieć, o co będą pytali? W ogóle uważam — wzruszył ramionami — że należy mówić prawdę. Nie mamy nic do ukrycia, jesteśmy czysti.

— To nie jest takie proste. Choćby sprawa, dlaczego wybraliśmy Brukselę na miejsce zgło-

szczenia się po azyl. No? Powiedz, dlaczego, jak taki jesteś mądry.

— Ładne miasto — powiedział Jan Duch, zdziwiony. — Sama przecież mówiłaś, że tu byś chciała mieszkać. Co w tym złego? Gdzieś przecież trzeba mieszkać.

— Głupcze — roześmiała się. — Wiesz, co ma swoją siedzibę w Brukseli?

— Skąd mam wiedzieć? O co ci chodzi?

— Tu się mieści główna kwatery NATO. Nie pomyślałaś o tym, młoda.

— Co mnie obchodzi jakieś NATO? Ja na to jak na lato, a czy ty wiesz, gdzie się mieści główna kwatera Paku Warszawskiego?

— Jak to, gdzie? W Moskwie.

Jan Duch speszył się nieco. Dotąd myślał, że w Warszawie, jak sama nazwa wskazuje.

— Chyba w Warszawie. Może będą mieli pretensję, że się w Warszawie urodziłem. A do ciebie, że przyszedł na świat w Tbilisi, czy w innym Kutaisie...

— Zamknij się, kretynie — powiedziała surowo. Nie znosiła głupich żartów na temat jej pochodzenia, a już wszelkie napomnienia o Józefie Stalinie doprowadzały ją do szału.

— Był tam pewien Amerykanin, właśnie pracownik NATO, tak mi się przedstawił. Po spisanu danych osobistych zadali mi właśnie to pytanie: czy wiem, co tutaj się mieści, nie wiem, oczywiście, tak samo jak ty. I zaraz po wyjaśnieniu następnego pytania: dlaczego właśnie tu postanowiliśmy prosić o azyl? I zaraz następnego: kto nas do tego namówił? Oczywiście, na żadne z pytań nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Byłam mocno zszokowana, to wysz-

szło z ust.

Przesłuchanie w belgijskim UB

tko zaczyna mi się nie podobać. Szukają dziury w całym. Może chcą nas urobić w szpiegostwo. Wszystko, byle tylko nie dać azylu i odejść do Polski. Więc musimy się trzymać. Trzeba uzgodnić, jak mamy odpowiadać na pytania.

— Nie ma sensu — machnął ręką Jan Duch. — Co mnie to wszystko obchodzi? Dadaż, to dadaż, nie dadaż, to nie dadaż. Przecież nie umrę od tego. W każdym razie zbiera się materiał na niezły reportaż.

— Jesteś absolutnym głupcem — zdenerwowała się Georgią. — Nie zdajesz sobie sprawy, o co idzie gra. Idzie o całe życie, nie o jakiś tam rok za granicą, czy o jakąś tam nędzną księżeczkę ku uciesze tłumy przygłupów. Nie wiem, jak ty, ale ja chcę żyć, chcę coś przeżyć ekscytującego, stać się kimś innym... Chcę dostać jakieś ludzkie obywatelstwo, zapamięć o tym cholernym rozgoryczeniu, które miałam, patrząc na zagranicznych studentów, zapamięć ten żal, dlaczego nie jestem jedną z nich, dlaczego nie urodziłam się za granicą...

— Urodziłaś się za granicą — przerwał Jan Duch jej karabin maszynowy. — Gdybyś dotąd mieszkała tam, gdzie się urodziłaś, i gdybyś teraz dopiero przyjechała do Polski, to by ci się wydawało, że jesteś w najlepszym kraju. I na pewno byś zazdrościła polskim studentom, że się urodziła w Polsce. Zresztą, za granicą to przecież wszystko, co się poza Polską rozciąga, cała reszta świata. A ty komu zażarowałaś? Nigerijczykom, Albańczykom, Czechom, Chińczykom, Hindusom? Powiedz, komu? Trzem miliardom głodomorów?

— Nie wygłupiaj się. Wiesz dobrze. W grę wchodzi kilka krajów, którym można zazdrościć. Gdybym miała się urodzić jeszcze raz, to mój pierwszy wybór jest tutaj, w Belgii, a potem wchodzi Ameryka, Kanada, Niemcy Zachodnie, Anglia, Francja, Holandia, kraje skandynawskie oprócz Finlandii...

— Dlaczego?

— Biedna ta Finlandia, taka prowincja...

— Ale wyjście stamtąd jest.

— Może być na wschód. Odpada. Już lepiej Włochy.

— Byłabyś jedną z niewielu łysych dziewczyn.

— Nie trać czasu. Namówimy się, co mówić na przesłuchaniu.

— Nie mam zamiaru na nic się z tobą umawiać. Zapłacęmy się w jakieś głupstwo i wyjdzie kłopot. Mogą nas jeszcze wziąć na maszynę do wykrywania kłamstw i dopiero dostaniesz azyl.

Georgią rozejrzała się beznadziejnie.

— Muszę dostać azyl. Muszę — powtarzała przez zaciśnięte zęby.

Następnego dnia dwaj opiekunowie, punktualnie o dziewiętej, czekali przed wejściem do domu SPK. Ruszyli przodem, jak pierwszego dnia. Georgią i Jan Duch za nimi. Wszystko powtórzyło się dokładnie.

Kiedy Jan Duch znalazł się w pokoju Vincenta, przywitała go po polsku młoda, ładna, czarnowłosa dziewczyna. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia trzy lata. Powiedziała, że pracuje dla NATO, że jest obywatelką amerykańską, ale rodzice byli Polakami. Mówiła po polsku znakomicie.

I teraz zaczęła się udręka. Przesłuchanie trwało o cztery razy dłużej niż powinno. Vincent zadawał pytanie po angielsku. Dziewczyna tłumaczyła je na polski. Jan Duch odpowiadał po polsku. Dziewczyna tłumaczyła je na angielski. Vincent zapisywał odpowiedzi — ręką — po francusku. I na osobnej kartce po flamandzku. Belgia jest krajem dwujęzycznym. Dokumenty państwowe muszą być dwujęzyczne.

Vincent starał się pisać najszybciej, jak tylko mógł, ale musiał pisać wyraźnie. I pisał wyraźnie, udało się to Janowi Duchowi dostrzec.

— Are you a communist? — pytał Vincent.

— Czy jest pan komunistą? — powtarzała dziewczyna.

— Nie, nie jestem komunistą — odpowiadał Jan Duch.

— No, he is not a communist — powtarzała dziewczyna.

„Bla, bla, bla”, czy jakoś inaczej zapisywał sobie Vincent odpowiedź Jana Ducha w jednym języku, a potem „gul, gul, gul”, zapisywał to samo w drugim. Razem włączone w przesłuchanie Jana Ducha były cztery europejskie, ba, światowe, języki, dwa szeroko znane, dwa prawie nieznane.

Ale to był dopiero początek, te krótkie pytania. Wkrótce Vincent przeszedł do ataku na całym froncie. Motywy decyzji Jana Ducha interesowały go bardzo. Nie mógł zrozumieć, dlaczego człowiek, który ma własne mieszkanie, samochód i dom letni nad Zalewem, a także zarabia dziesięć razy więcej niż przeciętna krajowa, decyduje się na porzucenie tego luksusu i szukanie biedy w obcym kraju. Tutaj Jan Duch stanął przed karkołomnym za-

daniem wytłumaczenia zachodniemu obywatelowi istoty polskiego rozumienia luksusu, polskiego specyfiki luksusu i dobrych zarobków, polskiego sposobu budowania domu letniego nad Zalewem, i tylko ten jeden problem, przepuszczony przez cztery językowe filtry, zajął im cały dzień.

Nad Zalewem Zegrzyńskim pewien odcinek brzegu, ten najładniejszy, zarezerwowany był dla ludzi lepszych. Jan Duch miał kumpła przywaciarza, który produkował jakieś szyny do firańek, czy spinki do włosów, a może jedno i drugie. Przywaciarz był znany jako „Rysiek Mercedes”, ponieważ nigdy nie pokazywał się w innym pojeździe, tylko w mercedesie. Rysiek miał wiele milionów złotych i dziesiątki tysięcy dolarów. Mądrze opłacał się wokół, więc ani razu nie spadł mu włos z głowy. Chciał kupić działkę na brzegu, w tym właśnie ekskluzywnym odcinku. Poszedł do Urzędu. A tam mówią mu:

— Panie, tam tylko dla Wysokich Urzędników, Działaczy oraz dla Artystów.

— A z Artystą do spółki można?

— To już sprawa między Artystą a panem.

Rysiek Mercedes w godzinę jest u Jana Ducha:

— Stary, pożyczę ci forsz na samochód z przydziału, tylko kup ze mną działkę w rejonie dla Lepszych.

Jan Duch wraca z R. Mercedesem do Urzędu. Urzędnik wyciąga z biurka książkę Jana Ducha, chwala ją mocno przez Potężnego Działacza, dostaje dedykację, pozwolenie jest gotowe, na maszynę, ze stemplami, w pięć minut. Jan Duch, który w tym czasie złożył podanie o przydział samochodu do gabinetu Ministra do Spraw Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, otrzymał forsz od Rysia M., i samochód wykupił. Dlaczego minister od pomników męczeństwa zajmował się sprzedażą samochodów, tego Jan Duch nie mógł zrozumieć. Vincent nie mógł. Dziewczyna nie mogła. Teraz Jan Duch domyślał się, po latach, że chodziło o mekę właścicieli z powodu braku części zamiennych do tych alf romeo, fiatów, citroenów. I o walkę o przydział.

Oto tajemnica luksusu, w jakim żył Jan Duch. Działka, domek nad Zalewem, samochód zachodni. Dużo by z tego widział, gdyby nie zdarzyło mu się mieć znajomego-privaciarza! Nawet tego wysokiego zarobki starczyły zaledwie na codzienną wódkę i wakacje w Jastarni albo w Zakopanem. O prywatnym wyjeździe na Zachód ani nawet marzyć nie mógł. Ale tego właśnie Vincent nie mógł zrozumieć. Znany pisarz w Belgii może sobie pozwolić na wyjazd na Wschód, dlaczego nie miałoby być odwrotnie?

A tam na działce... Rysiek Mercedes postawił sobie niezłą willę wśród drzew. Murowany garaż dla łodzi motorowej z silnikiem „Johnson” o sile stu pięćdziesięciu koni. Prócz tego żaglówka, bardzo elegancka, złote drzewo, robiona na zamówienie, duże żagle. W domu magnetofon i wieczna taśma z Tomem Jonesem: „green, green grass of home”. Koniaki, whisky, przed domem zaparkowane wozy niemieckie, drogie. Znajomi Rysia Mercedes: badylarze, hodowcy koni, urzędnicy MSZ i MSW, członkowie KC. Jeden taki, towarzyszył K., po pijanemu zwykły powtarzać:

Są rzeczy, których się opisać nie da. I sprawy, których nie można wytłumaczyć. Na przykład pojęcie „parodia życia”. Vincent wiedział, co to jest życie, bo żył. I wiedział, co znaczy parodia, bo skończył wyższą szkołę. Ale zestawienie tych dwu pojęć już się jego percepcji wymykało. A Jan Duch całkiem na przekór: nie mógł pojąć pojęcia życie bez smaku parodii, a parodia znaczyła życie. Życie Jana Ducha było parodią życia. tworem rakowatym, zżeranym przez obce mięso. Ale ten Vincent, siedzący przed nim z przyjaznym, trochę zakłopotanym uśmiechem, wydawał się być Duchowi znakomitym lekarzem.

C.D.N.

— Ja mam krystaliczny życiorys!

Był kierownikiem wydziału drobnego przemysłu, czy lekkiego przemysłu i drobnej wytwórczości, diabli wiedzą, jak to się tam nazywało. Ale był kierownikiem, to wiemy na pewno, bośmy sami z Janem Duchem krystalicznego życiorysu nieraz wysłuchiwali.

Jan Duch nie mógł zrozumieć rozbieżności między życiem na pokaz dla ludu, a życiem prywatnym takiego faceta. Niby tepilo się bogatych przywaciarzy, stawiało się młodzieży model innej, ofiarnego społecznika do naśladowania, walilo się gromy propagandowe i domlary konkretne na lby i kleszcze tych zapobiegliwych kreatur, a po cichu, tak! K., główny rycearz turniejczyk o oczyszczenie socjalizmu z przywaciarzkiego brudu, łasił się do bogatego nygusa, a nigus mu powiada:

— Nie się nie lam, Tadziu, jak cię z tej twojej firmy wypieprzą, to zawsze możesz liczyć na mnie.

Potem towarzyszył K. przypina narty wodne, Rysio Mercedes siada do łodzi, gaz, ogromna fala wzbija się przy starcie, pedzał przez Zalew. Na drugiej polowie publicznej plaży kłębi się tam proletariata, tłok, tłum, hałas, Rysio ciągnie towarzysza wprost na ten tłum, w odległości paru metrów od słońca w wodzie główkę robi zwrot, wielka fala i piana zarzuca uradowany widokiem proletariata, tak smigają szczęśliwcy, archanioły z lepszego świata, amerykański silnik, polski zgulny przywaciarz i komunist, który ma tepid przywaciarza. Na sznurczku go przywaciarz ciągnie, regulując delikatnym ruchem dłoni potężną moc silnika z napisem „Johnson — USA”.

Jan Duch jest człowiekiem prostym. Jest? Był, bo już się skrzywił. Ale nie aż tak, jak towarzyszył K., tak skrzywiony to nigdy nie był. Prostota jego spojrzenia na świat była zatrważająca. Jemu się wydawało, że komunisty to inni ludzie niż przywaciarze. A tu się okazuje, że to tacy sami ludzie, tylko w innych firmach zdarzyło im się pracować. Fajne chłopaki, nie można im niczego zarzucić. Może tak trzeba, może trzeba oszukiwać mołoch. Nie wiem, dlaczego, ale Jan Duch często ułotniał się z mołochem właśnie. Nie pociągają go sytuacja towarzysza K., ani sytuacja przywaciarza. Jakoś mu to nie smakowało. Kiedy w redakcji czasami dostawał od naczelnego „Biuletyn Specjalny”, gdzie były informacje niedostępne dla ogółu, ogarniał go wstręt do tych kartek zadrakowanych na powielacz. Co w tych informacjach takiego, że robotnik czy sprzedawca nasion nie powinien mieć do nich dostępu?

Robotnik i sprzedawca nasion i tak dowiadawali się, czego chcieli się dowiedzieć, więc tym bardziej bezsens tych restrykcji, tajemnic, podziałów na lepszy i gorzej poinformowanych brzydził Jana Ducha. Teraz musiał tłumaczyć Vincentowi o zasadach segregowania informacji w Polsce, o biuletynach specjalnych, a Vincent po swojemu:

— A to ludzie nie mogli kupić gazety, żeby się wszystkiego dowiedzieć?

No i zaczynaj, bracie, wszystko od początku. I o cenzurze. W paru książkach Jana Ducha na każdej niemal stronie brakuje kilku słów, czasem jednego zdania, czasem paru zdań. Usunięte przez cenzurę. Dlaczego? Jakież to mocne zdania w nowelkach czy wersety w wierszach? Jan Duch nie był kontrewolucjonistą, był sobie zwykłym wyrobnikiem literackim, jakich wielu w każdym kraju, tyle, że uchochdził za dość zdolnego. Czego się bał? Co chcieli udowodnić? Siłę? Władzę? Odwrotnie przecie, udowadniali słabość i głupotę.

Vincent pyta, czy cenzura zrobiła jakąś wymiarną, konkretną krzywdę Janowi Duchowi jako pisarzowi. Niech Duch wyliczy wszystkie swoje zale, wszystkie pretensje do cenzury, bo Vincent chce to zapisać po francusku i po flamandzku. Ale to zadanie ponad siły Ducha. Musiałby ciągnąć palcem po stronach swoich książek, prosić Dziewczynę o tłumaczenie takich zdań: „światło na skrzydle samolotu znikało we mgle, jak mała, czerwona gwiazda...”. Wyrwane z kontekstu polskiej rzeczywistości, wyjęte z atmosfery nasyconej perfumami towarzyszy D., firmy „Wozduch Wastoka”, nie znaczyły nic. Tu, w czystym, białym pokoju belgijskiego UB, w śródmieściu sennej, mieszczańskiej i sytej Brukseli, wszystkie dawne kłopoty Jana Ducha z cenzurą wydawały się po prostu śmieszne, więcej, przestawały istnieć, tak jak przestaje istnieć sen o zimie, kiedy się człowiek budzi w lipcowy ranek w nadmorskim pensjonacie. To zdanie spowodowało, że debiut książkowy Jana Ducha opóźnił się o trzy lata. Dużo to czasu, czy mało? I czy winne było to zdanie, czy chory umysł handlarza cebula, przycepienie do komunizmu, jak gówno do kół traktora? Jak to wszystko wytłumaczyć monsieur Vincentowi, żeby zrozumiał dokładnie otchłań bezsilności, w jakiej machał łapami Jan Duch, próbując utrzymać równowagę?

Są rzeczy, których się opisać nie da. I sprawy, których nie można wytłumaczyć. Na przykład pojęcie „parodia życia”. Vincent wiedział, co to jest życie, bo żył. I wiedział, co znaczy parodia, bo skończył wyższą szkołę. Ale zestawienie tych dwu pojęć już się jego percepcji wymykało. A Jan Duch całkiem na przekór: nie mógł pojąć pojęcia życie bez smaku parodii, a parodia znaczyła życie. Życie Jana Ducha było parodią życia. tworem rakowatym, zżeranym przez obce mięso. Ale ten Vincent, siedzący przed nim z przyjaznym, trochę zakłopotanym uśmiechem, wydawał się być Duchowi znakomitym lekarzem.

C.D.N.

— Wielu młodych ludzi utożsamia pana z takim idolem pokoleń, jakim był Zbyszek Cybulski.

Bogusław Linda — Takie opinie mogą tylko cieszyć. Ale od razu czuję, że powinienem wpaść pod jakiś pociąg... Mówię w tej chwili może o czymś innym, myślę jednak, że jest u nas potrzeba kogoś takiego i szuka się w tej szarzyźnie, w tej biedzie, w tym wszystkim kogoś takiego właśnie. To nie znaczy, że tak jest naprawdę. Pięknie by było, gdyby tak było, uważam natomiast, że to nie na tym polega. Wydaje mi się, że my po prostu bardzo potrzebujemy kogoś, kto by udawał, że to jest normalny kraj. Być może na mnie padło.

— Jest pan szalenie silną osobowością zarówno w życiu, jak i na ekranie, osobowością dominującą. Czy są aktorzy, którzy z tego powodu niechętnie z panem pracują?

— Nie, nie sądzę, żeby tak było. Wie pan, ten zawód, zawód aktora, ma i musi mieć w sobie coś takiego jak nadzieje i megalomanie. W każdej osobie, która upra-

nie przekroczył. Główny bohater jest w tym filmie charakterystyczny, aktor musi być taki sam. Usiłowałem dokonać czegoś takiego, co wtedy, jak pamiętam, oglądałem w „Noenym kowboju”, w „Strachu na wróble”. Tego, co robił w tych obrazach aktorzy amerykańscy, u nas nie udało się nikomu zrobić, stąd mam te wielkie satysfakcje, że byłem pierwszy.

— Czy dobrze czuły się pan w roli komediowej?

— Grałem w teatrze w komediach. A tak w ogóle, to kiedy kończyłem szkołę, byłem uważany za świetnego aktora komediowego.

— Dlaczego zatem nie grywał pan w filmach ról komicznych?

— Sądzę, że moja samokontrola działa tutaj negatywnie. Dobra komedia jest rzeczą, którą spotyka się szalenie rzadko. Bardzo chętnie zagrałbym na przykład w „Pół żartem, pół serio”. Ale być może ja mam dość specyficzne poczucie humoru, może na tym to polega, bo te komedie, których scenariusze otrzymywałem, wydawały mi się ciężkimi dramatami.



sa ci, którzy wtedy pierwsi otwierali te zakładowe drzwi kina, kiedy powstał właściwie film amerykański z nową szkołą grania, innym sposobem opowiadania, z

Każdy musi mieć nadzieję

— rozmowa z BOGUSŁAWEM LINDĄ

wia tę profesję, jest trochę nadziei, że to on będzie najlepszy w naszym filmie, i że i tak jest najładniejszy.

— Czy zrezygnował pan na dobre z pracy w teatrze?

— Nie, zrezygnowałem jedynie z etatu w teatrze.

— Czy pracuje pan zatem nad jakąś rolą teatralną?

— Nie. Myślę, że zdrowiej będzie i że w ogóle jest to zdrowy pomysł, aby grać w teatrze wtedy, kiedy coś mnie interesuje, a nie kiedy jestem związany etatem z czymś, co zagrać. Chcę tak pracować z ludźmi, którzy mnie interesują, a których i której ja interesuję. To jest nie związane z naszymi ustrojem, bo my mamy inne zasady, które mówią, że musimy coś zrobić, jakiś produkt, a ja od tego chciałem uciec. Myślę, że jestem jednym z pionierów drugiego etapu reformy wprowadzonego do zawodu aktorskiego.

— Na czym polega największa różnica między deskami sceny a planem filmowym?

— Nie ma żadnej. Nie zauważyłem jakiegokolwiek różnicy.

— Biskosko żywego człowieka w teatrze nie rzutuje na pana grę?

— Nie, nie jestem afektywany.

— Czy to oznacza, że w życiu jest pan taką samą osobowością, że jest pan sobą, jak na planie filmowym?

— Nie wiem, czy jestem sobą, staram się być sobą. Natomiast nie sądzę, że na planie filmowym jestem sobą. W filmie staram się wykonać jakiś zawód, wypełnić go w sposób, jaki uważam za najlepszy, ale to nie znaczy, że jestem sobą. Jednak... gram jakiegoś kina.

— Jak określiłby pan artystyczny stan polskiego kina?

— Uważam, że jest bardzo dobry. Niestety, to nie wszystko. Po siadamy ogromny potencjał, mamy świetnych reżyserów, aktorów, operatorów, scenografów, natomiast nie z tego nie wynika, i to jest przerażające i przynębiające — U jakiego reżysera zagrałby pan najchętniej 20 lat temu?

— Mam dosyć łatwą sytuację, bo pamiętam filmy, które do teraz się pamięta. Wiele byłoby to Andrzej Mank, Andrzej Wajda, Roman Polański.

— Rola, jaką zagrał pan w filmie „Kobieta samotna” różni się znacznie od ról, jakie przyjmował pan do tej pory. W jakim stopniu odbiega ona rzeczywistość od innych pana kreacji?

— Kiedy akceptowałem te role, wydawało mi się, że jest to dobre wybrałem sobie w życiu zawód staram się wypełniać go uczciwie, i w związku z tym staram się także o coś walczyć w tym zawodzie. W przypadku „Kobieta samotna” walczyłem o przekroczenie pewnej granicy, której w polskim kinie nikt jeszcze

mi, i nie widziałem powodu, żeby udawać, że małe to śmieszne.

— Czy miał pan ostatnio jakieś atrakcyjne propozycje zagraniczne?

— Skończyłem właśnie wiekzys film w Danii, otrzymałem też o- ientację z Francji, ale nie wiem co z tego wyniknie. W tej chwili nie gram w żadnym filmie.

— Wróćmy do lat 60. Co z tamtego okresu w kinie jest panu najbliższe?

— Wie pan, teraz najbardziej wkurza mnie to, co się widzi na każdym metrze taśmy z tamtych lat. Szacunek dla kina, wielka pokora i związana z tym niezwykła staranność wykonywania filmu, dążenie do nie imponowania sztuki filmowej, natomiast chęć przekazywania myśli, co było piękne i co do dziś istnieje w tych starych filmach, co pozwala się od- czytać. Myślę, że obecnie świat się zmienił bardzo, szczególnie u nas, nie wiem, czy na korzyść. Mówi- śmy o drugim etapie reformy — my zwykłe sięgamy po to, co w kapitalizmie jest najgorsze, i film zrobił się jakby tani, nie w sensie finansowym, ale w sensie staranności i pokory wobec swoich marzeń i wobec ludzi, którzy chodzą do kina.

— Pana rola w filmie „ZABUJ MNIE GLINO” jest pierwszą rolą w kinie popularnym. Jaki jest panu stosunek do kina tego rodzaju?

— Powiem panu szczerze, zawsze marzyłem o czymś takim, to marzenie z lat młodzieńczych. Ja uważam, że to jest kino, może nie akurat ten film, ale kino jest bajką, czasami madra, czasami głupia, ale jest bajką, chwila oddechu dla ludzi. Każdy z nas jest w jakimś sensie dzieckiem, a kino jest realizacją tych marzeń, które pojawiają się po lekturze „Potopu” czy Jamesa Bonda. Każ- dy stara się potem być taki, jak bohaterowie tych książek. Filmy, o jakich mówimy, są w moim przekonaniu dla ludzi, którzy duchowo nie umierają, zbyt wcześnie, dlatego jest to ładne, i ja się ab- solutnie tego nie wstydzę. Bardzo chciałbym, żeby powstały tego typu filmy, tylko dobre, bardzo dobre.

— Czy to jest kino gorszego gatunku?

— Nie rozdzielałem tego w ten sposób. To kino jest inne. Klasyfikując, określiłbym ten film jako dobry kryminal amerykańskiej klasy B, nie więcej. I nie widzę powodu, żeby na to narzekać, ani żeby się tym chwalić. Jest to film, na który prawdopodobnie chodzą ludzie, o którym chyba mówią, i to już jest w porządku.

— Czy u progu swej kariery wzorował się pan na jakimś aktorze?

— Ja myślę, że to zostaje zawsze. Moimi idolami byli James Dean z „Obrzyna”, Marlon Brando. To

madrością paru światowych wojen i z tym cynizmem, które niesie- ty ze sobą. I to mi się podobało. A ponieważ ten cynizm pasuje do naszego czasu, do naszego kraju, więc jest to u nas akurat teraz aktualne, a nie 40 lat temu. Mnie w pamięci utkwił szczególnie „Obrzyna”. Na mnie „Obrzyna” wrażenie zrobił „Obrzyna”, i pamiętam, co w tym filmie zrobił Dean. Może dlatego, że on zrobił jak gdyby osobny film sam w sobie, przerósł to wszystko. Pamiętam też sceny w pustym ho- telu, jego pijanego pamiętam, to wstrząsało do dziś, to wielkie, chyba dlatego, że pierwsze.

— Co nowego daje się dostrzec w kinie światowym obecnie?

— Może to śmieszne, ale w cza- sach kina moralnego niepożądano- ści człowiekiem, który bardzo chciałby robić filmy typu „Zabij mnie glino”, bardzo dążyłem do tego, żeby film nie był gazeta, że- by był filmem. W tej chwili, kie- dy mam prawie że możliwość ro- bienia filmów, a moja psychika nadal pozostaje związana z ki- nem akcji, widzę, że świat trochę jest tym zmełczony i zaczyna wrac-ać — pewnie jest to następna mo- da, jak wszystko na świecie — do kina myśli, do kina poezji, do pięknolubnego wykonania: do ki- na polskiego lat 60.

— Czy mógłby pan podać kon- kretnie przykłady?

— Trudno mi to zrobić w tej chwili, ale mówię o produkcjach, które właśnie mają miejsce. Tro- chę ostatnio jeździłem i to, co sły- szalem od znajomych, którzy ro- bią filmy, potwierdza, że akurat to jest kupowane, takie scenariusze i takie realizacje kupują i pode- mują zarówno wielkie jak i małe wytwórnie.

— W ubiegłym roku otrzymał pan na XII Festiwalu PFF głów- ną nagrodę. Wśród dziennikarzy panuje opinia, że i w tym roku zasługuje pan na podobne wyróż- nienie. Byłoby to jednak precedens...

— W tym pytaniu jest komple- męt.

— Bo istotnie miał to być kom- plement.

— Dziękuję bardzo. Ale nie przy- puszczałem, żebym otrzymał tę na- grodę.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: MACIEJ ŚWIERKOCKI

P.S. Bogusław Linda na XII Festiwalu PFF został jednak uho- norowany główną nagrodą za kre- ację w filmie A. Holland „Kobie- ta samotna”.

M. S.

Pragniemy zwrócić uwagę (także z uwagi na odbywającą się w tym rejonie Olimpiadę) na koreański film wojenny pt. „Rozkaz 027” re- żyszowany przez Chong Gi Mo. Akcja filmu rozgrywa się podczas wojny koreańskiej i obrazuje bra- wurową akcję specjalnego oddzia- łu komandosów karateków na ty- łach wojsk południowo-koreańskich i amerykańskich, dezorganizują- cich ofensywę. To jeszcze jeden film ukazujący lata wojny, ale zrealizowany w dość niekonwen- cjonalny sposób. Jego twórcy, pragnąc uatrakcyjnić już nieco wyeksploatowany temat, pomysle- li go jako film walki. Ale i prze- ciwnikom te umiejętności nie są obce, toteż „Rozkaz 027” obfituje w liczne brawurowe sekwencje, atrakcyjne dla miłośników sztuki walki.



Masz temat dla reportera?

Coś ci drażni, niepokoi,

szlag cię trafia — podnieś

sluchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

29 września — PAWEŁ TOMASZEWSKI —

godz. 10—15.

6 października — DARIUSZ DOROŻYŃSKI —

godz. 10—15.

Relacja z dyżuru przy telefonie z dnia 22 wrze- śnia 1988 roku.

Jeśli się nie mylę, to moje spo- strzeżenia z redakcyjnego dyżuru telefonicznego wskazywałyby, że oprócz osobliwych dolegliwości, skłaniających do korzystania z tej naszej usługi, coraz częściej wy- trącają ludzi z równowagi mied- mogana życia publicznego, spo- łecznego. Jest w tym chyba pewien sympom pocieszający, że miano- wicie społeczeństwo broni się przed zobojętnieniem i nie rezy- gnuje z usiłowania naprawy re- czywistości. Zresztą na ostatnim dyżurze jedno sprawy przepłata- ły się nieustannie z drugimi.

Pan GRZEGORZ RUMOWICZ z ul. 3 Maja prosił, aby nam się na ZEM Górna, że w ostatnim cza- sie pogarsza się znów termino- wość oczyszczania ścieków. Nie wy- starcza umówić się na określony dzień, trzeba nieraz wycekiwać przez szereg dni kosztów innych zajęć i obowiązków.

PAN J.M. z Radomska zatelefo- nował do nas ponownie, ponieważ nie zauważył żadnych oznak za- interesowania ze strony wojewód- zkiego zarządu spółdzielni produk- cyjnych sytuacja w spółdzielni w Jędrzejnie, gm. Ładzice — w woj. piotrkowskim, mimo iż sygnalizow-aliśmy w tej rubryce, że źle się tam dzieje. Na polach stoi nie sprzątnięty bobik, już 5 lat bu- duje się dom mieszkalny dla kil- konastu rodzin, a obok niszczącej dziesiątki tysięcy sztuk cegieł. Po- dobno jak twierdzi nasz rozmów- ca, spółdzielnia bardziej opłaca się świadczyć usługi okolicznym ro- łnikom posiadającym maszynami niż uprawiać rośliny i hodować in- wentarz. Czyżby rachunek ekono- miczny, którym kieruje się spół- dzielnia był sprężyną do rozwi- nięcia rolnictwa i hodowli, na któ- rych tak nam przecież zależy?

Pana RUTKOWSKIEGO, zamiesz- kałego na Dąbrowie oburza to, że na minikarowisku przy zbiegu ul. Złotej i Rydzkiej, które, jak informuje tablica, służyć ma wy- ładnie sprzedaży swoich produk- tów przez działkowców i produ- centów, zapowalili niepodzielnie przegonić „handlowców”. Okupują oni przez cały dzień targowisko blokując swoimi samochodami do- stęp działkowcom, którzy zmno- żeni są sprzedawcą swoje pro- dukty poza wyznaczonym tere- nem, za co obficie wlepiają im mandaty milicjanci z pobliskiego komisariatu (urzędu spraw wew- nętrznych). A gdzie jest władza, która potrafiłaby usunąć a przy- najmniej wyegzemitować cię- żkich się bezkarnością „dzikich” handlarzy? — zapytuje p. R., na co nie potrafił mu odpowiedzieć...

Z panem ANONIMEM, który na- urażył mi za to, że w Polsce jest jak jest, że panuje ogólny bala- gan i nie zanosi się, żeby było lepiej, nie widziałem dłuższych roz- mów z braku konkretnych pro- blemów. Ale obiecał Pan skon- kretyzować swoje pretensje na piśmie. Trzymam za słowo!

Pani BOŻENA WALCZAK z pl. Wolności 10 skarży się, iż z po- wodu usytuowania przystanku au- tobusowego przed tym domem kłaska schodowa zamienia się w publiczny pisuar, palarnię i co- ko chce. Czy nie można by — pyta nasza rozmówczyni — prze- nieść przystanek dla wsiadających do autobusów 78, 79 i 73 bliżej na dru- gą stronę placu, gdzie jest przy- stanek dla wysiadających z tych- że linii?

Albo inny nasz rozmówca — pan BIAŁKOWSKI, też zamieszkały w tym rejonie, uważa, że przystanek ten powinien pozostać na obec- nym miejscu, konieczne jest jed- nak udrożnienie studzienek ulicz- nych, żeby w czasie deszczu moż- na było w ogóle wejść do auto- busu. Pan B. apeluje ponadto do MPK o zabranie niepotrzebnego już znaku drogowego na ul. Ob- rońców Stalingradu, zabraniają- cego wjazdu na plac Wolności, aby zaoszczędzić kierowcom niepotrzeb- nych już obłądów.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

tów przez działkowców i produ- centów, zapowalili niepodzielnie przegonić „handlowców”. Okupują oni przez cały dzień targowisko blokując swoimi samochodami do- stęp działkowcom, którzy zmno- żeni są sprzedawcą swoje pro- dukty poza wyznaczonym tere- nem, za co obficie wlepiają im mandaty milicjanci z pobliskiego komisariatu (urzędu spraw wew- nętrznych). A gdzie jest władza, która potrafiłaby usunąć a przy- najmniej wyegzemitować cię- żkich się bezkarnością „dzikich” handlarzy? — zapytuje p. R., na co nie potrafił mu odpowiedzieć...

Z panem ANONIMEM, który na- urażył mi za to, że w Polsce jest jak jest, że panuje ogólny bala- gan i nie zanosi się, żeby było lepiej, nie widziałem dłuższych roz- mów z braku konkretnych pro- blemów. Ale obiecał Pan skon- kretyzować swoje pretensje na piśmie. Trzymam za słowo!

Pani BOŻENA WALCZAK z pl. Wolności 10 skarży się, iż z po- wodu usytuowania przystanku au- tobusowego przed tym domem kłaska schodowa zamienia się w publiczny pisuar, palarnię i co- ko chce. Czy nie można by — pyta nasza rozmówczyni — prze- nieść przystanek dla wsiadających do autobusów 78, 79 i 73 bliżej na dru- gą stronę placu, gdzie jest przy- stanek dla wysiadających z tych- że linii?

Albo inny nasz rozmówca — pan BIAŁKOWSKI, też zamieszkały w tym rejonie, uważa, że przystanek ten powinien pozostać na obec- nym miejscu, konieczne jest jed- nak udrożnienie studzienek ulicz- nych, żeby w czasie deszczu moż- na było w ogóle wejść do auto- busu. Pan B. apeluje ponadto do MPK o zabranie niepotrzebnego już znaku drogowego na ul. Ob- rońców Stalingradu, zabraniają- cego wjazdu na plac Wolności, aby zaoszczędzić kierowcom niepotrzeb- nych już obłądów.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

Nasz „stały klient” p. DRZA- Z.

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

KTO BYŁ CZYM WROGIEM

W czerwcowych numerze „Konfrontacji” pocztowano nas rewelacją historyczną. Jan Engelgard napisał miłanowicie o przyczynach internowania i śmierci gen. Rozwadowskiego.

Też autor może streścić następująco: Otóż Pilsudski „panicznie” bojąc się, aby nie wyszedł na jaw fakt, iż przed bitwą warszawską załamał się i przestał dowodzić — po dojściu do władzy wskutek zamachu majowego w 1926 r. internuje gen. Rozwadowskiego i najprawdopodobniej każe go otruć. Rzekomo bowiem, jedynie Rozwadowski znał „całą prawdę” o bitwie warszawskiej.

Oświadczam, że jestem w stanie, stosując podobną metodę — tj. przemilczając i przekraczając pewne fakty, a uwypuklając inne — napisać ładnie udokumentowaną i podbudowaną psychologicznie powieść historyczną o ambitnym szefie sztabu, który marzył o tym, aby zostać naczelnym wodzem i wreszcie zawiązać sobie wyniki pracy wojennej zleniwionego zwierzchnika.

Takiej książki nie napiszę, bowiem zbyt szanuję historię Polski. Tekst Engelgarda uważam za nową sensacyjno-kryminalną, a nie za tekst historyczny. Oto przytoczę:

J.E. pisze o zakończeniu zamachu majowego: „Legalny rząd Rzeczypospolitej z Wincentym Witosem na czele, prezydent Stanisław Wojciechowski oraz grupa wojskowych podjęła 14 maja decyzję o zaprzestaniu walki”.

Nieprawda jest, że „grupa wojskowych podjęła”. Rząd i prezydent rzeczywiście postanowili doprowadzić do przerwania walki, podczas gdy „grupa wojskowych” chce kontynuować działania zbrojne przeciwko Pilsudskiemu. Rzecznikami tej koncepcji są w pierwszym rzędzie gen. Rozwadowski i gen. St. Haller, przy czym Rozwadowski chce jeszcze walczyć już po rezygnacji rządu i przekazaniu władzy w ręce marszałka Sejmu Rataja.

J.E. pisze dalej: „Pilsudzcy internowali trzech generałów walczących po stronie rządu. Byli to: Bolesław Jędrzejowski, Tadeusz Rozwadowski i Włodzimierz Zagórski”.

Otóż nie trzech tylko czterech. Engelgard zapomina o gen. Juliuszu Malczewskim. I tak w osobach generałów Rozwadowskiego, Malczewskiego i Zagórskiego internowano: dowódcę wojsk rządowych, ministra spraw wojskowych i dowódcę lotnictwa walczącego po stronie rządu. Co do gen. Jędrzejowskiego, nie potrafię podać bezpośrednich przyczyn internowania.

W krótkim zyciorysie gen. Rozwadowskiego, który Engelgard serwuje jest kilka znaczących pominięć i przeinaczeń. General Rozwadowski służył czynną w wojsku austriackim kończy nie w 1918 r. tylko w 1916 r. i w wieku 50 lat zostaje przeniesiony w stan spoczynku. Ilustracja poglądów generała z tego okresu jest zapis w Dzienniku Jana Dąbrowskiego członka NKN i przyjaciela Sikorskiego, który pod datą 20 sierpnia 1918 r. notuje: „Był u nas gen. Rozwadowski, kontent, bo dostał Marię Teresę i liczy, że Karol Stefan przyjdzie w Polsce do kierownictwa. Nie cierpi Austriaków, bo go wygryzł i stał się germanofilem... Karola Stefana uważa za pewnego... Karol Stefan zaś potrafi wszystko. Usunie okupantów, uzyska kresy i wymusi Galicję. Co do tej powtarzanej Rozwadowskim frazy, że spądnie jako dojrzały owoc. Nie mogę zrozumieć jak w głowie dobrego pomyślnie mogą się takie romanse polityczne pomieścić”.

Dalsza część zyciorysu uźródla na podstawie książki — „Generałowie Polski Niepodległej” (T. Kryski-Karski, S. Żurkowski): „23.10—15.11. 1918 Sześć Sztabu Generalnego z ramienia Rady Regencyjnej. Do marca 1919 dowódca Armii Wschód, następnie szef misji wojskowej na konferencję pokojową w Paryżu, Zweryfikowany w dn. 1.8.1919 r. jako generał dywizji (była to jedyna weryfikacja stopni generalskich. Zweryfikowano wówczas wg. moich obliczeń 6 generałów broni, 49 generałów dywizji i 177 generałów brgady). Od 22 lipca 1920 r. — 2 kwietnia 1921 Sześć SG i członek Rady Obrony Państwa. 1921—22 Inspektor Armii i członek Sejmiku Rady Wojennej. Użytkuje stopień generała broni w dn. 1.4.1921 r. jako jedyny generał dywizji awansowany do tego stopnia za rządów Pilsudskiego w wojsku (nie doczekali się awansów z rąk Marszałka ani Rydz-Śmigły ani Sosnkowski). Odmówiony VM II kl. w pierwszej grupie odznaczonych, wcześniej niż tacy generałowie jak Żeligowski, Sosnkowski, Sikorski i Skierski. Od roku 1922 do 1926 Generalny Inspektor Kawalerii, a podczas zamachu majowego — cytuje za Kryski-Karskim — „dowódca wojsk rządowych i wojskowy gubernator Warszawy”.

Tworząc lukę w zyciorysie generała od roku 1920 do 1926, pomijając odznaczenia, awanse i funkcje jakie pełnił w WP i w końcu „zapominając” o roli jaką odgrywał w zamachu majowym, Engelgard wysuwa tezę o wyjątkowości i nienawiści Pilsudskiego do Rozwadowskiego. W świetle przytoczonych faktów teza ta staje się trudna do utrzymania.

J.E. pisze o książce Pilsudskiego — „Rok 1920”: „pod adresem wybitnych generałów takich jak Rozwadowski, Haller, Latink, Sikorski — wysunął szereg nieuzasadnionych zarzutów dezawuuje całkowicie ich udział w wojnie. Byli Naczelnym Wodzem odkrył więc swoje karty, ale zaczął się panicznie bać, że teraz przypadek do muru generałów odkryją swoje”.

Pilsudski nie miał się czego bać. Karty generałów zostały już dawno odkryte. Oto w książce Edwarda Ligockiego wydanej w 1921 roku pod tytułem — „1920 Nowa Legenda” — znajdujemy taki akapit: „Kto obronął Warszawę? — Jen Józef Haller, mówił Jen. Sikorski. Kto obronął Warszawę? — Jen. Władysław Sikorski, mówił Jen. Haller. Kto trzymał nieci w garści i kierował ofensywą? — Sześć sztabu”. W całej książce nie pada ani razu nazwisko Pilsudskiego. Takich i tym podobnych publikacji dezawuuujących całkowicie wszelkie zasługi marszałka wyszło przed ukazaniem się książki Pilsudskiego sporo. Warto się z nimi zapoznać.

Co się dotyczy zarzutów pod adresem generałów to z polskich dowodów personalnie i to ostro atakuje Pilsudski właściwie tylko gen. Szeptycki — ale akurat o nim Engelgard zapominał. Owszem w „Roku 1920” są krytykowane ruchy — głównie i armii gen. Latinka wchodzącej w skład frontu gen. Hallera, ale z pewnością nie „bezpodstawnie”. Zasadność zarzutów wynika chociażby z rozkazu operacyjnego Dow. Półn. Fr. 3939/III podpisanego przez gen. Józefa Hallera. Z rozkazu tego jasno wynika, że Latink nie był „wybitnym generałem” jak go przedstawia Engelgard.

Zaiste, czytając tekst zamieszczony w „Konfrontacji” człowiek zastanawia się gdzie u autora podziła się elementarna odpowiedzialność za słowo.

Co do Rozwadowskiego Pilsudski w swej książce ogranicza się do dwóch stwierdzeń. Z jednej strony bardzo wysoko ocenia jego hart ducha i niezłomną wolę zwycięstwa, z drugiej krytycznie wyraża się o zmienności koncepcji pisząc: „nie wiem czy istniała w ogóle jakaś konkretna sprawa, której potrafiłby się trzymać w ciągu jednej czy dwóch godzin”. Zrozumiałe, że taka opinia nie mogła się Rozwadowskiemu podobać, ale czy była ona „nieuzasadniona” — nie wiem. Trzeba by było poszukać opinii innych ludzi o generale. Jedną taką znalazłem i przytoczyłem. Nie jest to opinia pilsudczyka.

J. Engelgard pisze również w trzech wierszach o problemie rozkazu, wg. którego potoczyła się bitwa warszawska.

Oczywiście, że autorem tekstu jest gen Rozwadowski. Po to bowiem są sztaby, aby dopracowywać w szczegółach koncepcje naczelnego wodza i ubierać je w formę rozkazów. A więc pisać rozkaz operacyjny Rozwadowski wypełniał swoje zadanie jako szefa sztabu. Można się kłócić jedynie o autorstwo podstawowej koncepcji. Tu jednak jesteśmy bezradni. Nie można wykluczyć, ba, jest wysoka prawdopodobnie, że zarys planu bitwy omawiał Pilsudski z Rozwadowskim w cztery oczy i jest tylko kwestia wiary komu przypisać koncepcję. Ja osobście wierzę, że jest to koncepcja Pilsudskiego, bowiem ze wszystkich posunięć na frontach, zanim jeszcze Rozwadowski został szefem sztabu wynika, że Naczelnym Wodzem nosił się z zamiarem kontrataku przeciwko armiom Tuchaczewskiego idącym na Warszawę — flankowo od południa.

J.E. pisze dalej, że Pilsudski obawiał się ujawnienia faktu jego kompletnego załamania psychicznego w krytycznym momencie wojny. Znowu Marszałek nie miał się czego obawiać. Plotki o tym, że się załamał albo że jest bolszewickim szpiegiem były rozpowszechniane już podczas marszu Tuchaczewskiego na Warszawę. Mamy na szczególne dokument, którego nie nie zastąpi. List Pilsudskiego do Witosa z dn. 12 sierpnia 1920. Czytamy w nim: „Byłem i jestem stroniakiem wojny z bolszewikami a outrancie (do ostatka p.m.) dlatego, że nie widzę najzupełniej żadnej gwarancji, aby te czy inne umowy czy traktaty były przez nich dotrzymywane”.

To nie brzmi jakoś źle. Tak nie pisze człowiek „kompletnie załamany psychicznie”. Warto ten list przedstawić cały.

W końcu J.E. pisze: „kontruderzenie przeprowadzone przez Pilsudskiego znowu Wierprza nie miało dla przebiegu bitwy większego znaczenia, a decydującą zasługę należy przypisać 5 armii gen. Sikorskiego”.

Taką wykładnię zdarzeń można znaleźć jedynie w tekstach najzaciętszych wrogów Marszałka spod znaku endecji. Nie znajdzie jej czytelnik na kartkach książki Sikorskiego — „Nad Wisłą i Wkrą” ani w innych poważnych opracowaniach historycznych. Spróbujmy inaczej.

Kiedy sąd chce dociec — kto poblił — zwraca się na ogół do pobitego. Przeprowadzić się konfrontację i poblił — jeśli potrafi — wskazuje palcem na sprawcę. Aż dziw bierze, że w sporach o autorstwo polskiego sukcesu nie powołuje się na świadka Tuchaczewskiego.

Aby zrozumieć opis Tuchaczewskiego należy zorientować się w jakich pasach nacierały wielkie jednostki sowieckie. Na południu nacierając się lewym skrzydłem o Wierprza szła Grupa Mozyrska, następnie XVI armia wprost na Warszawę, dalej na północ III armia na Modlin, potem XV na Nowe Miasto — Płońsk. Wreszcie na samej północy armia IV. Ta miała największe sukcesy terytorialne — dotarła do Płocka i Włocławka.

Nazwa 5 armia gen. Sikorskiego działała na północ od Modlina. Tuchaczewski pisze o niej, że „Polskom nie tylko (udało się) zatrzymać ofensywę armii III i XV, ale jeszcze krok za ciochem wspierać ich oddziały w kierunku wschodnim”. Gorzej ocenia sytuację gen. Sikorski. Pisze on pod datą 16 sierpnia, czytając w aniu, w którym wyszła ofensywa znowu Wierprza — „5 armii pozbawionej po wyczerpaniu wszystkich dowodów świeżych sił, nie ugrupowanej w tym momencie z konieczności w głąb, zabrakło tchu. Dowódca frontu nie mógł również oprzeć swych trafnych dyktów żadnym argumentem siły”.

O uderzeniu znowu Wierprza prowadzonym osobliwie przez Marszałka Pilsudskiego Tuchaczewski pisze: „Oddziały Grupy Mozyrskiej zostały łatwo rozbite, rozproszone i rozpoczęły bezładny odwrot. Armia XVI zaczęła odczuwać uderzenia flankowe. Przeciwnik, który się od nas nauczył śmiałości nacierał tu ze wsieklą szybkością. (która) z góry skazywała IV armię prawie na pewną zgnę (IV armia to ta pod Włocławkiem p.m.). Jedyną nadzieją mogła być jeszcze w tym, że przeciwnik dla organizacji tyłów zatrzymał się choć na czas jakiś lub zwolnił tempo swojej ofensywy. Ale tego przeciwnik nie zrobił... odrzucając oddziały armii XVI w nieładzie i bijąc po kolei we flankę oddziałów armii III i XV... 22 sierpnia przeciwnik wychodzi na linie Ostrołęka, Łomża, Białystok... Oddziały armii XV i III wybijają wszystkie siły aby zatrzymać nacieranie przeciwnika i pozwolił armii IV przejść wąskim korytarzem między Narwią a granicą wschodnio-pruską, ale to zadanie okazuje się być niewykonalnym”.

Warto dziś podkreślić, że zakończone sukcesem kontrataki wojsk zgromadzonych na przedmościu warszawskim czy działania 5 armii zatrzymały wprawdzie napór przeciwnika na Warszawę, ale nie były w stanie go rozbić. Mogły jedynie opóźnić decydujący atak na stolicę. Jeżeli wierzyć Tuchaczewskiemu nie dokonała tego również ofensywa znowu Wierprza. Wyeliminowała ona wprawdzie znaczną część sił sowieckich z walki, doprowadziła do szybkiego, a może nawet niezwykle szybkiego odwrotu dywizji bolszewickich na linie Grodno — Włocławsk ale dalej...

Tuchaczewski pisze: „praca zawrzała na nowo. Uzupełnienia zostały wlane do istniejących nadal kadr i po mniej więcej 2-3 tygodniach siły frontu były przywrócone... Nastroj w wojsku był dobry. Przegrana operacja wywoływała w nim pragnienie nowej ofensywy. Mieliśmy wszystkie warunki, żeby znowu zwrócić zwycięstwo na naszą stronę... Polacy przeszli pierwsi do ofensywy i odwrot nasz stał się nieunikniony”.

Zanim jednak nastąpił ten nieunikniony odwrot została stoczona w dniach od 20 do 28 września tzw. bitwa mienna, która dopiero odebrała przeciwnikowi ochotę do nowego uderzenia na Warszawę i doprowadziła do rezygnacji z dalszych działań zbrojnych. Zastanawiające, że ani w przypadku operacji niemieckiej, ani wczesniejszej wileńskiej z 1919 r. ani kijowskiej 1920 r. nie kwestionuje autorstwa planów operacyjnych Naczelnego Wodza. Tylko na tej jednej bitwie warszawskiej był za głupi, był samoukiem, rady sobie nie dawał i musiał to za niego zrobić gen. Rozwadowski.

Z pozostałymi enuncjacjami J. Engelgarda nie będę dyskutował, są to bowiem potrawa, pomówienia albo plotki. Mam prawo tak to nazwać bowiem — na przykład — nie znam odpowiedniego aparatu naukowego, którym można by zbadać takie informacje jak ta, że internowanie spośród wszystkich generałów najgorzej znośił Rozwadowski czy ta — że Pilsudski bał się pamiątki. To są takie właśnie ploteczki i cioci na imieninach.

Jak polemizować z pomurym pomówieniem o zabójstwo, kiedy autor powołując się na anonimowego „znanego łwowskiego chirurga” jako „poważnie działającego trutnicę” wymienia „podany w potrawie drobno pokrojony włościon lub drobno rozkruszone szkło”. Znamy łódzkiego chirurga i dwoje znanych łódzkich internistów nie podtrzymują wręcz wymienionej diagnozy, jednocześnie zwracając uwagę, że siekanie trychiny (włosien) nie ma najmniejszego sensu.

Wreszcie aby udowodnić, że to Pilsudski chciał zabić Rozwadowskiego, a nie odwrotnie pan Engelgard powinien by podważyć prawdziwość rozkazu wydanego w czasie przewrotu majowego przez gen. Rozwadowskiego p.k. Modelskiego w dn. 13 maja 1926 r. aby schwytać przywódców ruchu nie oszczędzając im życia”.

Trudno sobie wyobrazić co by się działo w Polsce, gdyby Modelskiemu udało się ten rozkaz wypełnić, tak samo jak trudno sobie wyobrazić jak przywoły historyk mógł go pominąć w swoich dywagacjach.

Dziw bierze, że jeszcze dziś, więcej niż pół wieku od śmierci Marszałka Pilsudskiego, znajdują się ludzie gotowi poświęcić swoje dobre imię na jego tylko „dokończenie”.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

WIEMY JUŻ, O KTÓRĄ SZKOŁĘ CHODZI

Szanowna Redakcjo!

Jesteśmy zbulwersowani artykułem p. redaktor Zofii Kędziory pt. „Korekty nie są zabronione” (nr 27 z dn. 2 lipca br.).

Autorka rozpoczyna swoją opowieść od słów: „W artykule tym nie ma nazwisk, nazwy szkoły, adresów, nazwiska Agnieszki. Wszystko jednak jest prawdziwe”. Stanowcze nie zgadzamy się z takim stwierdzeniem, wręcz przeciwnie, uważamy je za kłamliwy wybieg. Rzeczywiście autorka nie podała numeru liceum ani nazwisk, ale przedstawione przez nią szczegóły tak precyzyjnie identyfikują naszą szkołę, że nikt z nas ani naszych znajomych nie ma wątpliwości, o jaką szkołę chodzi. Dla uzasadnienia naszego stanowiska podajemy te szczegóły:

— młody dyrektor, geograf, uczący również PNOŚ (każdy dyrektor z racji zajmowanego stanowiska ma prawo użyć tego przedmiotu), znający dobrze język rosyjski,

— nasze liceum to jedno z nielicznych w Łodzi, a jedynie w Śródmieściu, w którym jest klasa o profilu humanistycznym i której uczniowie zdają pisemną maturę z historii,

— historyk z 30-letnim stażem, „lubiący zawód i młodzież”.

A zatem dla bardzo wielu osób było oczywiste, że artykuł dotyczy XXIX LO im. 19 stycznia w Łodzi przy ul. Żelazowej 38. Nadto przypominamy uprzejmie, że swego czasu prasa łódzka podawała fakt, iż dyrektorem naszego liceum został mianowany nauczyciel geografii prof. Krzysztof Jakubiec. Informacje te pełne były słów uznania dla pedagoga, który został wówczas najmłodszym dyrektorem łódzkich szkół średnich. Wszystko to zatem uczyniło rozpoznanie naszego liceum sprawą tak prostą, że nawet na etapie wstępnym, podczas rozmowy kwalifikacyjnej (UE, Ekonomia), koleżanka nasza była pytana, co sądzi na temat tej afery w swojej byłej szkole.

Uważamy, że artykuł przedstawia nasze liceum i jego nauczycieli w świetle kłamliwym, wręcz oszczerzym i tylko dobrej woli Grona Pedagogicznego należy zawdzięczać fakt, że nie złożono dotychczas oskarżenia o znieważenie! Przypuszczamy, że Redakcja „Ogłoszeń” nauczona smutnym doświadczeniem związanym z artykułem o XXX LO pominie w tym przypadku odpowiednie dane.

Oburzeni jesteśmy, że autorka artykułu pozwoliła sobie tak bezpardonowo znieważać dobre imię szkoły, wyłącznie na podstawie wypowiedzi jednej strony. Wystarczyło sprawdzić w dziennikach i kartach ocen stopnie uzyskiwane przez Agnieszkę w ciągu kilku lat nauki, a już nie pojawiłaby się informacja „przez trzy lata

nauki nigdy nie miała oceny niedostatecznej ani kłopotów z jakimiś przedmiotami”.

Rozumiemy, że każdy człowiek może mieć swoich wrogów i przyjaciół, a więc i w stosunku do naszego Grona Pedagogicznego można by zapewne znaleźć jakieś drobne zastrzeżenia. Jednakże nasz dyrektor prof. Krzysztof Jakubiec jest „człowiekiem”, a nie „tylko człowiekiem”. Podobnie pani prof. Elżbieta Najdzianowicz-Frydrych. Pan dyrektor wielokrotnie (zawsze bezinteresownie) poświęcał nam wiele godzin na pomoc w opanowaniu materiału, nie tylko z geografii, a również z fizyki, matematyki i jęz. rosyjskiego. Fakt jest, że nasz dyrektor posiada rozległą wiedzę w kilku, a nie jednej, dziedzinach. Posiada zresztą ukończone studia poddyplomowe oraz egzamin państwowy z jęz. rosyjskiego, a jeżeli tak różnorodną wiedzę wydaje się pani redaktor nieprawdopodobna, to trudno. Staraj się również uprzyjemnić nam pobyt w szkole organizując wycieczki, tworząc 41 Łódzkiej Drużyny Harcerskiej „Olszany”. Swoją postawą uczył nas szacunku do pracy i miłości do Ojczyzny. To on podsunął nam pomysł organizowania Wigilli dla ludzi samotnych, opuszczonych przez najbliższych — w Domu Opieki Społecznej w Łodzi przy ul. Narutowicza. Potwierdzeniem naszych słów są artykuły Danuty Zdanowicz, które ukazały się w ostatnich miesiącach o jego działalności pedagogicznej, społecznej i harcerskiej właśnie w XXIX LO. Pani prof. Frydrych jest zwolenniczką nieco innych metod wychowania. Często surowa, wymagająca jako nauczyciel, nauczyła nas jednak samodzielności, sprawiedliwości i zaradności życiowej. Choć przed lekcją czasami uginały nam się nogi, to jednak zawsze mogliśmy liczyć na jej pomoc, nawet w rozwiązywaniu najtrudniejszych osobistych problemów. Darzyliśmy ją zawsze głębokim szacunkiem.

W takiej sytuacji uważamy za właściwe z naszej strony domaganie się wydrukowania na łamach Waszego pisma naszego listu (w całości). Mamy nadzieję, że zasada audiatur et altera pars (wysłuchajcie i drugiej strony) dotyczy nie tylko procesu sądowego, ale i naszej sprawy. Może Redakcja „Ogłoszeń” doprowadzi do konfrontacji i ujawnienia prawdy. Lecz gdy już sprawiedliwość stanie się zadaniem i zniesławione osoby zostaną publicznie przeproszone, czy będzie to w stanie przywrócić naszej szkole jej dobre imię, a naszym profesorom „wiarę w takie wartości, jak sprawiedliwość, uczciwość i zwykła ludzka życzliwość”?

ABSOLWENCI I UCZNIOWIE XXIX LO
(PODPISY NA ODWROCE)

Od redakcji: List podpisał 30 uczniów i absolwentów XXIX Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi. Artykuł Zofii Kędziory uznano za kłamliwy i oszczerzy. Wobec tego niebawem wrócimy do sprawy.

DLACZEGO KONCERTY BEZ BRAW

Udzielenie schronienia pozbawionemu dachu nad głową należy do cnót ogólnoludzkich, a nie tylko chrześcijańskich. Kiedy Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina znalazła się bez własnej sali koncertowej w następstwie popadnięcia w ruinę jej siedziby, parafia ewangelicko-augsburska św. Mateusza poczuła sobie za zaszczyt i obowiązek służyć jej swoim kościołem, aby tam nadal mogły odbywać się koncerty symfoniczne.

Niżej podpisany, jako członek komisji finansowej rady parafialnej jest zorientowany, że opłaty wnoszone przez Filharmonię za udostępnienie kościoła nie stanowią znaczącej pozycji w budżecie tej niewielkiej nadwyżką pokrywają rosnące koszty oświetlenia i ogrzewania oraz inne wydatki. Najważniejsze jest to, że mimo poniekąd surowych zwyczajów w tradycji Kościoła ewangelickiego, wyrażających się skromnym wystrojem wnętrza i brakiem widowiskowych obrzędów, można było oddać przysługę społeczeństwu łódzkiemu w postaci z taką tradycją jak najbardziej związanej, to znaczy przez umożliwienie słuchania muzyki poważnej. Ta chęć wywodzi się z bardzo dawnej, bo bez mała 500 lat liczącej inicjatywy i z zamiłowań samego Reformatora Marcina Lutra, który wysoko cenił obecność muzyki w Kościele ewangelickim, sam komponował pieśni i muzykę kościelną. Wielu znanych kompozytorów, z wielkim Janem Sebastianem Bachem na czele, poszło jego śladem.

Jedyną prośbą rady parafialnej, skierowaną do publiczności, było to, aby uszanować powagę świątyni, w której na ołtarzu stoi krucyfiks, a w jego tle znajduje się postać Chrystusa modlącego się w ogrodzie Getsemane przed pojmaniem i ukrzyżowaniem.

W wielu znanych mi kościołach, gdzie odbywają się koncerty, na przykład: w katolickiej katedrze w Kamieniu Pomorskim, w Łęzajsku, w Oliwie, w ewangelickim kościele w Giżycku i Wągu w Bierutowie, publiczność proszona jest o zaniechanie oklaskiwania wykonawców. Te same prośby, a nie żadne wyraża także rada parafialna kościoła św. Mateusza w Łodzi.

Stało się to niestety pretekstem do zamieszczenia w numerze 139 z 15 czerwca 1988 r. „Głosu Robotniczego” paszkwilu autorstwa pani Anny Łykowskiej — Mironowicz pt. „Koncert bez braw”. Nawet jeśli „Głos Robotniczy” jest propagatorem tezy Fryderyka Engelsa, że nie Bóg stworzył człowieka, ale człowiek stworzył Boga, to gdzie jest w takim razie w tym dzienniku prawdziwe miejsce dla równoległej propagowanej tolerancji i pluralizmu? Bez znaczenia jest tutaj, że na placu św. Piotra w Watykanie tłum zgromadzony przed Bazyliką oklaskuje papieża Jana Pawła II. W czasie audycji w auli Pawła VI rozlegały się nie tylko oklaski, ale i gwizdy jako forma aplauzu. Ale ani jedno, ani drugie miejsce nie jest w kościele, gdzie znajduje się ołtarz.

Niestety Redakcja „Głosu Robotniczego” nie po raz pierwszy wystąpiła z nieuzasadnionym zarzutem. Rok temu, dla „uczczenia” rocznicy napadów hitlerowskich, pomówiła wielce zasłużonego dla polskiego Kościoła ewangelickiego w Łodzi, a w 1939 r. od kilku lat już niejącego księdza Ludwika Angersteina, że umożliwił instalację radiostacji szpiegowskiej w kościele św. Jana.

Sądze, że jeśli filharmonicy łódzcy bardzo odczuwają brak oklasków w toku koncertów w kościele św. Mateusza, to jedna rozmowa ich przedstawiciela na najbliższym posiedzeniu rady parafialnej mogła przyczynić się do wycofania prośby o zaniechanie braw. Taka forma bardziej odpowiadałaby obyczajom przyjętym w sprawach kultury niż pisanie paszkwili przez gazetowego recenzenta. Mimo to rada parafialna nadal zaprasza Filharmonię do odbywania koncertów i nie ponawia prośby o to, co może zrażać wykonawców.

Z poważaniem
TADEUSZ ORDYŃSKI

OD REDAKCJI: Nie wydaje się nam, aby recenzja Anny Łykowskiej-Mironowicz była paszkwilem. Autorka przedstawia jedynie swój punkt widzenia. Sądymy, że warto byłoby się jednak zastanowić jeszcze raz nad zasadnością zajętego w sprawie braw stanowiska.

WYJAŚNIENIE

W poprzednim numerze „Ogłoszeń” ukazał się na kolumnie „Listy — Polemiki — Opinie” list bez podpisu. List dotyczył artykułu Zenona J. Michalskiego „Nie było innego rozwiązania”. Autorem tego listu jest p. Marian Nowak. Autora i Czytelników przepraszamy.

**SPÓŁDZIELNIA RZEMIEŚNICZA
„WYTWÓRCZOŚĆ RÓŻNA”**
w Łodzi, ul. Jaracza 3, tel. 32-27-39

♦ **ŚWIADCZY USŁUGI** ♦

w zakresie:

- instalacji oraz konserwacji domofonów, interwexów,
- urządzeń sygnalizacji włamania
- naprawy wózków akumulacyjnych
- naprawy, renowacji i napełniania gaśnie
- zabezpieczenie p. pożarowe
- organizacji przedsiębiorstw w aspekcie upowszczniania mikrokomputerów z doborem sprzętu i opracowaniem
- usługi poligraficzne
- wykonywanie etykiet samoprzylepnych
- wykonywanie opakowań z tektury i papieru
- introligatorstwo
- renowacji maneklinów
- metalizacji elementów
- regeneracji odpadów tworzyw sztucznych
- wykonywanie elementów i opakowań z tworzyw sztucznych
- drukowanie na tkaninach i folii
- konfekcjonowanie środków chemicznych
- mycie i sprzątanie wnętrz
- karczowanie drzew, krzewów
- odmiadżanie drzew, krzewów i żywopłotów
- renowacji stawów, basenów, koryt rzek, potoków i kanałów
- wykonywanie ogrodzeń (z siatki, elementów)
- odsnieżanie ulic i placów
- budowy i naprawy chodników i jezdni
- roboty ziemne zmechanizowane sprzętem ciężkim
- inne prace związane z małą architekturą

Z A P R A S Z A M Y

do naszego stoiska na

TARGACH „KOOPERACJA” W POZNANIU

w dniach 7—21 PAŹDZIERNIKA 1988 R.

Gwarantujemy szybkie, terminowe i dokładne wykonanie usług.



AUTOCAD



**AUTORYZOWANE CENTRUM SZKOLENIOWE
PROFESJONALNE STANOWISKA ROBOCZE
CAD/CAM**

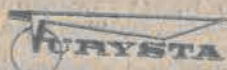
komputery, monitory graficzne,
plotery, digitizery, skanery oraz
OPROGRAMOWANIE W JĘZYKU POLSKIM
Autoryzacja renomowanych firm
europejskich i amerykańskich

aplikom

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-HANDLOWE
ZASTOSOWANIE INFORMATYKI „APLIKOM” Sp. z o.o.
91-738 Łódź, ul. Limanowskiego 129
Tel.: 34-39-32

2691/K

SPÓŁDZIELCZE BIURO TURYSTYCZNE



„TURYSTA”
Oddział w Łodzi, ul. Piotrkowska 5,
tel. 36-08-20 lub 33-58-32

OFERUJE SVOJE USŁUGI

w zakresie:

- Organizacji wycieczek krajowych dla szkół i zakładów pracy autokarami „Turysta”
- Wynajmu autokarów na przewozy krajowe i zagraniczne dla zakładów pracy, organizacji i osób prywatnych

OFERUJE TAKŻE:

- Wczasy krajowe i obozy młodzieżowe,
- Wycieczki zagraniczne.

Uwaga:

W miesiącach od listopada do kwietnia znaczna obniżka cen i marż na wszystkie usługi.

Już obecnie przyjmujemy zgłoszenia na organizację:

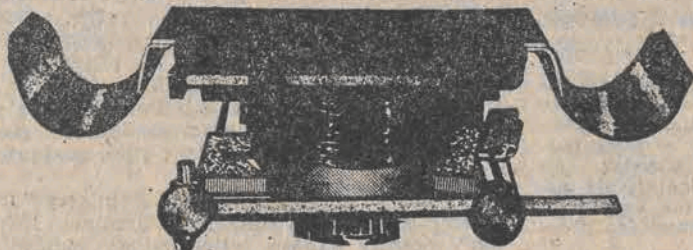
- obozów dla młodzieży w okresie ferii zimowych,
- wczasów świąteczno-sylwestrowych.

Z A P R A S Z A M Y!

w godz. 10—16

2699/K

**UWAGA
FOTOAMATORZY!**



OTRZYMAJ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY,

jeżeli

z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!

- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych,
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych,
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

**STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
Z A P R A S Z A !**

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.

POLISA
ubezpieczeniowa to także towar
w „WĘSCIE”
zawsze zyskasz i zaoszczędzisz

PRZEDSTAWICIELSTWO SPÓŁDZIELCZEGO ZAKŁADU
UBEZPIECZEŃ „WESTA”
w Łodzi

UPRZEJMIIE INFORMUJE,

ze jego pośrednicy są upoważnieni do zawierania umów ubezpieczeń także na warunkach odpowiedzialności identycznej jak ogłoszone Dzienniku Urzędowym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej „Monitor Polski” przez Prezesa Państwowego Zakładu Ubezpieczeń, ale według innych znacznie niższych składek.

♦ **„WESTA” PROPONUJE** ♦

poza tym inne rodzaje ubezpieczeń majątkowych i osobowych np.

- ubezpieczenie kredytów,
- ubezpieczenia kosztów leczenia i renty,
- ubezpieczenie następstw błędów w leczeniu
- ubezpieczenia młodzieży,
- ubezpieczenia pracowników w sektorze niepaństwowym,
- ubezpieczenia gospodarcze,
- ubezpieczenia niekonwencjonalne np: nóg sportowca, głosu śpiewaka, włosów aktorki, rąk pianisty lub chirurga oraz inne formy ubezpieczeń nie znanych dotąd w naszym kraju.

Nie zwlekaj z ubezpieczeniem

WESTA I PZU CZEKAJĄ NA CIEBIE

— **Ty wybierasz!**

Informacji udzielają pośrednicy ubezpieczeniowi i Przedstawicielstwo „WESTY” w Łodzi, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

2727/K



TOWARZYSTWO WIEDZY POWSZECHNEJ
w Łodzi, ul. Piotrkowska 68

Z A T R U D N I

OD KASZ

ANGLISTÓW

(również studentów)

W CHARAKTERZE LEKTORÓW
na kursach języków obcych.

Warunki podobne do Klubu MPIK, tel. 33-01-04.

2573/K

Ciągle powtarzamy o „dialogu”, „porozumieniu”, „rozmowie”, jak gdybyśmy to my te pojęcia odkryli. A przecież są one tak stare jak ludzkość. Trzeba tylko umieć się nimi posługiwać. A czy my, Polacy umiemy? Jak było z tym dawniej?

W naszej praktyce redakcyjnej — a zapewne nie tylko w naszej — spotykaliśmy się z takim zjawiskiem. Założyliśmy, że zorganizujemy — powiedzmy — dyskusję na temat hodowli gołębi w śródmieściu. Postanowiliśmy zaprosić szeroką reprezentację, zarówno ludzi, którzy znają się na hodowli gołębi w śródmieściu, jak i takich, którzy „mają nazwiska” — i potrafili dyskutować na każdy temat. Zaczynamy zapraszać. Dzwonimy do Enskiego i proponujemy udział w dyskusji, przedstawiamy jej tezę. Ale Enskiego interesuje zupełnie coś innego.

— Kto jeszcze będzie brał udział? — pyta.
— Ano — powiadamy — Eksowicz, Zetski i Merynos...
— Co! — wykrzykuje Enski — Merynos! Nigdy! Nie usiądę z nim razem do stołu. Róbcie co chcecie, ale beze mnie!

Okazuje się, że Enskiemu wcale nie chodzi o hodowlę gołębi w śródmieściu, ale o to, aby siedzieć w godnym gronie, które on akceptuje. Bierze on pod uwagę nie to, co kto ma do powiedzenia, ale kto to mówi. Jeśli mówi Merynos, to nie ma to sensu. Jeśli to samo powie on, albo dajmy na to Betski, którego Enski akceptuje, to zupełnie inna sprawa. Ale czy tylko Enski tak postępuje?

Wybrałem świadomie taki humorystyczny przykład jak hodowla gołębi w śródmieściu, bo takie postawy zdarzają się przy ważniejszych tematach również. A przykład hodowania gołębi w śródmieściu obnaża irracjonalność takiej postawy. Ta mi się przynajmniej wydaje.

Mam w zanadrzu inny przykład, bardziej poważny i historyczny. Otóż w nocy z 3 na 4 kwietnia 1944 roku, razem zresztą z Józefem Retingerem, wyładował ze spadochronem w Polsce kurier londyńskiego MSW, porucznik Tadeusz Chciuk, używający pseudonimu „Celt” lub Marek Celt. Jego zadaniem było dokonać szczegółowego rozpoznania podziemia w Polsce. Zrobił to nadto rzetelnie, a jego raport temu podziemiowi nie wystawia najlepszego świadectwa. Chodzi oczywiście o kierownictwo podziemia, a nie o masę ofiarne walczących żołnierzy i cywilnych działaczy.

Co na to historia?

Czy brak realizmu jest trwałą cechą Polaków?

Tym ludziom, którzy decydowali o podziemnej walce, kierowali nią, „Celt” zarzuca „kibitkowość, małostkowość, nieufność, pijaństwo, gadatliwość, karierowiczostwo, prowincjonalizm, niezaradność, potworne wreszcie zakłamanie”. Charakterystyka jak najgorsza. „Z bólem trzeba stwierdzić — pisze dalej „Celt” — że tych kilkuset ludzi, którym dane było zająć ważniejsze posterunki pracy niepodległościowej, nie nauczyło się niczego przez pięć lat, jakże tragicznych i pouczających lat, że nie nastąpił w ich duszach żaden przełom... Ze nie potrafili — nawet pod okupacją — wydobyć się z grzeszawiska swych przedwojennych błędów i road. Wzbić się nieco wyżej i z bardziej wysoka, bardziej jasno spojrzeć na świat, na Polskę. Na swą pracę”.

„Celt” przystępując do swojej pracy wychodził z założenia, że na świecie dokonują się istotne zmiany i władze polskiego podziemia powinny wziąć to pod uwagę. Na przykład pod koniec 1943 roku w Jugosławii powstał Komitet Wyzwolenia Narodowego z Józefem Broz-Tito na czele, z którym musiał pertraktować rząd emigracyjny z premierem Iwanem Subašićem. We Włoszech na początku 1944 roku powstał rząd, w skład którego weszło dwóch komunistów, Polityk z Południowej Afryki, członek rządu Winston Churchill — Jan Christian Smuts — ogłosił publicznie tezę, że po wojnie los świata będą kształtowały trzy mocarstwa: USA, Wielka Brytania i ZSRR. W Polsce — to te fakty lekceważąc — zastanawiano się zupełnie poważnie, jakby tu wywołać powstanie, które nie zagroziłoby niemieckim poczytaniem na froncie wschodnim, podczas którego nie trzeba byłoby walczyć z Wehrmachem a tylko z SS i SA, policją i NSDAP. W Polsce ciągle miano nadzieję, że wyzwolenie przyjdzie nie ze wschodu, a z zachodu.

Wiedząc o świecie — zresztą niebawem skromną — ludzi ci kształtowali na podstawie wiadomości pomyślnych, odrzucając wszystko, co nie odpowiadało ich nadziejom i oczekiwaniom. „Np. kiedy zwracalem uwagę na to — pisze „Celt” — że Rosja jest potęgą, z którą w polityce naszej liczyć się musimy — odpowiadano mi kategorycznie, że są to ostatnie jej podrygi, że nie ma własnej broni ani amunicji, a walczą sprzętem amerykańskim i angielskim, nie ma lotnictwa ani marynarki, zależy w zupełności od anglosaskich dostaw żywności”. Co gorzej wiedzę o sytuacji w kraju też kształtowano na wzór własnych oczekiwań, a nie na podstawie rzeczowej analizy układu sił.

Kierownictwo podziemia dostrzegło wprawdzie istnienie i działalność PPR, ale uznano, że jest to „obca agentura” i należy ją izolować. Na propozycję ze strony PPR, aby podjąć wspólne działania w walce z okupantem odpowiedziano zdecydowanie odmownie. Powołano Społeczny Komitet Antykomunistyczny z Franciszkiem Białasem — działaczem WRN — na czele, który wszelkimi sposobami zwalczał PPR. Wypisywano na przykład hasła: „PPR — wróć”, „P-latni P-acholcy R-osji” i uważano, że dzięki temu nastawia się społeczeństwo negatywnie do PPR i komunizmu.

Również PPS — zdawałoby się najbliższą ideowo PPR — była zdecydowanie przeciwna wszelkim rozmowom z PPR. Stano na stanowisku, że PPR to wróg i nie należy „wchodzić z nim w żadne układy — odizolować go zupełnie od społeczeństwa”. Zdaniem „Celta” błąd PPS „wynika stąd, że uważa ona, iż PPR to Polska jest słaba i odizolowana i że właściwie blok narodowy jest mocny — gdy w rzeczywistości w miarę zbliżania się Armii Czerwonej do Warszawy PPR rosła w sily, skłócone partie polskie nie przejawiały realnie żadnej inicjatywy w kierunku prawdziwej jedności narodowej, nadal nieufnie nie do siebie odnosząc i nadal w obliczu naprawde totalnego niebezpieczeństwa atakując się nawzajem zamiastnie o stosunkowo blache sprawy”. Historia przyznała rację „Celtowi”.

Koncepcja odzyskania władzy przez rząd emigracyjny w Londynie, zademonstrowania swojej roli jako gospodarza poprzez akcję „Burza”, okazała się nierealna. Brytyjczycy nakłaniali rząd emigracyjny do nawiązania stosunków dyplomatycznych z rządem ZSRR. Sytuacja była bowiem absurdalna. Żołnierze Armii Czerwonej nieśli Polskę wolność, a władze Polski podziemnej oczekiwały wolności z zachodu. A gdy już stało się jasne, że to oczekiwanie nie spełni się, próbowali zaskoczyć władze radzieckie swoją rolą gospodarza, podczas gdy już istniały KRN i PKWN. To też później Józef Stalin odsyłał Stanisława Mikolajczyka, aby pertraktował w sprawie porozumienia nie z nim a z Bolesławem Bierutem. Kierownictwo emigracji zrobiło jednak bastion nieufności z traktatu ryskiego, który wyznaczył granicę między Polską a ZSRR o 200 km na wschód od słynnej linii Curzona. I ta linia przysłoniła im oczy tak dokładnie, że już nie poza tym nie potrafili zobaczyć.

Nowa władza, co było konsekwencją całkowitego braku realizmu władz podziemnych i emigracyjnych, musiała odrzucić wszystko, co było jej obce i zaczynać — niestety — od początku. Sądzę, że w tym zrywaniu z przeszłością poszła zbyt daleko, popełniła kilka niewybaczalnych błędów, tracąc również niekiedy poczucie realizmu, kierując się bardziej założeniami ideowymi niż — jak nakazuje marksizm — skutkami ich praktycznej realizacji. No i dziś mamy, co mamy. Ale to już inna sprawa.

Co z tego dla nas wynika? Ano jedno, aby zawsze trzymać się realnej oceny sytuacji, a nie poddawać się różnym chęciom i abstrakcyjnym marzeniom. Czyż nie byłibyśmy zdolni do realizmu?

WITOLD BORQWY

1 Nagle zastępstwo

Lista tych, których lubię

Gwoźli sprawiedliwości zacząć muszę od tego, że „Szpilki” należą do moich ulubionych pism i czytam je co tydzień od deski do deski, no może z wyjątkiem „listu ze Śląska” — sądzę bowiem, że nie wszystko, czego się dobrze słucha, jest również dobre do czytania.

Po tym wyznaniu mogę sobie pozwolić na nieco i napisać o tym, co mi się ostatnio w „Szpilekach” nie podoba. Otóż nie pochoo mi się metoda zapewniania — tak skromnej przecież objętości tygodnika — szczególnego rodzaju wata tekstowa. Nie wiem jak to wpływa na wierszówkę pracowników, myślę że nieźle. Ale jestem czytelnikiem i wierszówka PP panów autorów nie a nic mnie nie obchodzi.

Zaczęło się od kilkakrotnego opublikowania list różnych znanych ludzi. Autor sporządził mianowicie listy „ludzi, o których się mówi” czy też listy „ludzi, którzy bywają gdzieś tam” (na przykładzie oficjalnych, zdaje się). Jestem sobie człowiekiem z prowincji i dookładnie mi wszystko jedno kto kogo lubi w Warszawie a jeszcze bardziej mam w nosie informację o tym, kto gdzie bywa. Czysty, stołeczny snobizm i wspomniane wawowanie (zarówno kolumny pisma jak portfele redaktorów).

Metodę wawowania swych felietonów podchwycił z właściwą sobie zrecznoscą autor, podpisując się „Atlas”. Siłacz ten opublikował był niedawno słownik postaci telewizyjnych — również zresztą snobistyczny jak wspomniane wyżej listy. Ostatnio popisał się felietonem pt. „Cudze teksty”. Była to mała antologia listów nadesłanych do Szpilek. Jeden list i jeden wiersz. Kłedyś była w tygodniku kolumna pt. „Hyde Park” i dobrze. Teraz redaguje ją z własnej inicjatywy pan Atlas. Tylko co to kogo obchodzi?

Inną metodę wawowania gazet i wyciskania wierszówki obrał łódzki współpracownik Szpilek, Roman Gorzelski. Napisał on ci niesłychanie humorystyczny esej pod tytułem „Come Back Brychta”. Tym, którzy nie rozumieją tytułu — brzmie jednak dziwnie i obco — mogę wyjaśnić, że chodzi o pisarza Andrzeja Brychta. Brycht wrócił przed kilkoma miesiącami do Polski po osiemnastoletniej absencji i ze zrozumiałych względów cieszy się pewnym zainteresowaniem publiczności literackiej i nie tylko literackiej. Kiedy już tu i ówdzie coś opublikował, kiedy udzielił paru wywiadów, Roman Gorzelski też postanowił się zaplątać. No i spłodził.

Na dwie kolumny spłodził tekst, z którego niejednoznacznie wynika, że Brychta nie lubi. I jego sprawa. Nie ma w Polsce obowiązku lubienia kogokolwiek, nie ma też zakazu, aby publicznie, w słowie i piśmie dawać temu wyraz. Ale Gorzelski nie daie „wyrazu” a tylko „wyrzy”, czyli co tu ukrywać, inwektywę. Żeby nie być gołosłownym: „...siedzi sobie Brycht, tym razem nie w kiciu...”. Nieeleganckie, ale przynajmniej dowcipne. Są jednak cytaciki zupełnie niedowcipne a jeszcze bardziej nieeleganckie. Jak taki na przykład: „...Brycht jest wtedy chołdrak, jak trafi na słabszego. Albo nawet na słabszą...”. Albo dalej: „...majątku nie żół, nie licząc żony...”

Wystarczy cytatów. Przewrotnie napisany tekst Romana Gorzelskiego (że to niby takie fajne kawałki o naszym starym kumpli, tegim łobuzie i pija-kul) zawiera w zakończeniu pewną, krążącą po Łodzi plotkę z bardzo intymnego życia pisarza. I to jest, panie Romanie, dosyć obrzydliwe. W końcu to zupełnie co innego żartować sobie z intymnego życia pi-

sarza w Spatifle czy klubie dziennikarza, a co innego ogłaszać takie plotki na cały kraj.

Szkoda, że takie rzeczy czytamy w moim ulubionym piśmie. Szkoda, bo może i inni czytelnicy mogą odnieść podobne wrażenia. Szkoda dobrego tygodnika. Na szczęście jest jeszcze „humor zagraniczny”, są felietony Klaksona, opowiadanka Megana, jest „Playboy”. Szkoda byłoby, żeby Szpilki zrobiły plaite i „playboyem” zostałby szef, redaktor Filler.

ANDRZEJ KAROL

2

Już mi się nie opłaca dopłacać

Był taki czas, g-y na sklepowych polkach stały tylko owoce i owoce, a w sklepach tekstylnych można było kupić importowaną herbatę. Od tamtego czasu oset stał się symbolem pustych półek. Ale nadszedł taki moment, że i oset zabrakło.

Od bardzo dawna wiem, że jesienią gospodynie w polskich domach robią marynaty i inne przetwory. Właśnie w lasach sygnęły grzybkami i panie domu, które zajmują się uzupełnianiem przetworów w zamyslowego, marynują grzybki. Na samo wspomnienie marynowanego grzybka, którego trzeba ganiać widelcem po talerzu miło mi się robi. Nie wspomnę o czegoś ten marynowany grzybek służy, aby nie narazić się ustawie o wychowaniu w trzeźwości. Kto wie, to i tak się domyśli. Kto nie wie, to lepiej żeby nie wiedział.

Skoro ja wiem, że jesienią robi się marynaty, to wiedzieć powinni o tym również — a nawet przede wszystkim — ludzie zajmujący się niby-handlem i w sklepach powinno być dużo osetu. Chyba, że tym ludziom od niby-handlu wcale nie zależy na zarabianiu pieniędzy, czyli ścigananiu ich z niby-ryнку. Oni powinni byli wywrzeć nacisk na wytwornie osetu, aby tego produktu akurat teraz nie brakowało. Ale widać ludzie zajmujący się niby-handlem grzybków marynowanych nie jadają, do sklepów nie chodzą, na bazyry również i nie wiedzą, jaka jest teraz pora roku. Żyją w odizolowaniu od tego wstrętnego świata i w sprawozdaniach im się wszystko zgadza. W sprawozdaniach tak, w sklepach nie. Tym gorzej dla sklepów!

Gdy słucham radia, oglądam programy gospodarcze w telewizji, czytam gazety, to wszędzie spotykam się z pojęciem nieopłacalności. Rolnikom nie opłaca się hodowla i uprawa zbóż, Gminnej Samopomocy nie opłaca się handel na wsi, kioskarzom „RUCH” nie opłaca się prowadzenie kiosków, PSS Spółem nie opłaca się prowadzenie gastronomii, FSO nie opłaca się produkcja samochodów, przemysłowi stoczniowemu nie opłaca się produkowanie statków, kopalniom — wydobywanie węgla, hutom — wytopianie stali, portom — przeladunek statków. Do wszystkiego muszę — ja, podatnik — dopłacać. Nie wiem, czy mi się to nie znudzi, bo mi też się nie opłaca dopłacanie. Zresztą ten felieton też mi się nie opłaca. Nikomu nie się w tym kraju nie opłaca. No, to może ogłosimy ogólną upadłość?

W „Odgłosach” przeczytałem niedawno, że nad morzem nie opłacało się prowadzić plaży i dopiero jak agent wstąpił do

swoje władanie, to plaża zaczęła się wszystkim opłacać. O agentach słyszałem parę lat temu, a może więcej niż parę. Miało to być zbawienie naszego handlu. Czego to tym biednym ludziom nie obiecywano? Siódme góry, siódme rzeki i siódme nieba. A potem spokojnie uduszono agentów przepisaniami, brakiem dostaw i podatkami. Praktyka jest taka: stwarza się komuś złudne miraż, że będzie mu niczym w raju, a następnie powoli wydusza się z niego ostatnie soki. Gdy zrezygnuje, uradowany urzędnik rozkłada ręce i powiada obłudnie: — No proszę, nie da rady! — Niby, że u nas nie nie można osiągnąć.

Lubię od czasu do czasu dobrze zjeść. Próbowałem w społeczeńskiej gastronomii, nawet udawało się. Ale cechą społeczeńskiej gastronomii jest monotonia. Karty dan jednej restauracji nauczyłem się już na pamięć. Zadnego pomysłu, żadnej inicjatywy kulinarnej. Kompletna gastronomiczna indolencja. Tylko podnoszenie cen im się nadzwyczaj dobrze udaje. Tym nie pozyskuje się klientów. Znam też kilka prywatnych knajpek. Jakoś im się opłaca. I jadłospis stale urozmaicały. I podatki plać i ceny — nie powiem — mają wysokie, ale warto tam od czasu do czasu zostać trochę gorzej, bo ma się z tego przyjemność dla podniebienia i żołądka. Kogo na to stać, niech korzysta. Może więc podpatrzeć, jak oni to robią, że im się opłaca? Może oddać restaurację nie tyle w agencję, co pod patronat kierowników, aby było wiadomo, że na przykład na grzyby po staropolsku jedziemy do Jasia Kowalskiego, a na gęś po tyrolsku — jeśli takiej nie ma, to wymyślić — do Zyzia Kaczmarka, a na jajecznicę po serbsku do Stasia Nowaka i tak dalej. Może zaczniesz się im opłacać.

Proponuję zatem likwidację anonimowości. Nie zmieniajcie form własności, ale tak handel, jak i gastronomię uczyni — autorską. Wiadomo na przykład będzie, że rano po pięciuwo nie trzeba chodzić do sklepu Zofii Wrzos, bo tam czerstwe, pogniecione i niesmaczne, a do Bolka Brzozy — tak, bo ma znakomite pieczywo. Dać ludziom inicjatywę, niech ją rozwijają, przestać bać się, że zarobią, bo będą mieli zapłacone za pracę i wiadomo będzie, kto odpowiada za brak pieczywa. Nie trzeba będzie zwolnywać narady aktywu, żeby rozpatrzyć problem zaopatrzenia sklepów w chleb. Wystarczy zadzwonić do Zofii Wrzos i ją ostro... potraktować. Podobnie uczynią klienci. Spadek popytu, czyli mniej kupujących, zmusi Zofię Wrzos albo do poprawienia zaopatrzenia „swe-go” sklepu w chleb, albo do rezygnacji z pracy. I wreszcie coś się nam zacznie opłacać.

I jeszcze jedno. Nazwiska „autorów” sklepów i restauracji doradzam pisać na sztychach dużymi literami. Żeby było wiadomo, kto za ten sklep czy restaurację odpowiada. Koniec z anonimowością! Ciekawe, czy kogoś zainteresuje mój pomysł?

ZENON POROWATY

3

Pod prąd

Taka sobie bajka

Pisanie bajek jest dziś zajęciem wyjątkowo trudnym i niewdzięcznym. Rzadko któremu ze współczesnych autorów udaje się też stwożyć coś, co miałoby szansę wejść z czasem na stałe do kanonu tak zwanej literatury dziecięcej. Nietrudno bowiem zauważyć, że o ile bajki sprzed stu, dwustu, a nawet trzystu lat trzymają się dosko-

nale na rynku, nie nie straciły ze swych wartości i uroku, i stanowią wciąż niedościgniony punkt widzenia, to te współczesne nie mogą jakoś zapisać się w pamięć, tchną natrętnym dydaktyzmem, albo — przeciwnie — zdają się demoralizować młode pokolenie, nie mówiąc już o tym, że większość z nich po prostu brak tego czegoś, co w każdej dobrej bajce być powinno.

Ale bo też dawni bajkopisarze znajdowali się w o wiele lepszej ze współczesnym nam sytuacji. Świat, w którym żyli, pełen był wszak złych i dobrych królów, rozkapryszonych księżniczek, pająków, sierotek poniewieranych przez okrutne a chciwe macochy, czy choćby — wilków pożerających schorowane staruszki. Było więc o czym pisać, a bajkowe realia niewiele odbiegały od tego, co każdy wtedy mógł zobaczyć na własne oczy. A dzisiaj? Nic z tych rzeczy. Monarchów jak na lekarstwo i nie tacy już, jak przed wiekami; księżniczki spadają z koni, albo puszczają się na lewo i prawo; z pająków pozostały już tylko motyle (paź zeglarz i paź królowej); sierotki są w domach dziecka, a wilki — za kratami w zoo, gdzie tak dostają w kość, że ani im w łbie konwersować z nieletnimi dziewczynkami, czy też wskakiwać pod pierzynę jakichś emerytek spod lasu. O czym więc pisać? Na czym się oprzeć?

Można oczywiście i dziś sięgać do historii, opowiadać dzieł, jak to „drzewiej” bywało, ale... Po pierwsze, inni zrobili to już wcześniej i lepiej. A po drugie, trzeba by wyjątkowo rozległych studiów i znajomości epok, nie wyłączając takich problemów, jak panujące naówczas stosunki gospodarcze i społeczne z położeniem szczególnie nacisku na walkę klas. Słowem, autor powinien być profesorem zwyczajnym i co najmniej członkiem-korespondentem PAN, aby spod jego pióra wyszło dzieło nawiązujące do najlepszych tradycji, a przy tym — wiarygodne i oryginalne.

Pisać zaś o naszych czasach i w nich umieszczać akcję utworu... Ze wszech miar ryzykowny i wątpliwy wartości pomysł. No bo wyobraźmy sobie bajkę, która zaczynałaby się na przykład tak: Za zapyłonymi górami, uschniętymi lasami, zatrutymi rzekami żył sobie zasłużony i sekretarz partii średniego szczebla, który miał bardzo urodziwą córkę. Sekretarzównie nie brakowało niczego: ani ciuchów z „Peweku”, ani widoku, ani pojazdu mechanicznego marki „maluch”, a jednak nie czuła się szczęśliwa. Kochała ona bowiem pewnego biednego studenta z robotniczej, katolickiej rodziny, który należał do grona sympatyków zdelegalizowanych struktur, rozczytywał się w literaturze drugiego obiegu, a co najgorsze — poważnie myślał o emigracji za morze, gdzie — przekonywał dziewczynę — praca jest pracą, pieniądź — pieniądzem, a na mieszkaniu nie trzeba czekać w spółdzielczej kolejce dwadzieścia, albo i więcej lat. Mówił, że chyba wyjedzie, jeśli ona nie zostanie jego żoną. A dziewczyna, choć chciała tego bardziej, niż cokolwiek innego nad Wisłą, nie mogła wyjść za ukochanego, gdyż ojciec krzywo patrzył na przyszłego zięcia, krzycząc nawet w nerwach, że nie wpuścił opozycji do domu, i stanowczo sprzeciwiał się temu małżeństwu...

Schemat niby ten sam, co w każdej porządnej bajce, zawiązanie akcji — też klasyczne, finał — społecznie pożądanym (pod groźbą córki, że wraz z ukończonym ucieknie za morze, sekretarz zaprasza biednego studenta na kawę przy okrągłym stole, po czym za cenę wzajemnych ustępstw dochodzą w końcu do porozumienia), a jednak coś tu jest nie tak, prawda? Coś nie gra. Nie ma tej bajkowej atmosfery, tego nastroju, dystansu... Poza tym zaś — jak wytłumaczyć małolatowi, dlaczego obie strony nie potrafiły dogadać się wcześniej, skoro młodym pisanie było wspólne życie na dobre i na złe, oraz — kto na tym wszystkim najwięcej stracił?

Nie, to się po prostu na bajkę nie nadaje. Za mało bajkowe? Może już raczej coś o dobrej wróżce i czarodziejskiej różdżce?

JÓZEF RETMAN

Bardzo wielu pomorskich wojowników oddało się w piastowanie, życie i majątek oddając. Jeszcze więcej zostało wyzwolonych przez piastunów uderzenie mieczem w ramię i tarczą w pierś i broń otrzymali, którą Piastun zdobył w Tucholi. Owi zaś wyzwoleni rozpoczęli straszliwe polowanie po lasach na dawnych swoich panów, co się w piastowanie nie oddali i chyba nikt im nie uszedł. Albo został niewolnikiem, albo też oddał życie. Szczególnie w tym dziele sprawił się niejaki Korn, dawny niewolnik, za co umiłowawszy go, Piastun dał mu tytuł grodzidzierey, obdarzył złotem i wnieśli kazał gród nad rzeką Brdą w miejscu do dziś zwanym Koronowem. Wywodził też jednego ze swoich Lestków, który dzielnie stawał przeciw Tucholanom, dał tytuł grodzidzierey i gródek kazał wnieść nad jezioro. Zwał się ten człowiek Wiecbor, a gród do dziś zwie się Wiecborkiem. Grodzidzierey mieli obowiązek powoływania własnych drużyn dla strzeżenia granic ziemi nowo zdobytych tak od północy, jak i od wschodu i zachodu. Na rzecz grodzidzierey rozkazano płacić daniny tym Pomorcom, co się oddali w piastowanie, jako i wyzwolencom, którzy zajęli spalone wioski i zaczęli ich odbudowę. Pod karą śmierci nie wolno im było przypominać, że są Pomorcami a jedynie Polanami.

Dwudziestu dawnych wyzwolenców uznał Piastun jako Lestków i wcielił ich do swojej drużyny, która liczyła już ponad pięćset konnych. Z kraju podobnego zabrał Piastun tylko ponad sześćset niewolników, przeważnie kobiety i dzieci. Ich to postanowił podarować Paluce, aby zasiedlili Ziemię Pałucką tak dotkniętą przez najazd Barnima. Pozostało mu jeszcze ponad dwustu niewolnych Pomorców, tedy ich darował Norowi i jego drużynie, aby odeszli nad Drwęcę i tam, po drugiej stronie Wisuli, umacniali granice jego państwa.

Z ogromną gromadą niewolników dla Pałuki trudno się było szybko posuwać ku rzece Noteć, dlatego armia Piastuna wlokła się nogą za nogą. Tym bardziej szło wolno, że z końcem miesiąca kwiecień rozpoczęły się ogromne upały, które spowodowały szybkie rośnięcie traw, ale utrudniały marsz.

W tym to czasie przybył do Piastuna goniec od Herima z radością dla niego wieścią o tym, że Gedania urodziła mu syna, lecz zmarła przy poroku.

— Mam więc następcę. Ołbrzym! — zakrzyknął Dago. Przyspieszono marsz, Dago bowiem pragnął ujrzeć swego syna ołbrzyma, podnieść go do góry, ucałować za syna i nadać mu imię.

— Jak go mam nazwać? Jakiego mam mu nadać imię? — zapytał Dago swych żołnierzy na jednym z postojów.

Milczeli, gdyż żadne imię nie wydawało im się dostatecznie godne dla Piastunowego syna. Wtedy powiedział Dago:

— Nadam mu imię: Lestk. Bo czyż nie jest czymś najszlachetniejszym i najwspanialszym stać się Lestkiem, obrońcą naszej wolności? Czyż nie na Lestkach wspiera się nasze państwo i nasza armia?

A że mówił to do ponad pięćset Lestków, usłyszał w odpowiedzi tylko radosny wrzask i uderzenia mieczami o tarcze. Uznali wojownicy, że Dago Pan i Piastun chciał ich przez to wyróżnić i uszlachetnić. Słowo „szlachetny” było już rzeczą coraz częściej w użyciu dla nazwy ludzi, którzy mieli prawo nazywać się Lestkami i nosić białą płaszcz. Niekiedy lud po prostu mówił o nich „szlachetni” albo „szlachcice”, co na jedno wychodziło.

I znów nadeszło bardzo skwarne południe, armia Piastuna i niewolnicy zatrzymali się na postój, choć tylko pięć albo sześć stajen miały do chłodnej rzeki Noteć. Konie jednak i ludzie piesi byli zbyt zmęczeni, tylko Dagonowi ogień wciąż nie okazywał trudów wędrowki. Dlatego Dago ruszył samotnie w kierunku rzeki, aby zrzucić z siebie odzienię i wykąpać się w chłodnej toplei. Nakazał po krótkim wypoczynku pomazzerować w ślad za sobą, gdyż nad brzegiem rzeki on na nich czekać będzie.

Wody rzeki już opadły po wiosennej powodzi, podmywając niewysoką skarpe porośniętą gęstym lasem. W rzece leżały korony ogromnych dębów, które korzeniami wczepiały się w skarpe. Ale między tymi upadłymi do wody drzewami

widziało się wymyty przez rzekę żwir i piasek pełen kamieni. W takim to miejscu postanowił wykąpać się Dago, zjechał Vindosem ze skarpy, rozebrał się i cały swój przydziewek, a także uzbrojenie i nawet świętą Andale powiesił na łuku siodła. Lękał się bowiem Dago, że gdy będzie zażywał kąpiele, ktoś może ukraść mu uzbrojenie i odzież, natomiast Vindos miał tę właściwość, że nikt obcy nie mógł się do niego zbliżyć bez narażenia na stratowanie.

Woda okazała się bardzo zimna, mimo że ostro świeciło wiosenne słońce. Zmęczony pływaniem, usiadł w końcu Dago w koronie wielkiego dębu na wpół zanurzonego w wodzie i z przyjemnością patrzył jak przez jego uda przelewa się woda, a jednocześnie z góry padały słońce. I tak się w tej przyjemności zaożniewał, że gdy nagle spojrzął na brzeg, zobaczył, że nie ma na nim Vindosa. Ogier zniknął w lesie, co mogło oznaczać tylko jedno —

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Głanc

ktos obcy się zbliżał. Wskoczył więc Dago do wody i nagi wybiegł na pełen żwiru brzeg rzeki. A w tym momencie chyba ze dwudziestu zbrojnych i konnych wyskoczyło z lasu, zjechało po skarpie na brzeg rzeki i otoczyło Dagona, zamykając mu możliwość ucieczki do wody. Dwadzieścia oszczepów skierowało się w jego pierś i plecy. Z lasu zaś wyłaniali się wciąż nowi wojownicy, a wśród nich dwóch w białych lnianych płaszczach z pawimi piórami na hełmach, w błyszczących pancerzach i żelaznych nagolennikach, z podłużnymi teutońskimi tarczami.

— Ej, człowieku! — zawołał po skłavińsku jeden z owych wspaniałe uzbrojonych rycerzy. — Pokażesz nam bród przez rzekę, albo inaczej zginiesz.

— Nie znam bród — odrzekł Dago. — Nie jestem tujejszy.

— Skąd więc jesteś? — Z daleka, panie. Tak jak i ty.

I gniew ogarnął Dagona, że przez swoją nierozwagę tak łatwo dał się schwycić nagi na brzegu rzeki. I był gniewny, ponieważ tych obcych wojowników naliczył ponad czterdziestu. Jakim prawem wkroczyli do jego kraju? Kim byli? Do jakiego celu zmierzali? I jeszcze bardziej stał się gniewny wspomniawszy, że zaledwie o dziesięć stajen obzował jego Lestkowie, którzy tych ludzi mogli roznieść na mieczach.

Ze skarpy zjechał drugi wspaniały odziany wojownik. Spojrzawszy na jego twarz natychmiast domyślił się Dago, że jest to kobieta.

— Ma piękne ciało, Fulko. I jakie duże posiada przyrodzenie — powiedziała w języku Teutonów.

Dago skłonił jej się dworsko i rzekł po teutońsku:

— Dziękuję ci, pani, za względy. Przyrodzenie jednak skurczyło mi się od zimnej wody.

Wtedy krzyknął ów Fulko:

— Kim jesteś ty, co znasz

także mowę Teutonów? Mów jak się zwiesz i co tutaj robisz?

— Ty, panie, też mi nie powiedziales swego imienia.

Rozgniewany bezczelnością nagi i bezbronnego człowieka, jeden z otaczających Piastuna wojowników, smagnął końskim batem plecy Dagona, aż ten zacisnął zęby z bólu. Smagnięcie zapiekło go jak gdyby przyłożono mu do pleców rozżarzone żelazo.

— Dlaczego, panie, pozwoliłeś mnie uderzyć? — spytał Dago. — Jestem nagi i bezbranny. To niesprawiedliwe.

— Uderz go jeszcze raz i naucz sprawiedliwości — rozkazał Fulko w języku Sklavinów, co znaczyło, że on i ta kobieta byli Teutonami, ale ich żołnierze należeli do Sklavinów.

I stało się tak, że Dago raptem pochylił się ku ziemi chwycił kamień, potem dokonał nagłego obrotu ciałem i wojownika, który się znowu zamachnął batem, uderzył kamieniem prosto w usta, wybijając

mnie uderzył. Nazywają mnie bowiem Dawcą Sprawiedliwości i to będzie sprawiedliwe, jeśli jego głowa przyplynie do moich rąk.

— Jesteś głupcem. Oni cię zabiją!

— To ja ich pozabijam, pani. Ten Fulko to jakiś lajdak. Czemu z nim podróżujesz? Czyżbyś pochodziła z jakiegoś teutońskiego zamtuza?

— Uciekłam z klasztoru — zaśmiała się gardłowo.

— To na jedno wychodzi. Teutońskie klasztory to zamtuzy.

— Jestem z Brabancji...

— Nie byłem tam, pani. Myślisz jednak, że wszędzie bywają dziwki.

Fulko wyciągnął miecz z pochwy.

— Dość tego! On nas obraża. Złazcie z koni i niech kilku ludzi dojdzie do niego po zwalonym drzewie. No, jazda — rozkazał. — Za jego śmierć dobrze zapłacę.

Trzech wojowników zeskokczy-

Fulko opanował w sobie wściekłość.

— Powiedz mi swoje imię. Być może obraziłem cię, pozwalając, aby mój wojownik uderzył cię batem. Jesteś jednak nagi i nie masz na ciebie napisane jak cię traktować. Gdzie jest twój miecz, twoja zbroja, twój koń? Przyłącz się do nas i zapomnij urazy. Idziemy na wielką wyprawę i wrócimy z niej bogaci.

— A cóż to za wyprawa? — drwiąco zdumiał się Dago. — Czy chcesz mi powiedzieć, że wybrałeś się do Nawi to jest Kralny Zmarłych? Bo to ci powiem, że przyszedłeś tu żywy, ale pozostaniesz trupem.

— Czego żądasz za wskazanie bródu? — zapytał Fulko.

— Unieś głowę, temu, co mnie uderzył. A ta szlachetna pani rozdziewie się do naga, abym i ja mógł zobaczyć jej przyrodzenie jako ona widziała moje.

Kobieta zachichotała radośnie.

— Chętnie się rozdziewam

(20)

mać nagą kobietę, która już płynęła w kierunku Dagona, siedzącego okrzakiem na drzewie. Zauważył jednak Dago, że przypasała sobie na biodra pas z nożem.

Dago podał jej rękę i naga Arne siadła obok niego na pniu, odrobnie zalewanym przez nurt rzeki.

— Jesteś naprawdę piękna i masz ładne przyrodzenie — oświadczył Dago, obejmując ją w pól. — Gdyby woda nie była tak zimna, jebałbym cię w rzece na ich oczach, bo nie znam wstydu.

— Ja też nie znam wstydu — odrzekła i wyrwała nóż z pochwy. Ale Dago przewidział ten gest i chwycił ją za nadgarstek. Po chwili nóż znajdował się w jego ręku.

— Ostro — stwierdził Dago. Potem, gdy ona dygotała z lęku, pociągnął ostrzem noża po obrośniętym łonie, goląc jej trochę włosy.

— Co robisz. To boli!

— A twój nóż? Czy nie bolałoby mnie twoje pchnięcie?

Z brzegu krzyknął Fulko:

— Nie rób jej krzywdy, człowieku. Możesz ją jebać ale nie rób jej krzywdy.

Dago rzucił nóż w nurt rzeki.

— Muszę cię pożegnać pani. Nie podoba mi się, że ten tam na brzegu, ostatni głupiec zarządza twoim tyłkiem jak własnym.

To dla niego uciekłam z klasztoru.

Jego tylek należy do mnie, gdyż jego będę batożyć. Twój zaś należy do ciebie Daruję ci go. Nie będę cię jednak jebał z czyjegóż przyzwolenia, ale gdy najdzie mnie ochota.

Pogłaskał ją po piersiach, po szyi, po mokrych włosach. — Wierzę ci, panie że jesteś władcą — oświadczyła. — Kobieta czuje, gdy ma do czynienia z kimś niezwykle.

— Czy nie przyszło ci do głowy, że po prostu odczuwasz mój majestat? Nawet kiedy jestem nagi, oni też powinni go dostrzegać. Czy wiesz jak długo uczyłem się sztuki posiadania majestatu?

— On jest grafem — wskazała Fulko. — A ty?

Dago na krótko zamyślił się. A potem rzekł:

— Graf Fulko. Zdrajca i bannita skazany na śmierć przez Ludwika Teutońskiego Stuzi Obodrytom. Najmity. Ze też od razu nie domyśliłem się z kim mam do czynienia.

Dago stanął na pniu i zawołał gromko:

— Grafie Fulko i wy, najmiłsi z Jumna. Rozgoście się tutaj i czekajcie na mnie. Weźmę was do swojej służby i zapłacę lepiej niż książe Hok. Ale musi paść głowa człowieka, który mnie uderzył. Albowiem kto podnosi rękę na władcę, ten podnosi rękę na bogów.

— Kim jesteś? — zawołał z brzegu graf Fulko.

A wtedy Dago podniósł obydwie ręce bardzo wysoko i obwieścił:

— Jestem Piastunem...

Rzucił się w rzekę i dał ponieść jej prądowi. Jego głowę, oddalającą się od nich wraz z nurtem, widzieli aż do najbliższego zakola. Prąd był bystry, mroczny i pełen wirów. A jednak ten człowiek odpływał jak wydra lub bób, nie lekając się ani głębin, ani wirów.

— Arne — naga i mokra — wyszła na brzeg i podeszła do Fulki:

— Co teraz zrobimy? — zapytała go po teutońsku.

Fulko wzruszył ramionami:

— Chyba nie uwierzyłaś temu szaleńcowi. Nie widziałem nigdy władcy nagiego, bez konia i oręża, a także bez wojowników.

— Zabij go. Mówię ci, zabij go, zanim nie będzie za późno — powiedziała Arne, wskazując palcem wojownika, który przyłożył sobie mokrą szmatę do zmiażdżonej twarzy.

Fulko chwycił Arne za ramię i zwrócił się do swych żołnierzy:

— Czy któryś z was chce tę dziwkę?

C.D.N